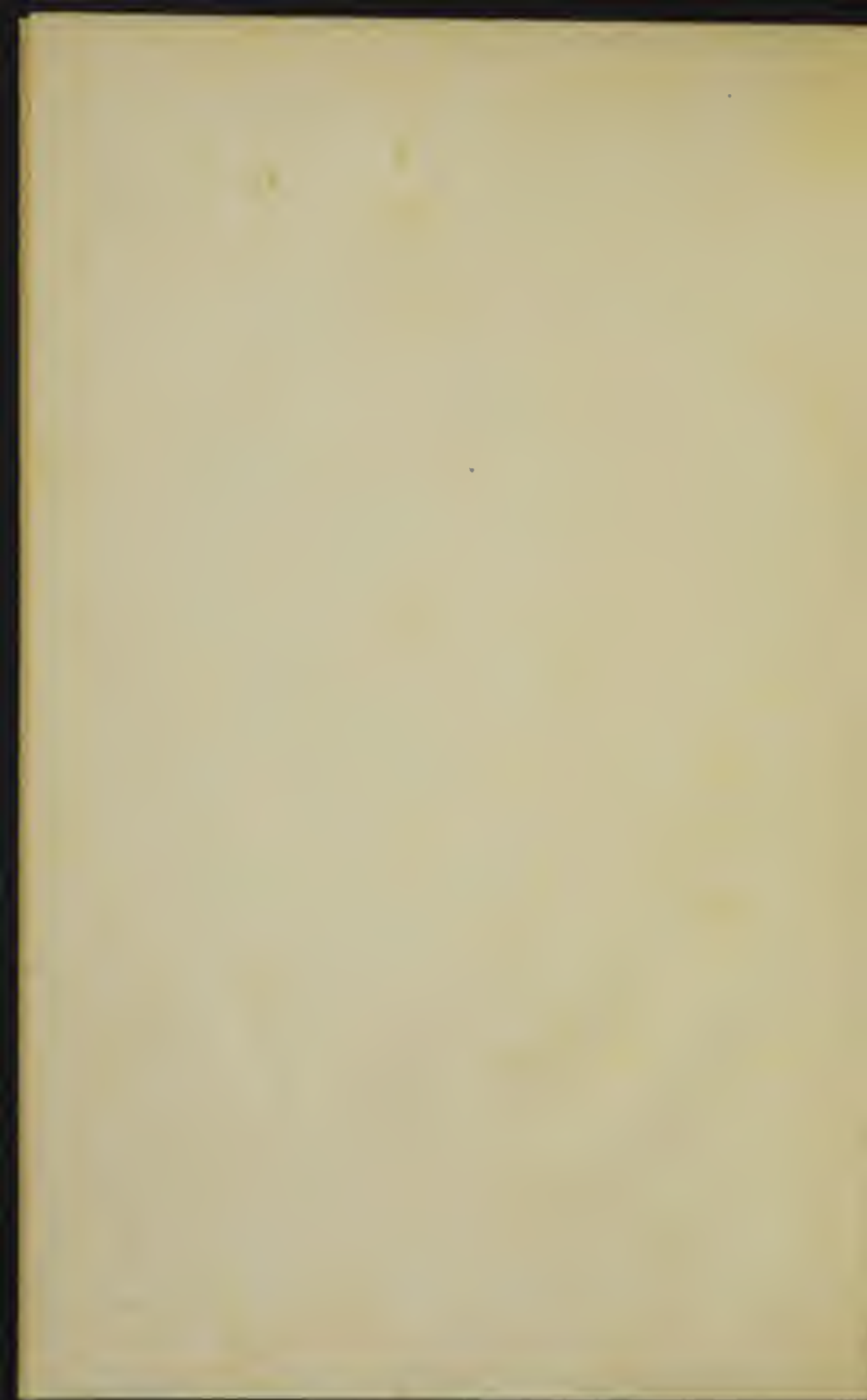


KAWAŁ LITERATA.



KAWAŁ LITERATA.



WIZERUNKI SPÓŁECZNE

Z KOŃCA XVIII WIEKU.

W DWÓCH CZĘŚCIACH.

PRZEZ

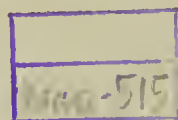
J. I. Kraszewskiego.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA,
Krakowskie-Przedmieście Nr. 15.

—
1876.



Дозволено Цензурою.
Барнага 25 Августа 1875 года.



Druk J. Noskowskiego, ulica Mazowiecka Nr 11.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Rektorem Akademii Bialskiej w r. 177. był ksiądz Piotr Stadnicki. Pomimo pięknego tego imienia, Rektor nie miał najmniejszej pretensyi do pisania się ze Żmigroda, ani do pokrewieństwa z Djabłem. Był to bardzo dobry człowiek, poważny, myślący, miłosierny, udający surowego a w duszy tkliwy aż do zbytku. Spojrzawszy na niego powiedziałbyś, że się go lękać powinni byli podwładni, tak wyglądał surowo; przecież nie bał się go nikt, najbardziej on sam siebie, żeby swej wewnętrznej miękkości nie zdradził. Gdy po raz pierwszy do nieznanego wychodził, przybierał wprzód na osobności postawę jaką chciał mieć—marszczył brwi, wydymał usta, prostował się, głowę do góry podnosił, dystynktorium, które jako kanonik honorowy, miał prawo nosić wydatnie, układał na piersiach i występował z całą powagą urzędową. Nieszczęściem, ta przybrana mina nigdy długo się utrzymać nie mogła, ksiądz Piotr był wesół z natury i pobłażający dla ludzkich słabości, surowym byó nie umiał, zaraz mu się twarz nastrojona rozstrajała i spuściwszy z tonu, stawał się jednym z najmiłszych prostych śmiertelników, jakich wydała Akademia Krakowska.

Niekróć się w życiu tak zapomniał, długo to sobie miał

do wyrzucenia, lecz z naturą walczyć trudno—a kto jej do lat pięćdziesięciu kilku nie zwyciężył, trudno ażeby ją, nawet Rektorem zostawszy, pokonał.

Prawdę powiedziana wszy, zły wybór uczyniono posyłając go tam, gdzie cokolwiek surowości byłoby nie zawadziło, choć ks. Piotr dobrocią swą też wiele czynił, czego by ostre obchodzenie nie dokazało. Professorowie żyli z nim w najlepszych stosunkach, ale robili co chcieli, a gdy nie chcieli nic robić, nie robili nic.—Ks. Rektor gryzł się wówczas, ramionami ruszał i rady sobie dać nie mógł. Ofiarował to swoje utrapienie do ran Chrystusowych i po wszystkim.

Studenci mieli w nim opi ekuna, do którego się zwykli byli uciekać we wszystkich wypadkach, a szczególnie gdy na ławkę do Kalefaktora iść przyszło. Naówczas wyrывał się obżalowany na górę, wpadał do Rektora, krzyczał, płakał i był pewien że skórę ocali. Jednego jesiennego dnia po obiedzie, mrok już padał, lekcye się były skończyły i dziatwa po dworach rozbiegła, gdy Prefekt wszedł do ks. Stadnickiego.

Prefekt ks. Skórski nie był wcale złym, ale zgryźliwym, ostrym i śledziennikiem.. Z twarzy już poznać w nim było można człowieka, który żartów nie lubił. Chudy, z oczyma czarnemi, patrzącemi śmiało i bystro, sztywny, ruchawy, głos miał jakby zachrypły i łatwo przechodzący w krzykliwość. Gdy się bardzo rozżarzył, wówczas gestykulował pięścią ścisniętą, tupał nogą i słowa sobie mówić nie dał. Ilekroć on z ks. Rektorem nie godzili się na jedno zdanie, można było z góry przewidzieć iż ks. Stadnicki ulegnie, a po cichu starać się będzie złagodzić wyrok Prefekta.

Rektor niegdyś zajmował się fizyką, była to jego nauka ulubiona; ilekroć miał czas, siedział zawsze w jakichś eksperymentach i budował sobie machinki. I tym razem stał przy stoliku, na którym leżały jakieś rurki szklane, sztabki i drzewa kawałki. Ciemno już było, robotę więc ulubioną porzucił, przypatrując się jej tylko, gdy wszedł ze

swem—*Laudetur Jesus Christus*, ks. Skórski. Rektor się odwrócił żywo.

— Na wieki wieków! odpowiedział po polsku, wyciągając dłoń, którą Skórski ujął, nízki oddając pokłon.

— Siadajcież, mój ojcie—co tam znowu nowego mi przynosicie?

— U nas dnia nie ma bez nowiny, to bieda—odezwał się Prefekt,—że na dobrych nam zbywa. I westchnął.

— No, zmiłuj się, cóż znowu? co? zbroił co kto?

— Szczęściem nic, ale kłopot mamy niepotrzebny.—Wszak to Chełmicki Kalefaktór... umarł...

Ks. Rektor uderzył w szerokie dłonie.

— Co? jak? umarł! miły Boże! ale kiedyż? jak mu się zmarło? czy się wypowiadał przynajmniej.

— Spowiadał się i wiatyk przyjął—odpowiedział Prefekt... Wczoraj jeszcze się niby włóczył o kiju, zaniemógł wieczorem, położył się, nad rankiem mu się gorzej zrobiło. Nie chciałem o tem ks. Rektorowi donosić, myślałem że wyzdrowieje, tym czasem... tu westchnął,—trzeba mu było tak niespodzianie skończyć...

Oba umilkli, Rektor stał ręce w tył założywszy, spuścił głowę na piersi.

— Niedosyć że go musimy pochować naszym kościołem, bo człowiek był bardzo biedny, a do tego nałogowy—mówił ks. Skórski, ale i o drugiego Kalefaktora postarać się trzeba—no—i... Tu zatrzymał się Prefekt...

— I chłopak sierota po nim został—dokończył żywo ks. Stadnicki...

Znowu była chwila namysłu i milczenia...

— Biedaczysko, już konając jak miłosierdzia prosił, aby nad dzieckiem mieć opiekę, mówił Prefekt—chłopcu osiem lat, wisus i próżniak.

— To się poprawił poprawi się! żywo odparł Rektor... ale—w istocie, co tu z nim robić?

— Ale ba! mojem zdaniem—począł Prefekt—ani do mu ani komu, ani żywej duszy familii—najlepiej by go gdzie

do chaty oddać, aby się zawczasu pracować uczył, będzie przynajmniej rolnik z niego u chłopca. Osiem lat, gęsi może paść wyśmienicie...

Rektor prychnął jakoś dziwnie.

— To bo—bodaj czy nie szlachta... Chelmiński ten, przypominam sobie, służył w chorągwi księcia Wojewody, miał to nieszczęście że go koń okaleczył, i na starość został Kalefaktorem...

— A co mu po tem szlachectwie? odparł Prefekt...

— Mógłby pauprem zostać przy szkole, a poduczywszy się czegoś... a! no, wyszedł by na ludzi.

— Ale gdzie, jak... co my tu z nim zrobimy... hm? zapytał Prefekt...

Rektor się przeszedł po pokoju raz i drugi, tabaki zażył, do stolika powrócił, sparł na nim obie ręce, spojrzał na Prefekta...

— Mamy niejako obowiązek zająć się jego losem—rzekł. Bądź co bądź, ojciec kilka lat służył za Kalefaktora, i nie można powiedzieć, gdyby nie nakóg — człek był uczciwy...

Oba westchnęli.

— Może by go kto z professorów wziął do posług, a do szkoły by tymczasem chodził...

— Tych pauprów, księżę Kanoniku, odparł ks. Skórski, już tu na dziedzińcu akademickim mamy kilku, i słysząc ich dobrze... Nie dopilnować tych urwiszów... tłuką i psują co im pod ręce popadnie.

— E! to tam jednym więcej—tak z tym jak bez tego... przekarmimy biedaka, szkoda by się to zwałało...

Wyrok ten księdza Rektora stanowił o losie sieroty; nawet Prefekt, mimo surowości nie sprzeciwiał mu się—chłopak został przy szkole. Nazajutrz, pochowano starego Kalefaktora, a Tomcio Chelmiński w oficynie przy akademii dostał pomieszczenie, poprzedzone nauką moralną, wydzieloną mu przez Rektora i Prefekta, której wcale nie zrozu-

niał. Wiedział tylko że miał być posłusznym i że mu gospodyni w oficynie jeść dawać miała.

Spadek po ojcu którego sprawdzeniem i kontrolą zajął się ks. Skórski, składał się z dyscypliny starej i zużywanej, która okazała się własnością akademii, z kilimka dziur pełnego, jednej pary butów godzących się na śmietnisko, dwóch ręczników i starej książki od nabożeństwa. W szufladce zamkniętej stolika, znalazł się abszyt z wojska, kilka metryk, mosiężna pieczętka, kawałek wosku, jedna rękawiczka łośiowa i przepisana modlitewka na parganinie. Pieniędzy ani grosza nie było, żyd Aron rościł pretensyj na złotych cztery, ale tego Prefekt kazał sromotnie przepędzić...

Tomko miał na sobie przyodziewek ze starej kapoty uszyty, chodaczki sznurkami pozwiązywane, koszul dwie, czapeczkę z barankiem, a za pazuchą najdroższy swój skarb, świstalkę cynową, do której niewiadomo było jak przyszedł... Z tą się ukrywał aby mu jej nie odebrano... rówieśnicy mu jej zazdrościli, wydawała bowiem głos przeźliwy, którego pochodzenia nie mogąc odgadnąć psy i ludzie wybiegali, gdy się dał słyszeć. Tomko lubiał świsnąwszy ukryć się w drewnutni, i przez szpary patrzeć jak w podwórzu robiło się zamieszanie i niepokój powszechny.

Gdy po śmierci ojca Tomek został sierotą na łasce ks. Rektora, miał lat osiem.. lecz wychowując się o własnych siłach, bo ojciec nie bardzo miał czas dozorować nad nim, był nad wiek wykształconym czy zepsutym — osądzić trudno.

Niepozorne to było stworzenie, chuderlawe, żółte, mizerne, niekształtne, na oko słabowite i obdarzone złośliwym sprytem jakimś, a jeszcze większą dumą i zarozumiałością. Zkąd się te wrodzone skłonności u ubogiego i wcale nie pieśczonego wzięły dziecięcia, trudno się było dobać... Synowi Kalefaktora więcej się dostawało szturchańców niż pogłaskań, mimo to odarty sierota miał minę wcale pyszną. Gdy go łajano, okrywał się milczeniem upartem, dawał się łajać i dopiero odchodzącemu z daleka język

pokazywał... Ojciec go posyłał wcześniej do infimy, Tomko nauczył się czytać dosyć prędko, ale chwyciwszy oś liter, już się miał za mędrszego od pierwszo klasistów.—Uczyć się w ogólności nie lubił, myślał za to dużo i siadłszy w kuczki, na kułakach podparłszy brodę, godzinami dumał i gadał sam do siebie. W lecie kładł się w ogrodzie, ręce pod głowę, nogi do góry i najmilsze próżnowania spędzał chwile.—Lubił przytem łąsować i zacząwszy od kaczanów karpusty, do słodkiej marchwi i wiśni w ogrodzie, nic jego łąkomstwu nie uszło.

Po śmierci ojca, gdy Rektor zajął się losem sieroty, przywołać go kazał do siebie dla egzaminu. Na elementarzu okazało się, iż z infimy można go było przenieść do pierwszej klasy...

Wbiło go to w dumę jeszcze większą. W pierwszej klasie wprowadzie się potroszę uczył, ale czyszczenie butów i odpoczywanie po tem zajęciu zajmowało tyle czasu, iż postępy w ciągu roku okazały się za małe do promocyi, został na rok drugi. Imponował ogromnie pierwszorocznym, nie wiele się uczył, puszczone go do drugiej przez litość. W tym roku ks. Piotr Stadnicki zmarł, Prefekt zastąpił miejsce jego, Tomcio dokazywał tak w podwórzu i drugich chłopaków takimi nabawiał sińcami, iż go wypędzono precz. Ks. Skórski, surowy dosyć, wygnał go, odmawiając mu opieki, ale do szkoły chodzić pozwolił. Zbytecznie też dokazywał, trzeba go było skarcić...

Jednego ranka, skutkiem tego wyroku, którego Rektor odwołać nie chciał, Chełmicki znalazł się pod figurą na przeciw Akademii z węzełkiem szczupłym pod pachą, bez przytułku...

Z początku się złościł tylko, potem gdy mu głód dokuczać zaczął, płakał. Wdowa mieszkająca we dworku przy Wolskiej ulicy, zobaczyła go i wyszła do bramy. Była to uboga kobieta żyjąca z najmu małego domku i ogródka.

Widząc przez pół dnia płaczącego pod murem wyrost-

ka, zawołała go przez ciekawość. Tomko nie rychło posłyszał i przywłókł się do niej. Rozpytała go szczegółowo o wszystko... Biedna kobieta ulitowała się nad sierotą, nie miała dzieci... Rozmyślała długo czy by przytulić tę nędzę i sieroctwo, żeby z niem biedy jakiej nie napytać; narreszcie zawarowawszy sobie posłuszeństwo, kazała mu iść za sobą. W garnku była resztką kaszy na mleku, nakarmiła go nią i wskazała mu miejsce w alkierzu...

— Byleś tylko statkował, odezwiała się lokując go w ciemnym kącie—bo jak mi się co pokaże... byle co, byle odrobina... tak fora! U mnie tego niema żebyś do trzech gadać potrzebowała... Ino raz mi sfelujesz, pójdziesz precz... Jeść dam co się zostanie... głowę masz gdzie położyć... Za to czy wody przynieść, czy co zrobić, posłużyć... musisz być posłusznym... rozumiesz... A fonfrów w nosie ja nie znoszę!!

Pogłaskała go po głowie i poszła. Tomko spać się położył... Nazajutrz do szkoły poszedł. Studenci go pytali co się z nim działo, nie powiedział nikomu nic... Doszli oni i bez niego. Tomko u wdowy został. Wysługiwał się po troszę, wykręcał jak mógł, a że u biednej kobiety nad strawę i chatę nie miał więcej nic, wkrótce zaczęło być kręto około niego. Dwie rzeczy szczególnie pilnego wymagały ratunku. Buty, jakkolwiek oszczędzane, bo koło domu chodziło się na podeszwach od Boga danych, darły się niemiłosiernie. Prawda że nowych nigdy nie miewał. Sznurki i rozmaite łątaniny ratowały tylko do czasu... Gorzej jeszcze było z koszulami, których w początkach dwie miał całego majątku, gdy jedna z nich za służbę podziękowała zupełnie... Koszuli nie łatwo dostać, stary but znajdzie się prędzej, bodaj na śmieciisku taki, że z niego rozumny człowiek coś zrobić może, ale koszuli—nikt nie zgubi i nikt nie daruje... Tomko musiał sobie służyć by jakiej takiej szukać, aby na okrycie grzbietu zarobić. Czyszczenie butów studentom i małe przysługi, z trudnością wprawdzie, doprowadziły go do posiadania aż trzech, różnych wartości koszul,

z których jedna częściej niedostatek ręcznika zastępowała, a dwie mieniały się na służbie. Prac ich nie było komu dawać, Prakseda służąca mówić sobie nawet o tem nie dawała, żeby temu przybłędzie, urwipołciowi, miała w czem posłużyć. Tomko więc chodził zwykle pod studnię, koszulę sumarycznie sam przepierał, wyżywał, na płocie wieszał nocą, dosuszał w alkierzu, i magła do niej nie potrzebując, obchodził się jak Bóg dał.

Potrzeba zmusiła go do pracy—ale robota dla studentów nie była ciężka... Widząc że się uczyli drudzy, uczył się i on po troszę, myśląc że się to może na co przyda, i—szczególna rzecz, był tego przekonania, iż mu to powinno było iść łatwiej niż drugim...

Pamięć miał dobrą—ale ochoty do roboty i wielkiej ciekawości do nauki—nie koniecznie.

W drugiej klasie, że promocyi nie dostał, przypisywał to prześladowaniu Rektora, niegodziwości professorów i ubóstwu swojemu. Trzeba było znowu siedzieć dwa lata, a tymczasem Tomko rósł i zaczynał do chłopca przystojnego być podobnym. Sam on nabrał tego przekonania iż piękniejszego nad niego nie było...

W głowie mu się do pewnego stopnia rozjaśniało, szczególnie zaś duma rosła... Wszyscy mu się wydawali głupszemi od niego... Pan Bóg go taką szczęśliwą wiarą w siebie obdarzył. W trzeciej klasie drwił już z całego świata, a czwarto klasistów miał za bajbardzo. Tu i owdzie coś pochwyciwszy, Tomko czuł się wcale mądrym... Na drugi rok zostawszy w klasie trzeciej, nie mając wiele do roboty, na strychu u wdowy odkrył skrzynię nie zamkniętą, pełną książek. Ciekawość go wzięła czytać. Znalazł tam Argienidę, Jerozolimę, Kochowskiego, ba i świeższego coś...

Wiersze mu się podobały... Zaczął je sam pisać. Uczyć się już dalej zdawało mu się zbyt ciężkiem... Kilku książkami głowę sobie przewrócił... Wyrósł zaraz na łokieć. Chodził milczący, usta wydymając i w alkierzu przy ogarku pa-

pier zasmarowywał poczwarnemi rzeczami bez ortografii. U jednego ze studentów dostał Naruszewicza, u drugiego były przepisywane piosnki Karpińskiego, coś Krasickiego. Tomko przebiegłszy to, zasmakował w poezyi i powiedział sobie, że on też stworzony jest na poetę.

Było to jakby objawienie przyszłych losów, nikomu się z tego nie spowiadał, ale już wiedział co ma czynić. Czwarta klasa, której zaledwie powąchał, zdawała mu się dla jego jeniusza zbytęzną, professorów miał za nudziarzy... Byle się na świat wyrwać, wiedział już że sobie da rady. Zarozumiałość była olbrzymia... Obdarto chodził, ale z głową do góry i rękami w kieszeniach. Gdy się z niego śmiano, ani patrzył...

Ze studentów, którym już teraz jako redzaj korepetytora pomagał, najmlsi mu byli dwaj bracia Zadarnosecy... Ci go szanowali bardzo, bo tępe nieboraki potrzebowali pomocy we wszystkim, pisał za nich pensa, poprawiał seksterna... u nich jadł, od nich dostawał nawet koszule...

Już mu teraz o nic nie chodziło, tylko jakby się ze szkoły wyrwać na świat... Czwartą klasę czyby był skończył czy nie... a co mu tam! Na wielkanocne święta po Starościców przybył, jak zwykle, pan Ekonom Sawicki,— zastał już znajomego Tomka u paniczów,—a był człek wesoly, zwłaszcza gdy sobie podochocił, w Białej zaś zawsze sobie miódki pozwalał. Wieczorem różne były rozmowy. Przyznał się Chełmicki iżby sobie chciał kondycyi na wsi szukać... Sawicki poczał go egzaminować i powziął o nim wielkie wyobrażenie, bo się Tomko chwalić umiał. Dla niego wszystko było łatwem... Mógł być pisarzem jak nic... Sawicki podręcznego potrzebował.

— Jedź waćpan z nami na święta, rzekł, jeżeli Starosta pozwoli, możesz mieć miejsce, prawda nie koniecznie na początek korzystne, ale sto złotych, wikt, dwie pary butów się znajduję. Rejestra utrzymać nie wielka rzecz.

Nie podziękowawszy nawet, Tomko przyjął wniosek Ekonoma, pożegnał wieczorem wdowę, która się rozplą-

kała, choć jej w końcu więcej dokuczał niż służył, i drapnął z Zadarnoskiami na wieś.

Chłopcy mu radzi byli!

Trzy dni trzeba było przygotowywać Starostę do tego, żeby tego pisarczyka pozwolił sobie pokazać. Wprowadzono go uroczyście, stanął przy drzwiach... Starosta, wielkiej powagi człowiek, miał pedogrę w nogach i z krzesła się nie ruszał, przez pół godziny wypytywał Tomka, poczymchał, pokiwał głową i kazał mu iść na folwark, od wielkiej nocy rejestra trzymać.

Skończyły się tedy te przekłète szkoły! Tomkowi świat się otwierał... Na folwarku po studenckiem zyciu wydawało się jak w raju. Często gęsto kielbasa, mięso codzień, kaszy ile chcesz, masła i nabiału w bród... robota nie ciężka... Izdebkę nawet dostał osobną i tu począł zaraz pisać teksty światowe, ody i elegie...

Płacząc po nim panowie Starościści powrócili do Białej, Tomko został... Pierwszą parę butów do kolan zaraz mu dano, bo często też i na konia sięć było trzeba, i w pole pojechać. Sawicki, który takim wesołym i dobrodusznym wydawał się przyjeżdżając po paniczów, w domu trochę był inny. Nosił przez plecy przewieszoną nahajkę, oczewiście dla chamów przeznaczoną, lecz podpiwszy, że był gorączka, nie bardzo zważał i we dwa miesiące skropił nią Tomka, zastawszy śpiącego pod stogiem. Okrutnie to ubodło poetę, lecz musiał się zmitygować... W parę tygodni, gdy początek był zrobiony, oberwał drugi raz... Jakoś mu się to naturalniuszem wydało, choć poprzysiągł w duszy zemstę tyranowi... I byłby pewnie porzucił go puszczając się w świat, gdyby nie jedna nie potrzebna wcale słabość, która go do miejsca przywiązywała.

Tomko miał lat około szesnastu, a pan Sawicki był ojcem córki panny Barbary, liczącej lat bez mała dwadzieścia, nie brzydkiej dziewczyny, lubiącej śpiewać teksty światowe. Basia miała głosik cienki i przyjemny, choć sama była wytuczona, okrągłuchną i różową jak jabłuszko...

Wcale się nie myślał do niej zbliżyć Tomko, ale jednego razu wieczorem w ganku, który miał dwa grube słupy drewniane, gdy on stał właśnie przy jednym, Basia stanęła przy drugim, kaszłała, chrząkała, zagadała coś, jakby sama do siebie. Niewiedzieć jak, bo on nie wiedział wcale jak, zaczęła się rozmowa... Nie trwała ona długo, bo matkę posłyszawszy, szmergnęła wkrótce potem Basia... A no, na-
zajutrz mimowolnie wieczorem stanął u słupa Tomko, i przypadkiem do drugiego słupa przyszła Basia. Tym razem rozmowa dłuższą była... Tomko się przyznał, iż słyszał ją śpiewającą Filona, chwalił bardzo głos, ale powiedział, że piosenki, na tę samą nutę, dostarczyłby daleko ładniejszej. Miał swoich własnych kilka w zapasie. I tak bliższa poczęła się znajomość. Rozumie się, że o niej rodzice nie wiedzieli wcale, bo i Basiawczasu było zapowiedziano, żeby się z pisarczukiem nie wdawała, i Chełmickiemu Ekonom dał wcześniej do zrozumienia, aby mu się ku córce nie ważył oczyma rzucać.

Stara to historia niebezpieczeństwa zakazanego owocu, ale, gdyby nie te teksty światowe, nigdy by do bliższego porozumienia nie przyszło... Później nieco Basia zamiast Filona, na tę samą nutę śpiewała piosenkę ułożoną przez Tomka, która się jej nierównie wydawała piękniejszą.

Muzyka i poezya są niebezpiecznemi kusicielkami... Stosunki zawiązały się ściślej, chociaż panna Barbara miała narzeczonego w wiosce sąsiedniej, porządnego bardzo człowieka—ale ten tekstów światowych nie pisał... Rodzice niczego się nie domyślali, bo przy obiedzie Tomko nigdy oczów nie podniósł na pannę, ona do niego nie zagadała, odwracali się od siebie jakby się znać nie chcieli...

Schadzki przy słupach okazały się niewygodne... Za folwarkiem był ogród warzywny, konopie, fasola, nawet trochę chmielu... cieniste aleje tyczek okrytych zielenią... Tam raz pan Sawicki zastał wieczorem Tomka z córką na rozmowie, która mu się tak dalece niepodobała, iż tegoż wieczora kilka razy dostawszy po plecach, poeta wynosić

się musiał z folwarku. Pannę potem w miesiąc wydano jak było w planie, za porządnego człowieka, który ekono-
mował w sąsiedztwie.

Chełmicki, ledwie mając czas pochwycić swe papiery i zawiniątka, z bólem w sercu i na plecach wynosić się musiał... Sawicki był tak nieuczciwym, że mu nawet pensyi nie wypłacił i drugiej pary butów nie oddał. Upominać się o to nie było podobna, nie narażając na porywczosć człowieka, który do późnej nocy nahajki nie zdejmował z siebie.. i ani szlachectwa w człowieku, ani jeniusza poszanować nie umiał.

Chełmicki wszedł naprzód do najbliższej karczmy, na-
zajutrz puścił się drogą do lasu, błdził cały dzień medytując co pocnie i sam nie wiedział jak znalazł się w Łosicach. Stosunków tu nie miał żadnych, oprócz z Aronem, który zboże u Starosty kupował, a że mu je Tomko mierzył i wyprawiał, byli z sobą na dosyć przyjacielskiej stopie.—Zaszedł tedy do niego, żyd zrazu powitał bardzo mile, lecz przyszło do zwierzeń. Dowiedziawszy się jak był Tomko z Sawickim, Aron dyplomata, niechcąc się narażać potrzebnej mu potencji, ostygł znacznie i radził się nieszcześliwemu emigrantowi wynieść do swojego zięcia. Tu u tego handlarza, pisząc rejestra, listy i różne żydom Łosickim potrzebne dokumenta, poeta przebył dni kilka, na łokszynie, rybnie po żydowsku, jajach gotowanych i tym podobnych przysmakach. Wiecznie tak pozostać wszakże nie było podobna... Pod pewnemi warunkami Lejbuś ofiarował się rekomendować go na pisarza do pana Rotmistrza Mierzwińskiego. Umowa została zawartą. W kilka dni potem przedstawił się panu Mierzwińskiemu kandydat, nie umiejąc jasno wytłómaczyć dla czego porzucił miejsce u Zadarnoskich.

Przyjęto go jednakże—Rotmistrz Ekonoma nie trzymał, pisarzem się obchodził, robota była niezmiernie ciężka, ani zasnąć. ani spocząć... ani poezyi pisać, ani bąków zbijać... W parę miesięcy poczuł Tomko, że to było miejsce nie dla niego... Wrodzona pocięta skłonność do marzeń

i swobody wzięła górę... Podziękował za służbę. Rotmistrz, który był z niego dosyć zadowolniony, w pasyę wpadł. Rozstali się nie dobrze... Chelmiński znalazłszy się na bruku, ale z kilku talarami, począł rozmyślać mocno co ma z sobą robić dalej.

W czasie pobytu u Zadarnoskich dowiedział się wypadkiem, że na probostwie w Z... żył od dawna staruszek ksiądz, wielce uczony, bardzo zacny, który się nazywał Chelmińskim jak on. Postanowił udać się do niego—a nuż krewny? a choćby tylko imiennik... Nająwszy furkę i śpiąc na niej aby czasu nie tracić, dostał się na probostwo...

Wyszedł ku niemu starowina milezący, okulary trzymając w ręku... Dowiedziawszy się co zaczął i o co mu idzie, uprzejmie go do plebanii zaprosił, aby się rozgościł. U księdza ubogo było i nawet nie chędogo. Dwie izdebki z małemi okienkami od góry do dołu zajęte zapyłonymi książkami. Przy oknie jednym stolik, na nim porozrzucone folianty, papier, pióra... Zresztą otłuczony talerz, nie lepszy dzbanek i brudny ręcznik na kolku...

Ksiądz był rad przybyszowi, dał mu izdebinę na górze, począł wypytywać. Nazajutrz się Tomko rozruszawszy i z poezyi wypowiedział i z całej zarozumiałości swojej. Ksiądz się śmiał... Kazał sobie pokazać ody i elegie, przeczytał i rzekł:

— Bzdurstwo jest—kochanku, a ortografii w tem nawet niema... Trzeba się uczyć... nic nie umiesz... weź się pilno, przysiedź fałdów...

Tomko wysłuchał, nie odpowiedział jużci nic, bo nie wypadało, ale pomyślał... At—plecie, stary mól—u nich wszystko w Alwarze i łacinie, a to już te czasy przeszły... Jeszcze i ortografii chce!!

Obrażonym był do żywego, lecz mając litość nad proboszczem pozostał, sądząc iż się pomiarkuje, rozpatrzy lepiej i inne wyda zdanie. Stary mu książki podtykał, a egzaminował nielitościwie, a swoje powtarzał.

— Ucz się... ucz...

Było to w końcu do niezniesienia... Tomko książki brał, na górę niósł, tam czasem jaką przerzucił, częściej na łóżku się położywszy, dumał o sobie i przyszłych losach... Zeszło tak parę miesięcy, ksiądz mu ciągle swoje prawił.— Ucz się...

Tomko milczał, a myślał tylko co dalej poczynąć.— Tak dłużej pozostać nie mogło... Rozpatrywał się po sąsiedztwie. O mil dwie mieszkał pan Podkomorzy Grablewski. Żonaty po raz wtóry, miał córkę dorosłą z pierwszego małżeństwa i dwóch chłopaków, których potrzeba było do szkół przygotować.

Nic nie mówiąc proboszczowi, Tomko pojechał się stręczyć za nauczyciela.

Ponieważ do chłopców pilno było kogoś potrzeba, przyjęto go jakby z nieba spadł. Ale znowu Podkomorzy podejrzliwy był i ani sobie, ani ludziom nie wierzył łatwo. Wzięto więc na egzamin kandydata, sprowadzono księdza, trzy dni brano na spytki i okazało się, iż do klasy drugiej, mógł z biedy chłopców przygotować.— Stanął więc układ korzystny, złotych trzysta, stół pański i perspektywa gratyfikacji.

Podkomorzyce byli rozpuszczeni, rozwydrzeni, Boże odpuść, Chełmicki niecierpliwy; zaraz pierwszych dni przyszło się do uszów dobierać... Ojciec surowości nie zganił, matka stała się nieprzyjaciółką. Jednakże szło to powoli, a tymczasem zbliżył się pan Chełmicki do panny Podkomorzanki, której macocha także nie lubiła.—Znajomość ta wcale nie była potrzebna; poeta czuł dreszcze przechodzące po plecach i miał się na ostrożności. Panna Dorota nudziła się, miała usposobienia poetyczne, czytywała... kazała sobie przepisywać... Chełmicki był ostrożny, Podkomorzanka nieopatrna... Macocha szpiegowała, i rok się nie skończył, gdy ojcu doniosła, że ten obdartus, śmiał oczy podnieść na obywatelską córkę, na Podkomorzankę! Nie było tam w tym stosunku nic zdrożnego, ale zarządzona ścisła rewizya w szkatułce panny Doroty, nietylko pieśni

bardzo romansowe z jej imieniem, ale kilka listów oczywiście ręką guwenera pisanych wykryła...

Powstała z tego burza, którą tylko względ wyższej polityki na reputację Podkomorzanki od okrutnego wstrzymał wybuchu. Chełmicki otrzymał rozkaz opuszczenia domu w godzin kilka, zaszła furmanka chłopska, chłopcy, których ciągał niełitościwie za uszy, wybiegli w ganek, z palcami poprzykładanemi do nosów, i Tomko znalazł się w najbliższej karczmie zwanej „Wygodą”—*ut lucus a non lucendo*, z węzłkami, poezią, nadziejami słabemi a rozpaczą okrutną.

Furka chłopska wyrzuciwszy go w tym porcie niegościnnym, sama natychmiast powróciła do dalszego wywożenia gnoju. Uczyniono mu bowiem tę ignominią, że go wozem z pola schwyconym umyślnie wytransportowano... Zarzekał się Chełmicki, iż nigdy więcej żadnych stosunków z niewiastami mieć nie będzie.

Karczma Wygodą zwana położoną była w lesie, otaczały ją sosny—był dosyć ładny dzień wiosenny. (Gnój wozono pod jęczmień późny).—Usiadłszy na obrabanej kłodzie za stajnią, młody syn Apollina siedział zadumany, gdy zaturkotało...

Miał już tyle doświadczenia w uchu, nabytego w czasie pobytu na wsi, że turkot chłopskiej fury od szlacheckiej bryczki umiał rozróżnić...

Była to bryczka szlachecka, ale rozchełtana i stara, bo już zdala wszystko w niej brzęczało, dzwoniło, trzeszczało, łał pischczało... Obejrzał się, stanęła przed Wygodą, a z pomocą chłopca, który zeskoczył z kozła, wydobył się z ciemnego jej wnętrza otyły, sapiący, stary już człowiek. Poznał w nim Tomko widywanego u Podkomorstwa pana Podstolego... Spotkanie to było nie koniecznie miłe, człek skąpy, nieuczynny, dumny, nudny... Tomko postanowił pozostać na kłodzie i nie zbliżać się wcale do tego pana, gdy wrzawa się zrobiła w karczmie i żyd, żydówka, żydóweczka, chłopiec, ukazali się niosąc stół i ławkę, właśnie w to

miejsce, które sobie on obrał dla spoczynku. Podstoli sapiąc szedł za nimi, spojrzał, przypatrzył się, poznał.

— A co tu asindziej robisz? ha?

Chełmicki skłonił się i rzekł cicho.

— W drodze jestem.

Dał do zrozumienia, że nie rad był mówić przy ludziach, i Podstoli się umieścił w milczeniu, na chłodku... spoglądając na stojącego opodal jegomości. Wnet kazał sobie podać ryby po żydowsku i piwa... Apetyt miał dobry, zajęło go to mocno, i Chełmicki pozostał na stronie nie badany. Dopiero po niejakej chwili, wydychawszy rybę, odsunawszy talerz i uznawszy po sprzątnięciu jadła i napitku, że to wszystko było:

— Paskudztwo,—Podstoli podniósł głowę i kiwnął na Chełmickiego aby bliżej przystąpił.

— Co asindziej tu robisz! mów...

Podstoli był znakomitym typem zardzewiałego domatora, roztyłego w beczynności, zabrukanego, zakwaśniałego szlachcica, nawykłego do rozkazywania i obracania się w małym światku swoim. Z niepokoju, który chwilami malował się na jego twarzy, znać było, że wyruszywszy z domu, czuł się jakby nie w swoim żywiole, w obcej atmosferze i w duszy musiał już na niepotrzebny wyjazd narzekać.

Twarz miał nalaną i bladą, spiącą, oczy głęboko utopione w policzkach, i pod brwiami nos zawieszisty, obrzękły, wąsy niepewnej barwy i kształtów zaniedbanych. Ogólny wyraz twarzy mówił o bucie szlacheckiej, o złym humorze i o pewnem znużeniu wiekowi właściwem.

Mógł mieć lat ze sześćdziesiąt.

Strój jego niewykwintny, podróżny, składał się z szaraczkowego surduta, dobrze wytartego i wyslizganego na łokciach, z pod którego wyglądała barwy nieoznaczonej, zabrukana sosami, kamizelka—na niej zaś skromny łańcuszek do zegarka. Długie buty kozłowe pomarszczone, szerokie, rozchodzone, okrywały nogi potężnych rozmiarów. Pomi-

mo tej skromnej odzieży, chciało mu się pańsko wyglądać—
dał się.

— Co asindziej tu robisz? he...

— W podróży jestem...

— Dokąd?

Chełmicki się namyślał.

— Pewnie, że mi przyjdzie do Warszawy...

— E? do Warszawy—a cóż to, u Podkomorzego już
nie jesteś?

— Nie—podziękowałem mu...

— Psy—sy!—z powodu?..

— Rozmaite były...

Podstoli z pozostałego chleba zaczął gałkę kręcić
i milczał.

— Sekreta—tajemnice! mruknął.

— Bynajmniej—zawołał panosząc się nieco Chełmi-
cki, gotów jestem panu Podstolemu opowiedzieć wszystko...
a! dalipan byłoby czego posłuchać.

Podstoli spojrział z niedowierzaniem...

— No, to asindziej mów—a—i owszem. Koniom do-
piero co obrok zasypano...

Zebrawszy myśli, Chełmicki po chwili rozpoczął.

— Już tam o moich początkach nie będę się rozsze-
rzał.—Nie wstydzę się tego, iż sierotą byłem i jestem... Któż
nie zna co sieroce dole... Wiadoma rzecz! Kto taką szkołę
przeżył za młodu, ma naukę na całe życie.

— Ale czekajże asindziej — przerwał nachmurzony
Podstoli—co znowu? Kiedy już masz gadać, a ja mam słu-
chać... mów porządnie—*ab ovo*, zaczynaj od początku... Ja
się domyślać nie lubię, po co mam głowę pracować, kie-
dy mogę gotowe mieć... Tylko nie lżyj—proszę... ja zwą-
cham...

Sposób wyrażenia się rubaszny pana Podstolego, nie
w smak był dziecięciu Muz—skrzywił się. On sam, zwłasz-
cza w zapale, chorował na patetyczność i retorykę.

— Po cóż bym miał tu fikcyę jakieś tworzyć—odparł

ramionami ruszając,—nie mam się czem chwalić, ale się nie mam czego i wstydzić... Nazywam się, jak panu zapewne wiadomo Chełmicki, pochodzę z rodziny szlacheckiej, herbu Korczak, z ziemi Wieluńskiej, mieliśmy tam dziedziczne dobra znaczne Chełmice... Chełmczyk i Poradowo... Ojciec mój był Rotmistrzem kawaleryi... Majątki poszły...

Mówił to z taką pewnością i tak śmiało patrząc w oczy Podstolemu. iż mu trudno było zadać kłanstwo, jednakże stary z podełba popatrzawszy, mruknął sam do siebie nie wyrażnie:—Aż się kurzy!!

— Cóż dalej? co dalej? dodał głośno.

— Chociażemy byli skoligaceni z pańskimi rodzinami i krewnych mamy bogatych, wiadoma to rzecz, że familia zna cię tylko dopókiś w dobrym bycie. Tak i z nami, gdy ojcu wsie powydzierano, wszyscy się od nas odwrócili, stary żołnierz, nawykły do pańskiego życia, został bez kawałka chleba na starość. Co miał począć? proszę pana Podstolego, co miał począć?

— A! dalibóg niewiem... no cóż, poszedł służyć u bogatych familiantów? odparł stary.

— Nie! nigdy! mówił z zapałem poeta, powoli tworząc sobie historję fantastyczną swojego życia... Był to człowiek niepospolity! nauki miał wiele... Zgłosił się o miejsce profesora, przyjęto go z wdzięcznością... Profesorem był w Akademii co mu posłużyło do dania mi tego wychowania, jakim się poszczycić mogę!

Podstoli spojrział tylko i oczy spuścił, zaczynał mu imponować.

— Tym sposobem odebrałem edukacyę pod okiem ojca, który, można powiedzieć, całą akademią kierował, bo go tam wielce szanowano. Ale to była taka szlachetna pańska natura, że nie oglądając się na przyszłość, co miał to ludziom lub na szkoły zaraz oddał. Gdy mu się biednemu zmarło, nie pozostało po nim nic... na zawinięcie palca. Prawda, że mu pogrzeb sprawiono tak paradny, jak ludzie nie pamiętają..

Byłem małym chłopcem, gdy mnie odumarkł. *Proprio motu, graemium* profesorów wzięło mnie za przybrane dziecko i swoim kosztem kończyło moje wychowanie.

Podstolego już ta chwalba nużyła po troszę.

— A no—odezwał się—dajmy na to żeś się asindziej wychował—cóż tedy dalej?

— Szkoły skończywszy a raczej Akademię—mówił odchrząknąwszy Tomko—trzeba było myśleć o sobie... Choć i mnie namawiano do stanu duchownego i na profesora, widząc moje zdolności, ale powołania w sobie nie czułem... do gospodarki, do roli miałem ochotę okrutną. We krwi to było! Postanowiłem więc rozpocząć ten zawód, choćby od najskromniejszego stanowiska, pisarza prowentowego...

Rozśmiał się Podstoli.

— Pan się śmieje?—rzekł Chelmiński—w istocie człowiekowi z edukacją, z piórem i poecie, który mógł zaraz otrzymać miejsce w szkołach, jakiegoby tylko zapragnął... a! z ucałowaniem rąk byliby mnie wzięli—bo mało nie płakali, gdym się oddalał... ale miałem, panie dobrodziej, pasyę do gospodarki, a jak kogo opanuje taka namiętność, głowę traci... Dosyć, że u państwa Zadarnoskich wszedłem jako pisarz w obowiązki. Skromne początki.—Sawicki niejaki był u nich Ekonomem, człek prosty, gbur, grubianin, nie mogący ocenić nawet takiego, jak ja człowieka... ale co robić było? Na początek musiałem to znosić...

— Tego Sawickiego bodaj czym nie znał,—odezwał się Podstoli—nim się dostał do Zadarnoskich, miał kondycję w Wisznicach, chłopisko duże, chodził zawsze z bizonem, i pił.

— Ten sam! ten sam—podchwycił żywo Chelmiński—tak, pił, a gdy się napił, jak desperat rzucał się na ludzi, bez żadnego względu i pamięci.—Obmierzła mi wkrótce taka służba i pod takim zwierzchnikiem... byłbym sobie innej zaraz szukał, lecz do czasu cierpiałem... miał pewne sekreta gospodarskie, których się chciałem nauczyć. Przytem, przyznam się panu dobrodziejowi—nie mam potrzeby taić, córka

Sawickiego szalenie się we mnie zakochała... Stroniłem od niej, bo mi tam takie amory folwarczne wcale w głowie nie były, ale w końcu litość we mnie obudziła.

Podstoli wąsy wydał niezmiernie, brwi zmarszczył, groźnie spojrzał na młokosa...

— A no—mów asindziej dalej, bo tu gadu gadu, a konie już pewnie muszą zaprzęgać.

Domawiał tych wyrazów, odwrócony tyłem do wrót gospody, gdy po za nim coś chrząknęło znacząco, jakby dla zwrócenia jego uwagi. Poznał głos swojego Maćka, pacholika, który mu towarzyszył.—Stał widocznie czemś mocno skłopotany.

— Czego ty chcesz, bałwanie? co cię tu przyniosło, ty nieboże stworzenie?—zapytał Podstoli zwracając się ku niemu... — Czego? mów, czegoś przyszedł? Stoisz? No—otwórz że gębę. Konie pewno zjadły, wołaj tego Judasza do obrachunku...

— Ale, proszę jaśnie pana...

— Co za ale... czegoś chcesz! gadaj!

— A to z kołem potrzeba do kowala... musi urwanta zrobić, bo do noclegu nie dociągniemy...

— Masz tobie! podnosząc ręce do góry zakrzyczał Podstoli.—Dwadzieścia pięć temu gapiowi, temu niezdarze, śmierdziuchowi Jackowi... A mówiłem, obejrzeć bryczkę dobrze, żeby mi się w drodze nic nie psuło,—bo będą baty! I będą! i będą—które koło?

— A no zadnie, prawe, proszę jaśnie pana... Jacek mówi, że jako żywo, to koło w wozowni panu pokazywał, a jasny pan mu powiedział—dojdzie ono i wróci, nie ucz mnie rozumu.

Rozgniewał się strasznie Podstoli za to przypomnienie, obie pięści przyłożył sobie do skroni.

— A nie pójdziesz ty precz z oczów moich! pókiś cały, ty jakiś, z wyparzoną gębą, co ty mi będziesz moje słowa wypominał... A won... a precz!

Maciek nie czekając reszty rzucił się do szopy.—Za nim grzmiał głos:

— Żeby mi koło było wnet gotowe — a nie, to basy, i to takie basy... jakichście jeszcze nie kosztowali...

Ten epizod, jakkolwiek mowcy dawał czas namyslenia się nad dalszą biografią, nie był mu na rękę,—wpłynął bowiem szkodliwie na usposobienie słuchacza—Podstoli zburzony był, warczał, mruczał, pluł, sam do siebie coś mówił i pięścią kilka razy w stół uderzył, aż talerz zabrzęczał i butelka próżna poskoczyła o mało się nie wywróciwszy—Chełmicki przyszedł jej w pomoc.

Chwilę trwało milczenie, a raczej monolog Podstolego.

— Trutnie jakieś! łotry! Urwanta potrzeba! a za urwanta na trakcie, co sobie kowal każe zapłacić, to ja wiem... Ten się nie ulituje, temu w to graj! Albo to ja nie znam tych cyganów kowali, co na podróжных po gościńcach czatują! To są złodzieje, rozbójnicy... to nie ma Boga w sercu! Kawałeczek kiepskiego żelaza, poklepie go tam trochę, węgiel go w lesie nic nie kosztuje... a każe sobie na wagę złota płacić... a taksy na to nie ma... cóż? procesować się z rozbójnikiem. Urwisze... Urwanta im się zachciało...

Głośno poczęty monolog ten, skutkiem rozmysłu, zwolna coraz chłodniej był deklamowany i skończył się mruczeniem niemal obojętnem.

Chełmicki stał, słuchał, a że miał taki zły zwyczaj, pażnogcie sobie do krwi ogryzał.

— A no? co dalej! mów już asindziej, słuchając człek o swojej biedzie zapomni. Co dalej? Radbym tego urwanta pozbyć z głowy.

Chełmickiemu twarz się wyjaśniła, zatarł czuba i żywo podchwycił, coraz się do Podstolego przysuwając.

— Mówilem o tem jaka mnie bieda tam spotkała, że się dziewczyna we mnie rozkochała szalenie, powiadam panu dobrodziejowi, w śmierć... Była już zaswatana majętne-
mu ekonomowi z sąsiedztwa, który miał za co bodaj dzierzawę wziąć, ale za niego nie chciała... choć jej persadowa-
łem, że grosza przy duszy nie mam i żenić się nie mogę. Nic

nie pomagało... Kłopotli strach. a nuż się dowie ten impektyk Sawicki... a posądzą mnie, i żeby znowu jakiego nie-szczęścia z tego nie było...

Chcąc pannie wyperswadować, zaprosiłem ją do ogrodu na rozmowę... djabeł nie śpi... Sawicki już miał podejrzenie. Wpada na mnie z furją... porwałem za kij... wyłomotałem go okrutnie, nie pozostawało mi potem nic tylko uchodzić... Porzuciłem miejsce, manatki, pieniądze, wszystko... a dziewczyna słysząc topić się chciała...

Podstoli się uśmiechał... widać było, że choć był słuchaczem powolnym, nie spełna temu wierzył.

— A ja, myślałem, dodał cicho, żeby on, Broni Boże, waćpana tym bizunem nie wykropił...

— Byłbym go trupem położył, gdyby mnie śmiał tknąć—z zapalem zawołał Tomko...

— Mów no asindziej—dalej—przerwał Podstoli.

— Z biedy jakiś czas potem przesiedziałem w gospodzie w Łosicach, odpoczywając po tej awanturze...

Żyd u którego mieszkałem, nastroczył mi inne miejsce

Rotmistrza, choć liche, prawdę powiedziawszy—ale mając zwykłą do gospodarstwa, przyjąłem jakie było... Myślałem, że u takiego rolnika jak Rotmistrz, człowiek się wciągnie i coś nauczy... ale to było istne piekło, panie dobrodzieju... Ekonoma nie trzymał, musiałem mu służyć, dziesięć razy jeden, za wszystkich, za włodarza, za pisarza, za rządzcę, za ekonoma, za sekretarza, za leśniczego... Człowiek się kładł, gdy kury pierwsze piał, a o drugich wstawał... Przytem Rotmistrz człek bez żadnej delikatności... łajał od ostatnich... Cierpiałem, cierpiałem, wreszcie mu słowa prawdy powiedziawszy, ruszył precz... Rozstaliśmy się nie ciekawie...

— Szczęście, że na sucho—zamruczał Podstoli, bo jak ja go znam, on na wszystko gotów... pasjonat...

— Tak! tak! ale wiedział z kim miał do czynienia—ze mną też nie przelewki—rzekł Tomko...

Podstoli wąsa pokręcił, zajrzał do próżnej szklanki

od piwa, w której się dużo much nazbierało i chrząknął tylko...

— Dopierom sobie naówczas przypomniał, mówił Tomko, o księdzu Karolu Chelmieckim, dalekim kuzynie naszym..., który na probostwie o kilka mil siedział. Pojechałem do niego... Przyjął mnie starowina, mogę powiedzieć jak syna... Miałem jednak na sumieniu być mu ciężarem, bo człek bardzo ubogi—no—i prawdę rzekłszy—zgodzić się z sobą nie mogliśmy...

Niewiele miał księżyna nauki a dużo o sobie rozumiał, bywało rozmowa się weźmie o uczonych przedmiotach, jak go przypnę do kąta... ani rusz. A potem się na mnie gniewa... przekonawszy się, że racyj nie miał. A ze mną nigdy jej nie miał.

Tu Chelmiecki się rozśmiał, Podstoli mu zawtórował.

— Historye!—rzekł jakby sam do siebie—historye! Mów asindziej dalej—jakżeś się dostał do Podkomorzego?

— A cóż? bardzo prosta rzecz... mówił dalej Chelmiecki—dowiedziałem się, że nauczyciela do chłopców potrzebują... Myślę sobie, dwa razy próbowałem gospodarki... z gburami i chłopstwem trzeba mieć do czynienia, to nie dla mnie,—muszę temu dać pokój... Z poezją się to nie godzi; z dwojga wybierając, przy niej wolę pozostać... Jej się poświęcę—a tym czasem, póki się człek da światu poznać—trzeba choć bakałarzować. Korona z głowy nie spadnie. Zaprezentowałem się panu Podkomorzemu, który jak tylko zemną pomówił, rękami i nogami się mnie pochwycił, złote góry mi obiecując. Ale ja zapragnąłem się z domem obeznać wprzód. Tydzień cały trutynowałem te okoliczności.—No—jakoś mi się zdało znośnie, a zresztą—czy to zawsze człek może przebierać.—Zgodziłem się.. O tym domu ja nie potrzebuję panu mówić, bo pan go zna.

— Bardzo dobrze... rzekł Podstoli.

— No i wszystko pan wie!

— Zdaje mi się? albo co? zapytał Podstoli.

— Podkomorzy zonaty powtórnie.—Z pierwszego małżeństwa córka jedna starsza, z drugiego te chłopcy, około których mnie miało być powierzone staranie. Łukta, mości dobrodzieju wiekuista, między macochą a córką Podkomorzego. Sama jejmość za swojemi dziećmi przepada, a cudzego nienawidzi. Chłopcy rozpuszczone na dziadowskie bicze, ani ich dó nauki napędzić, za uszy musiałem kręcić... a byle którego tknąć, na skargę do matki, matka do ojca... Podkomorzy na mnie z góry, ja na niego... Mówię, bez bicia nie ma nauki, bo się inaczej nie wrazi... pani w płacz... Ojciec był za różgami—ona przeciw... Nie mówiła w końcu Podkomorzyna nic, ale mi zemstę poprzysięgła—słyszałem sam jak wrzeszczała jedną razą:—Nie będzie on tu popasał, wykurzę go prędko... Jednak, że chłopcy się czegoś nauczyli, Podkomorzy moją stronę trzymał. Miałem też przyjaciółkę i alianta w pannie Dorocie Podkomorzance, osobie wysoko edukowanej, która wiersze lubiła...

— Masz tobie—przyjdą znówu teksty światowe i będzie awantura, ani chybi! mruknął Podstoli.

Już mu tego widać było nadto i całego opowiadania może, bo nagle postrzegłszy Maćka, który się przez wrota karczmy przemykał, huknął Podstoli, nie zważając wcale na opowiadającego:

— Maćku, skurczypałko jakiś—a długoż wy tam tego zakłętego urwanta kuć będziecie?

W progu zjawił się nie Maciek, ale sam winowajca Jacek, chłop jak dąb, nie nie ustraszony tem, że mu owe dwadzieścia pięć odlewanych przyobiecano.

Uśmiechał się nawet nieco szydersko... a szeplenił trochę z mazurska, bo pono z Mazurów pochodził.

— Zaś! zaś! rzekł—abo to jednego urwanta tylko trzeba? a toć dwa! a i z temi dwoma Bogu wiadomo jak dalećko zajedziema. Koło się rozsypało wszetecznie. Abo to ja temu winien... cy to pan nie pamięta, com pokazywał... a jaśnie pan jeszcze mię pięścią wałnął w plecy... żeby miłczał... A no teraz — jest... I zniknął. Podstoli i teraz

znowu pięścią tłukł ale po stole, zdawał się zupełnie o historyi pana Chełmickiego zapominać, głowę spuścił, ramioną podniósł.—Daj was wszyscy.... wzięli...

Potem podniósł oczy ku drzwiom austeryi i nagle determinacyę powziąwszy, głosem potężnym zawołał:

— Maciek—sam tu!

Chłopiec rad nie rad ukazał się w progu.

— Trutniu jakiś—rzekł Podstoli biorąc ze stołu próżną butelkę—idź i przynieś mi butelkowanego, marcowego, słysz! ale żeby mi było chłodne, z loszku wprost i niezwietrzałe.

Maciek już szedł, gdy zważywszy wszystko—ciszej dodał Podstoli.

— I drugą szklankę...

Chełmickiemu czyniło to błogą nadzieję, iż z tej drugiej on marcowe piwo pić będzie, więc, choć dotąd nie jadł nic i, ściśle biorąc, nie było po czem popijać—ucieszył się, że na dalsze losu ewenta trochę sił zaczerpnie...

Maciek zjawił się wkrótce z powrotem z butelką, którą odkorkował w oczach Podstolego, ażeby kwalifikacya piwa nie ulegała wątpliwości. Stary wytrząsnąwszy z niej muchy, szklankę swoją nastawił cheiwie, nalaną pochłonał gwałtownie, podał ją natychmiast do napełnienia raz jeszcze i z pozostałości dopiero do wakującego szkła dla Chełmickiego wysączył coś, stawiając przed nim niepełną szklankę... Żeby zaś żydowi nic nie zostawić, ostatki zcedził do swojej szklanki, wypił je i wąsy otarł rękawem.

— Jakże się tedy skończyło u Podkomorstwa—czy, broń Boże, nie tragicznie? zapytał:

— To się łatwo domysleć—dodał Chełmicki ciszej, nadpiwszy ze swojej szklanki, i resztę pokrywając od much ręką, jam temu nie winien, bom się do Podkomorzanki nie zalecał—ale mam szczęście do kobiet... trochę się we mnie pokochała... Byłem z respektem dla niej i nie bez sentymentu, ale zdaleka... Do tego przyszło, prawda, że parę

tekstów jej, własnych przepisałem, i potem tam... parę liścików...

— Skurczypałka! rzekł w duchu Podstoli...

— Macocha to wszystko wyszpiewowała—ciągnął dalej Chełmicki... Znaleźli u panny w szkatułce pisanie. Dopieroż Podkomorzy się o mało nie wściekł, zwłaszcza gdy mu się postawił jak należało—bom i ja też, choć chwilowo w tej sytuacji, ale nie lada Hetka Pętka... Od słowa do słowa... porzuciłem miejsce... i koniec.

To mówiąc podniósł głowę syn Apollina dumnie, dopił resztę piwa, szklankę silnie na stole postawił i oburącz włosy ująwszy, nastrzępił je do góry...

Piwo czy fantazyja wielka wstąpiły mu do głowy.

— Przetoć nie zginę! zawołał—opatrność wie co robi, że mnie z tej grzędawicy wyrwała. Co tu, na wsi, między temi ograniczonemi ludźmi robić, co się na człowieku poznać nie umieją? Dostanę się do stolicy... przecież król literatów i poetów proteguje, przecie tam jest świat co się zna na tych rzeczach... Tam ja, panie Podstoli dobrodzieju, swojego pewny, byłem się im dać poznać...

Pan dobrodziej się, widzę, jakoś uśmiecha—kończył Chełmicki, nie dziwuję się, pan mnie nie zna! Nie chwalcę się—u mnie co pan chce... jak pan chce, każdy rodzaj poezyi — toczy się, panie dobrodzieju, jak z pełnej beczki. U mnie rym niczem... Ja sam nie wiem zkąd mi się to bierze—dar Boży... sam się nieraz dziwuję, ale to tak się leje, leje...

Ręką zamachnął w powietrzu.—Pan Podstoli przypatrywał mu się ciekawie, widać było, że choć mu nie dowierzał, ale nie mógł się oprzeć i pewnemu wrażeniu. Człowiek był tak siebie pewny, iż stary dał mu się obalamucić. Spojrzał nań ukradkiem, twarz wyrażała taką pewnością siebie i dumę, jakby pod tą pokrywą w istocie skarby leżały...

— Kto go wie? pomyślał Podstoli—hm? dorwie się do króla—król na to łasy, może się czegoś dochrapać... hm!

— A więc cóż? spytał Podstoli.—Asindziej tu widzę furmanki nie masz—więc chyba *per pedes apostolorum*, na pieszaka do Warszawy...

— A cóż robić! nie pierwszy i nie ostatni poeta bez butów i bez protekcyi! zawołał rozgrzewając się Chełmiński — a Dyogenes, a Ezopus, a ten co to wiersze pisał i w żarnach mełł zamiast osła... chodzi to po ludziach...

Ja się ubóstwa nie wstydzę, a dla tego o laurach nie wątpię... Zobaczymy...

Podstoli mu się przyglądał jak ciekawemu zjawisku.

— A kat go wie? — mówił w duchu — okrutnie zuchwały.—*Audaces fortuna juvat!* Kat go wie?

W tej chwili właśnie bryczka o próg stuknęła i czterema końmi wzdłuż zaprzężony ekwipaż Podstolego wytoczył się na gościniec. Nie był on paradny, ale dla mającego iść pieszo, wydał się niemal zbyt kownym, po furze na której przyjechał. Bryka była skórami w domu przez rymarza samouka kryta, połatana, niepozorna, ale głęboka, wypakowana mocno, derami ponakrywana. Na koźle siedział wspólnie Jacek z ogromnem biczyskiem w ręku, białe z czerwonym malowaniem. Konie chude, kościste z szerścią ponajęźaną chorobliwie, w starych chomątach popodkładanych od zacierania, nie bardzo dobrane wzrostem ni maścią, ciągnęły budę z wysiłkiem. Wyglądało to nieładnie, a koło z urwantami i lusznie obłuzowane, z pomocą siana i słomy poprzymocowywane, ozdoby jej nie dodawały.

Podstoli nie wiele dbał o zewnętrzną postać rzeczy... a pieniędzy na zbytki wydawać nie lubił.

W tej chwili zamyślony coś się zdawał kombinować i z czemś wahać jeszcze.—W istocie miał ochotę jakąś zabrać z sobą Chełmińskiego, bo i on jechał do Warszawy. Koniom by to niewiele dodało ciężaru, szło tylko o wikt, którego skąpy Podstoli dawać sobie znowu nie życzył, a wreszcie o umieszczenie delikwenta.

Posadzić go przy sobie nie miał ochoty, w budzie na dwóch było przyciasno, ale mógł go dać Jackowi na koziół,

a Maćkowi kazać usiąść na drążku.. Cóżby to młodemu zaszkodziło?

Rozmyśliwszy się, odwrócił do stojącego z oczyma ku niebu skierowanemi i uśmieszkiem ironicznym poety...

— Wiesz asindziej co?—rzekł—ja bym mógł asindziej zawieść do Warszawy, ale potrzeba się nam porozumieć co do wikt... Wiktu ja asindziejowi nie dam, sam jestem z postem. Suchedni i pewna intencya... a po karczmach jeść, to te łajdaki trują, a niewiedzieć co sobie potem każą płacić... ot tak jak za tę rybę po żydowsku... Szczupak był śmierdzący, a złotówkę za porcyę wziął i ledwie było dwa kaski.

— Ale jeżeli pan Podstoli łaskaw—odezwał się Chełmicki—ja wikt nie potrzebuję...

— No—i do budy wziąć też nie mogę, bo ja się lubię rozsiaść wygodnie.. a czasem drzemię, to się wywracam... Chcesz na kozle, to niech Maciek siada na drążku...

Maciek zrobił minę brzydką, której nikt nie postrzegł, a Chełmicki z fantazyą wielką już się do Jacka na kozioł drapał, ażeby mu to nie uciekło...

— Upadam do nóg pana Podstolego—rzekł, ja właśnie lubię świeże powietrze...

Rozpoczęło się wsiadanie samego gospodarza budy, któremu stołeczek przynieść trzeba było, bo stopień drewniany wystający z pod kosza był wysoki. Maciek podał rękę z jednej strony, Chełmicki z kozła windował go do góry, i tak jakoś udało się go zaciągnąć sapiącego do wnętrza.

Dopieroż rozpoczęło się wygniatanie siedzenia na tłumoku... podkładanie skórzanych poduszek—·a gdy wszystko było gotowem i Maciek usiadł na tym drążku przeklętym, który go piłował, Podstoli się przeżegnał i rzekł:

— Ruszaj—a wio... tam...

Jacek bata rozpuścił, klasnął koniom zobojetniałym nad głowami i bryka potoczyła się zwolna.

Na pierwszej ćwierci mili Podstoli drzemać zaczął,

ruch go zawsze przyjemnie do snu kołysał,—zrazu tylko chrapał, poczekawszy trochę już i świstał przez nos i burczał i najrozmaitsze wydawał głosy, a głowa to na piersi spadała, to w tył się chyliła, to na ścianie budy spoczywała... Niekiedy się budził, potarł ręką po twarzy i znowu usypiał nie mogąc przewyciężyć do snu ochoty...

Niepoczciwa służba, Jacek i Maciek, spoglądali na pana i śmieszki sobie z niego bezwstydnie stroili... Chełmiński ręce na piersiach założył, było mu z tem pięknie jakoś, oczy w górę podniósł, usta wydał i w głęboką wpadł zadumę.—Prawdopodobnie Muz i Apollina w pomoc wezwawszy, coś płodzić musiał dla potomności.

Podróż pana Podstolego dłużej daleko trwała niż on i ludzie jego rachowali. Przypadek pierwszy z kołem i urwantami był jakby przepowiednią najrozmaitszych nieszczęść, które się przez całą drogę po parę razy codzień powtarzać miały.

Pobudzało to Podstolego do gniewu, utrzymywało w złym humorze, rodziło całe nieprzewidywane wydatki, a—co najsmutniejsza, wiele kosztowało czasu. Tegoż dnia pod wieczór pękł zaraz sworzeń, za którego nawet Jacek by był dał głowę... Okazało się, że żelazo w środku było kruche... O dębowym kołku ledwie się na noc zawlekli. Rachunek Jacka zwiększał się coraz, bo na niego spadała wina złego opatrzenia bryczki... Tego wieczora ze dwudziestu pięciu, Jacek dojechał do zapewnionych mu pięćdziesięciu odlewanych.

— Jednego ci nie daruję—wołał Podstoli — jednego! nie wyprosi cię nikt... Klnę się. Wezmiesz pięćdziesiąt jak oko... Ja cię nauczę... ja ci pokażę...

Sapał okrutnie Podstoli—Jacek znosił groźby stoicko, niekiedy nawet, bardzo zręcznie po za ręką język panu pokazywał... czego on nie widział, a Maciek się z tego śmiał, niecnota. Drugiego dnia pękł jeden orczyk, przetarła się lusznią, którą trzeba było łątać, i koń szpetnie zakulał.

— Sto batów wezmiesz, byleśmy do domu powrócili,

dał pan Bóg, wołał Podstoli—to cię nie minie jak śmierć... Będziesz brał po 15 na porcyę... a jednego ci nie upuszczę... Bańkiewiczowi każe ci przy sobie walić... ten nie pofolguje.

Na dobitkę, już nieopodał od stolicy, pękła oś, koło zleciało, bryczka się pochyliła na bok, Chełmicki spadł głową w piasek, z czego się chłopcy śmiali, bo miał go głębę pełną—Podstoli bojąc się udusić w budzie, wyrwał się z niej i utłukł sobie krzyże.

Na drągu nie rychło podprawionym dowlekli się do karczmy, a koniska bokami robiły okrutnie.—Rozumie się, iż Maciek, Jacek i Chełmicki pieszo tę część drogi odbyć musieli.

Poeta puścił się nieco opodał lasem. Maciek skorzystał z tej chwili i podsunąwszy się pod bok Podstolemu, wyrwał się.

— Co za dziw, że nam się wszystko psuje... tego nigdy nie bywało... A trzeba nam było brać tego człowieka... ta to on jakiś malikowaty... to z niego poszło wszystko, proszę pana... jak Boga kocham, z niego... heretyk może albo co...

Podstoli nic nie odpowiedział, ale był zabobonny, utkwili mu to w głowie.

— Kto wie! rzekł w duchu—to może być... poeta... ta to wszystko niedowiarkowie, jak i ten Voltaire... Tom sobie biedy z nim napytał...

Jacek utrzymywał, że na Łysowieckich polach widział przebiegającego zająca, a około Bąkowskich karczem, stara baba z próżnemi wiadrami drogę przeszła...

— I trzynastegośmy wyjechali—feralny dzień! westchnął Podstoli...

Słońce już dawno było zaszło, gdy nareszcie pokazała się gospoda w lesie, z szopą ogromną. Przy niej, jak na toż, nie było kowala, a do wioski, pół mili. Ośłodziło jednak wszystko spotkanie w gospodzie z panem Wyrzykowskim, sędzią lubelskim, substytutem, z którym Podstoli był *amicissimus*.

Wyrzykowski, jak wielu już u nas od Saskich czasów, bo oba Sasi fajkę palili, namiętnie kurzył, zastali go na przyzbie siedzącego z lulką na długim cybuchu. Po fajce tej poznał go Podstoli... Radość zobopólna była okrutna—i jeder i drugi potrzebował się wygadać i wyśmiać.

Z Chełmickiego siedzącego na kozle opodał, do gawędy nie było wielkiej pociechy, raz że Podstoli piersi sobie rozywał, powtóre, że poeta chwyciwszy za słowo, plótl sobie androny i szlacheckiej gawędy wesołej cale prowadzić nie umiał. Raz nawet zaczął w drodze deklamować Podstolemu, który dłoń do ucha przyłożywszy, byle tylko dosłyszał, iż o miłości ciągle była mowa, a tego cierpieć nie mógł.—Spluwał gdy o tym przedmiocie mówiono.

Z Wyrzykovskim, chociaż i to był kawał literata, bo nawet wiersze pisywał i toasta rymował,—rzecz była cale inna; wiedział gdzie, jak, z czem, kiedy wystąpić. Ze szlachtą baraszkował jej tonem i w towarzystwie był jedyny.

Miał jedną dla Podstolego niezrozumiałą wadę, to ten nałóg do fajki, od której on się krztusił i kaszlał; napróżno usiłując go przekonać, że to piersi suszy... Ówczesne palenie fajki mogło się w istocie niepodobać, zabierało wiele czasu, i wcale było odmienne od dzisiejszego. Palono wówczas tytuń turecki ze stambulek, na długich cybuchach, a czynność ta odbywała się systematycznie i wielce prawidłowo... Sztuką było dobrze fajkę po turecku nałożyć, żeby się na niej tytuń piętrzył i pięknymi spadał festonami, sztuką przyzwolicie zapalić, w samym środku. Siadało się potem z nią, w miejscu spokojnem, gdzie nic o cybuch potrącić nie mogło i zaczynało się powolne wydobywanie dymu jedną ust stroną, gdy druga zapchaną była i odętą ogromnym bursztynem. Fajka raz poczęta, musiała być sumiennie wypaloną do dna, zdjętą z cybuchu, postawioną osobno dla spoczynku... To wymagało dość długiego czasu... Patrząc na palącego, siłającego się na wyciąganie dosyć skąpego dymu, można było sądzić, iż spełnia jakąś czynu-

ność uroczystą, urzędową, od której zdrowie lub życie zawisło...

Inaczej palili wojskowi z krótkich fajeczek—ale obywatel odbywał to co się zowie po turecku,—z powagą.

Tak palił pan Wyrzykowski, który pomimo uciechy jaką miał ze spotkania z Podstolim — nie zapomniał o swej fajce i siadł zaraz dopalać, ażeby mu nie zgasła... W przypadku zagaśnięcia, — zapalanie mozolne, które bez pomocy cudzej obejść się nie mogło — rodziło zły humor na długo.

Usiadł też i Podstoli, a obejrzawszy się, że Chełmickiego w pobliżu nie było, począł lamentując rozpowiadać o swych przygodach nadzwyczajnych, których przyczyną był ów farmazon przez litość na drodze zabrany.

Wyrzykowski zaczął się śmiać, był to encyklopedysta, wolteryanin, który w nic podobnego nie wierzył, ale go zaciekawiał ten poeta... Podstoli pokrótce mu jego historią opowiedział tak jak od niego słyszał, w końcu dodając:— Ale łże, kochany sędzio—poluje... z oczów mu tak patrzy, iż się z niego nikt prawdy nie dopyta.

Wieczorem już go szukać było próżno.

Chełmicki bowiem zwykle na nocleg lub popas przybywszy niknął jak kamfora, aby Podstolemu przy jedzeniu nie zawadzać. Karmił się jakimś tajemniczym sposobem, a potem szedł gdzieś spać w siano lub słomę i zjawiał się dopiero do kozła, gdy konie zaprzężone stały...

Sam Podstoli i służba znajdowała go niewdzięcznym, bo ani koni poić, ani bryki smarować nie pomagał, a byłby się przydał do tego; co najwięcej jeżeli starego do wozu podsadził i to niezręcznie. Słowem, pociechy z niego nie było.

— A jeżeli ci on zawadza—to ja go podwiozę, rzekł Wyrzykowski, bo ja się tej malikowatości nie boję...

Nazajutrz rano sędzia czatował na Chełmickiego przed karczmą. Był niepospolity znawca ludzi i zdaleka nań po-

patrzywszy, dziwnie głową pokiwał. Stali razem z Podstolim.

— Otóż to jest ten pan Chełmicki, o którym sędziemu wspomniałem — odezwał się Podstoli — przedstawiając go Wyrzykowskiemu

Sklonił się od niechcienia, z poczuciem własnej godności poeta — pochlebiało mu to, że o nim mówiono, a nie wątpił, iż admirować musiano. Uśmiechnął się zadowolony.

— Słyszę od pana Podstolego o panu — podchwycił sędzia, że pan z poezją idziesz do Warszawy szczęścia szukać? Toś zuch—bo ztamtąd drudzy uciekają.

— No, to ja tam nie wiem — odparł Chełmicki—mam ufność, żejużci się ludzie tam prędzej znajdą co się na człowieku poznają i oceniają. Człowiek w sobie czuje ogień święty... trzeba próbować. W Warszawie o Mecenasów łatwiej. Przecież i sam N. Pan ceni poetów i dobrodziejstw ich obsypuje... a toć oni się jak grzyby nie rodzą...

Wyrzykowski wysłuchawszy — z politowaniem się uśmiechnął.

— Zapewne, rzekł—próbować trzeba... ale, ale—boję się żebyś waćpan tu nie doznał zawodu. Tyle tylko wiem, że i najprzedniejsi poeci nasi, skarżą się na to, iż im dźwięki liry nic nie przynoszą, oprócz trochy sławy, a i o tę niełatwo. Król wprawdzie poetów ceni, ale bodaj więcej francuzkich i łacińskich, niż swoich... a tych też ma podostatkiem na dworze...

Chełmicki słuchając niezmiészany wcale, poprawiał włosów i z nogi na nogę się przechylał.

— To prawda, rzekł, iż poecie o chleb i o Mecenasa trudno, ale my do tego zrodzeni, żeby za życia znosić głód i pragnienie, a nieśmiertelność mieć po zgonie...

Wyrzykowskiemu bardzo się na śmiech zbierało, lecz powstrzymać się potrafił, zaczął ssać zgasłą fajkę.

— Masz pan jakie stosunki w Warszawie? zapytał:

— Żadnych w świecie—odparł Chełmicki obojętnie.

Sędzia i Podstoli spojrzeli na siebie... i była chwila milczenia dosyć długa.

Ta pewność siebie zdumiewała Wyrzykowskiego.

— Gdybym ja miał waćpanu radzić—odezwał się wreszcie sędzia—zyczyłbym naprzód pomyśleć o jakim przyporządku... dopiero o produkowaniu się z poezią... Chełmiński był w usposobieniu heroicznym, a może też chciał się popisać przed nieznanym, który się zdawał nim zajmować i odparł śmiejąc się.

— Ja bo się do niczego nie czuję zdatnym, tylko do pisania wierszy, proszę pana, próbowałem ja i gospodarki i bakałarstwa... darmo! wyższe powołanie gdzieindziej ciągnie... Jam temu nie winien, tak mnie Pan Bóg stworzył.— Co ja się mam forsować... i gwałcić... Dobrze to tym—poziomym istotom...

Wyrzykowski już nie wytrzymał i rozśmiał się na głos, ale to Chełmińskiego nie zmniejszało.

— Jak sobie asindziej chcesz! jak chcesz—zawołał—ale się przygotuj głodem mrzeć śpiewając po księżycu... i czekając na Mecenasa... Cha! cha...

Chełmiński zamilkł chwilę...

— Proszę pana—odparł pomyślawszy—może też ja będę szczęśliwszym niż się panu zdaje...

— Tego życzę! rzekł kłaniając się Wyrzykowski—a co więcej, niezachwianą odwagę admiruję... admiruję...

Tomko w niebo spojrzął... westchnął i nadął się.

— Przepraszam asindziej—zaczął znowu Wyrzykowski.—*Simplex servus Dei* jestem, ale przyjaciel ludzkości. Gdybym widział kogo głową w studnię lecącego, za kark bym go strzymał... Pozwól się spytać... jakże tam z funduszami... nim się co znajdzie... Mecenas i synekura, jaką zwykle poetom dają, masz waćpan o czem poczekać??

Zamiast odpowiedzi Chełmiński rękę zanurzył w kieszeni, wydobył ją wkrótce i rozpościerając dłoń, pokazał sędziemu parę dwuzłotówek i groszaków.

— To wszystko—rzekł lakonicznie.

Potem z uśmiechem uderzył się w czoło i dodał.

— Tu reszta!

Wyrzykowski pół głosem zawołał:

— Paradny!!

Tymczasem bryczka Podstolego zachodziła z nową osią—Chelmiński się ruszył.

— Czekaj asindziej—biorąc go za rękę odezwał się sędzia, że mną wygodniej ci będzie, dam miejsce przy sobie i zawiozę do Warszawy—pogadamy przez drogę...

W duchu rzekł sobie.—Albo okrutnie głupi, albo oryginal osobiwy. Zawsze kreatura, jakich się codzień nie spotyka.

Podstoli nie czekając drapał się już do swojej budy, rad że się może pozbędzie zbyt nieostrożnie napytanej biedy. Chelmiński poszedł mu podziękować, a Maciek, któremu fortel doskonale się udał, śmiejąc się zajął miejsce na koźle, pozbywszy nieszczęśliwego drążka, który mu się dał we znaki. Bryka Podstolego ruszyła natychmiast, Jacek poganiał dobrze z rozkazu pańskiego, aby się czasem Wyrzykowski nie rozmyślił lub poeta nie wrócił.

Sędzia tymczasem wpatrywał się bacznie w swój na-bytek...

Chelmińskiego zdolności poetyczne były bardzo wątpliwe, ale instynkt zachowawczy miał dzielny, nie rozumując wcale nad tem wiedział, iż chcąc nie być startym na miazgę i pożartym przez pierwszą lepszą bestyę, trzeba się nastawić i nadstawić. W chwilach stanowczych przybierał też tę minę pełną zaufania w siebie i pewności. Takim się teraz nowemu protektorowi przedstawiał, na którego wózek miał jechać.

Wyrzykowskiego ludzie wcale inaczej byli utrzymywani niż Podstolego, sędzia niewiele się do nich mieszał, był za leniwy ażeby gderać, zdawało mu się, że to się nigdy na nic nie przyda — dysponował tylko łagodnie ale stanowczo... W wielu razach zostawiał służbie dosyć swobody. To też i z noclegu wybierano się powoli, nie było się tak dalece czego śpieszyć. Miał czas pan Wyrzykowski le-

piej się w Chelmskim rozpatrzyć, a słysząc ciągle mówiącego o poezji, ciekaw co też to może być takiego, z czego Tomko życie sobie i przyszłość prąść myśli, spytał go czy nie ma jakiej próbki pod ręką.

Chelmski te najdroższe skarby swe, nie powierzając ich tłumaczowi, zwykł był zawsze, obwinięte w arkusz bibuły nosić w bocznej kieszeni, czego się może Wyrzykowski po jej wydęciu domyślał.—Dobyl więc fascykuła, rozłożył go na ławce pod karczmą, i wybrawszy co mu się zdało najprzedziwniejszém, poczęstował tem pana sędziego.

Mówiliśmy już, iż Wyrzykowski okolicznościowe wierszydła sam pisał, zbytej do nich nie przywiązując wartości. Chodziły one w mnogich odpisach po rękach i lubowano się niemi.

Poezya onych czasów, nad której teorią i warunkami mało się zastanawiano, zależała głównie na pięknej dykcyi i na mniej więcej zręcznym rymie, który stanowił *conditio sine qua non*. Jak pary butów przeznaczonych na sprzedaż, pary wierszy musiały się trzymać za uszy i być równomierne dla ucha, jak buty dla nogi.—Zresztą nie wymagano aby się w nich myśl tak swobodnie obracała jak w prozie i jeśli jej trochę było przyciasno., wyrozumieli byli słuchacze. Bóg jeden wiedzieć raczy, co się naówczas u Grölla i Dufoura i u pana Piotra Zawadzkiego i u księży Pijarów pod pozorem poezji drukowało. Umieli wszakże ludzie rozpoznać lepsze od gorszego, świadkiem popularność ks. Biskupa Warmińskiego, lecz w dowcipie snadniej smakowano niż w natchnieniu... Wiek był z natury chłodny, a sentymentalność zastępowała uczucie.

Wyrzykowski który wszystko czytał co te lata wydały, który Trębeckiego wysoko cenil, Krasickiego wielbil, Węgierskiego miał za jeniusz, a Naruszewicza za luminarz, —porwawszy w ręce płody Muzy naszego bohatera, na pierwszych dwóch wierszach utknął z tropu zbity.

Jawnem już dlań było, że biedny samouk tylko dla tego miał się za poetę, iż innych znał niewiele i porównać się

z czem lepszem nie miał zręczności.—Przerzucił parę od, kilka elegii i piosnek, i w milczeniu zwrócił je autorowi. Nie śmiał mu prawdy mówić. Chelmicki wpatrywał się weń ciekawie, czekał, wreszcie milczenie wziął za zdumienie, a litość za admiracyę. Wyrzykowski zrazu wahał się czy by mu nie powiedzieć, że jego dukaty są liczmanami, ale się zmiarkował.—Dobra opinia połowa szczęścia! na cóż go miał rozczarowywać, gdy i tak aż nadto prędko przyjść miało rozczarowanie.

Żal mu się zrobiło biedaka, który stał rozpromieniony i szczęśliwy...

— To panie dobrodzieju—jeszcze nic, dodał Chelmicki, chowając swe skarby napowrót do bibuły i kieszeni, mam ja lepsze rzeczy, ale te są w tłumoczku... mnie to tak łatwo idzie, że byłem siadł, pióro wziął... a począł, to tylko bieda z tem, że się już kończyć nie chce...

— Mój panie, ale jakże się pan nazywasz—Chelmiński zdaje mi się?

— Chelmicki, do usług, podchwycił poeta...

— To nic jeszcze, gdy się ma łatwość — dokończył grzecznie Wyrzykowski... Horacyusz to powiada i uznana to jest prawdą, że na wykończeniu wszystko zależy... Trzeba staranniej to obrabiać i *nonum praeatur in annum*.

Tomko wprawdzie był trochę chwycił łaciny i o Horacyuszu coś wiedział ale nie był pewnym czy starego tego bakałarza koniecznie słuchać potrzeba...

Potrząśł głową i uśmiechnął się.—Ufał sobie... Wyrzykowski zamilkł.—Za daleko pilniejszy poczytywał obowiązek przygotować nieboraka do tego, że poezya jakkolwiek jest rzeczą bardzo piękną, ale chleba nie daje, że się o niego innemi drogami starać by potrzeba.

— Młodość to ma do siebie—odezwał się, iż do zbytku w swe siły wierzy, i mnie się zdaje, że asindziej na te poezye rachujesz do zbytku. Mogło by to być żeby asindziejowi renomę uczyniły, ale nierychło... a nim pieniędzy da-

dzą, długo na to czekać potrzeba... Więc cóż — tymczasem myślisz!

— A no—ja jeszcze sam nie wiem, rzekł Chełmicki...

— Nasi najślawniejsi poeci, widzisz asindziej, mówił Wyrzykowski, mają i mieli inne zajęcia przy tem... Od święta dobra poezya, ale na powszedni dzień coś by innego wymyśleć potrzeba. Ks. Biskup Warmiński sprawuje urząd pasterza, ks. Naruszewicz pisze historję i dłubie się w starych aktach, pan Trębecki szambelanuje przy królu JMci, Karpiński hreczkę sieje na Litwie... Węgierski w karty gra... a i to rzemiosło...

Cóż asindziej myślisz robić?

Chełmicki nie wiedząc co odpowiedzieć, ironicznie się uśmiechał—popatrzał na niebo, na trawę, na piasek i rzekł w końcu.

— To się zobaczy, gdy już koniecznie będzie potrzeba.

Wyrzykowski się przeszedł parę razy i wracając doń dorzucił.

— Charakter masz waćpan niezły, rękę wprawną, teraz sejmowy czas, znalazłoby się może co do pracy i przepisywanie po kancelaryach?

Prespektywa kopiowania cudzych rzeczy nie musiała przypaść do smaku Chełmickiemu, skrzywił się ale zmilczał. Sędzia sobie powiedział, że na nawrócenie tego zakamieniałego grzesznika dosyć jeszcze mieć będzie czasu. Właśnie zachodziła bryka jego i woźnica z bicza palił z takim zapalem, jakby przed ganek pałacowy zajeżdżał. Wyrzykowski w pokrowiec sukienny zapakowawszy swój długi cybuch wiśniowy, który obok siebie zwykł był stawiać, siadł zapraszając Chełmickiego do towarzystwa...

Poeta z kozła promowowany na siedzenie wygodne, nie bez uczucia godności własnej usadowił się przy tym czasowym Mecenasiu. Dzień był piękny, śniadanie którem go poczęstowano, smaczne i dostatnie, nie dziw, że i myśli się z tego rodziły różowe... Rymy luźne, bez wierszy, jak

poobcinane głowy, które turcy na murach wieszają, wiły się Tomkowi w rozigranej wyobraźni.

Przychodziła ich czasem taka ilość zbytecznych do jednej końcówki, iż się sam swojemu geniuszowi dziwował. A tu ten człowiek obok niego siedzący, tak go sobie lekceważył.—Gdyby on wiedział!! myślał Chelmiński.

Wyrzykowski przez miłosierdzie postępował sobie z towarzyszem podróży, jak z ciężko chorym człowiekiem, powoli dawał mu lekarstwo, po łyżeczce. Nie skutkowało wszakże.—Ile razy popróbował odebrać dziecięciu Apollina nieco tej ufności w siebie, natrafiał na wiarę tak olbrzymią, że w końcu zrozpaczony walczyć z nią poprzestał. Bawiła go, ale smutnie...

Przez całą drogę do Warszawy rozmowa się prawie nie przerywała... Wjechali wreszcie w wir stołeczny, który chociaż po raz pierwszy w życiu syna Muz otaczał, nie uczynił na nim zbytniego wrażenia... Chelmiński to sobie daleko wspanialszem wyobrażał.

Sędzia zwykły był, jak większa część przyjezdnych, stawać na Tłomackiem... Nie łatwo tu było o stancyjkę, ale Wyrzykowski jako stary znajomy, wprosił się do jakiejś izdebki... Nie był w drodze wymagającym... byle się mógł on i tłumok pomieścić. Ludzie spali na bryczce... Tym razem, ponieważ Chelmiński nie miał się gdzie podziać, pocziwy sędzia kazał dla niego drugie łóżeczko postawić i z dobrego serca ofiarował mu pomieszczenie, póki by sobie coś nie znalazł...

Podstoli kilka godzinami wcześniej przybyły bez szwanku, co pozbyciu się Chelmińskiego przypisywał, przez oszczędność umieścił się na Marywilu. Konie jego stały *sub Jove*, przy bryczce, aby za nich postojnego nie płacić, na obrok miały worki, a siano im zakładano w wozie.

Warszawa w tych latach niezmiernie była ożywiona. Podstoli co najprędzej pobiegł za swemi interesami, gdyż dla drożyzny bawić długo nie myślał. Wyrzykowski też zajął się jakimś procesem, który go tu przypędził i stracił z oczów

swego protegowanego... Oba oni mieli mnóstwo znajomych i powinowatych w Warszawie, musieli z niemi ucztować, bawić się, odwiedzać posłów i t. p. Wyrzykowski powracał zwykle po północy i znajdował już swojego towarzysza zawiniętego w kołdrę, usypiającego snem sprawiedliwych i nieopatrzących. Na odgłos wchodzącego ze śpiewką na ustach po burgundzie sędziego, Chełmicki pierwszego zaraz dnia zbudził się i oczy przetarł...

Sędzia był w usposobieniu żartobliwym.

— Dzień dobry! asindziejowi—rzekł kłaniając się.— Ja wprawdzie dopiero spać przychodzę—ale wyście się już musieli na drugi bok wylegać.—Cóż tam słychać?

Wyrzykowski choćby najpóźniej powrócił, musiał sobie lulkę nałożyć i wypalić ją do dna, wydmuchniętą postawić, cybuch w pokrowiec wsunąć, i dopiero po krótkim ła-cińskim pacierzu szedł do spoczynku.

W czasie palenia fajki, Chełmicki, który obwinięty kołdrą, siedział na łóżku—miał czas mu opowiadać.—Czy-nił to ochotnie, bo się ze snu wybijał.

Wyrzykowski wrażeń był ciekawy.

— A cóż? pytał—Warszawa? jakże tam?

— Niczego... odparł poeta...

— Gdzieżeś asindziej był?

— Zdaje mi się, że już wszędzie...

— Jakto?

— Z większego rozpatrzyłem się, mówił Chełmicki... Jużci od Łosio, od Wisznice, od Łomaz, a nawet od Białej większe miasto... ba—ogromne—ale żeby znowu tak miało być co bardzo osobliwego...

Śmiał się Wyrzykowski.

— To mi się podoba, że sobie zaimponować nie dajesz! zawołał—a Zamek Królewski...

— Zdaleka go tylko widziałem od Zygmunta, tego co na skupie stoi, rzekł poeta—gmach duży... ludu się tam roiło siłą, bo to pono Sejm czy coś... ale gwardya stała u wrót, nie chciałem iść dalej, myśląc że niewolno...

— Cóż waćpana uderzyło najwięcej? zapytał Wyrzykowski..

Chełmicki się namyślał...—Żeby tak dalece... tak dalece—rzekł—no! nie wiem...

Sędzia spostrzegł, że pupil jego wcale był rezonu nie stracił.

— Należało się odemnie złożyć jużci uszanowanie Podstolemu,—mówił powoli Chełmicki—dopytałem się u ludzi na ten Marywil... Ale to tam człowiekowi wśród żydostwa, przekupniów i wszelakiego tałałajstwa trudno się precisnąć. Tylko mi boków naobijano, a Podstolego nie znalazłem w domu... Jego dwór śniadanie zjadał w budzie razem z końmi... Cha! cha! opowiadał Chełmicki... Chcąc się rozpatrzyć, aż widzę nad bramą napis—księgarnia—Libraria.—Otóż, myślę sobie wyraźny palec boży, trzeba wejść—księgarnia nad bramą była... Wchodzę do izby, na półkach książek pełnusięko, a w środku kręci się kilku ludzi...

Zaczęli się mnie pytać czego chcę — nie umiałem powiedzieć z razu, aż, myślę sobie—co będę ceregiele robił—zapytałem o samego drukarza. Wyszedł mężczyzna z piórem za uchem, w peruce, na brzuchu ogromne od zegarka pieczęci...—Czem panu służyć mogę? Wręcz mu powiedziałem, że mam poezye do druku.

Spojrzał mi w oczy i opatrzył od stóp do głów.—Drukarnie, rzekł, bardzo zajęte... nie można nastarczyć... lecz—jeśli pan zechcesz zapłacić nieco drożej, nocną porą...

— Jakto zapłacić? spytałem—a toć przecie za poezye mnie powinniście dać pieniądze?

Drukarz na mnie popatrzał długo, długo i począł się mocno śmiać...

— Zkąd to pan przyjechał? zapytał.

— A ze wsi!

I nie zważając na mnie, zbliżył się do jakiegoś jegomości wyglądającego na księdza, począł mu coś szeptać, pokazując na mnie, zaczęli się śmiać we dwóch, przyczepił się

do nich trzeci, śmieli się we trzech, patrząc ciągle na mnie...

Złość mnie porwała, trzasnąłem drzwiami i wyszedłem.—Zje licha żebym mu teraz co dał...

Wyrzykowski się też uśmiechnął, lecz fajką był mocno zajęty.

Chełmicki już nie pytany, mówił dalej, jak po mieście się przechadzał, jak różne gmachy opatrywał, jak i gdzie jadł i tym podobnie. Fajka się skończyła nareszcie. Sędzia dał mu dobranoc, świecę zdmuchnął i pokładli się oba. Nazajutrz rano, gdy się Wyrzykowski obudził, poety już nie było, wyszedł na peregrynację... Wieczorem spał tak twardo, że się nie przebudził gdy powrócił, dał mu więc pokój. — Drugiego dnia zrana tylko kilka słów zamienili, następnego nie widzieli się wcale, bo sędzia plecy tylko śpiącego oglądał. Dopiero czwartego wieczoru wróciwszy pan Wyrzykowski, znalazł poetę chodzącego wielkimi krokami po małej izdebce...

Z twarzy jego niewiele można było wyczytać, lecz zdała mu się wielce napuszoną i zdumniałą.

— Dobry wieczór—coż się z waćpanem dzieje??

— Dziękuję panu—nic złego—i owszem. Właśnie na pana sędziego oczekiwałem ażeby się z nim dziś pożegnać, bo jutro do dnia już mnie tu nie będzie.

— A! coż tedy się stało? miejsce znalazłeś? Mów, zawołał przystępując Wyrzykowski ciekawy—gdzie? dokąd? siadaj i praw...

— Już mam stałe miejsce—rzekł poważnie Chełmicki —i to, odpowiadające mojemu powołaniu.

— Jakże?

Tomko chcąc widać większe uczynić wrażenie, chwilę kazał czekać na odpowiedź, a potem rzekł uroczyście:

— Nadwornego poety...

Wyrzykowski osłupiał—popatrzał nań długo, chciało mu się rozśmiać—niepodobna było uwierzyć...

— Jeżeli pan sędzia ma czas, ja zaraz opowiem wszy-

stko, rzekł Chelmiński z wielką seryą—tylko uprzedzam, że to kawałek czysu zajmie.

— Ale—dalipan, choćbym czasu nie miał, zawołał sędzia sadowiąc się na łóżku i biorąc do fajki, za którą zatęsknił—choćbym czasu nie miał, gotowem wszystko porzucić, bom strasznie ciekawy. — Jakże to było? na miłość Bożą?

— Pierwszego dnia po rozstaniu z panem, począł usiadłszy poeta i—przybrawszy minę bardzo uroczystą,—poszedłem się znowu rozpatrywać po mieście.—Cóż było robić? Błądziłem z ulicy w ulicę, od kościoła do kościoła... Z miasta wyszedłem na przedmieścia, które są strasznie rozległe... Kawałkami jak Łosice to wygląda, gdzieniegdzie jak Biała, a ni z tego ni z owego pałac... Bóg wie co to jest... Zaszedłem tak do jakiegoś ogrodu, powiedzieli mi, że to Powązki. Niby wieś... niby chaty... a zajrzawszy oknem do jednej we środku, gdyby kościół... Nie wiem kto tam mieszka, ale że nie chłopci to pewna... A co mnie do tego... Wróciłem do miasta, zjadłem. W garkuchni dwóch ichmościów siedziako w maryasza grając... Od tych się dowiedziałem, że jakaś księżna mieszka w tych Powązkach... —Ale co to asindziej Powązki chwalisz—rzekł mi jeden—to jest nic, przeciwko ogrodowi księcia brata Królewskiego na Szulcu. Tam to dopiero cuda są i osobliwości...

Pomyślałem tedy—pójdę zobaczyć te cuda i osobliwości, i poszedłem zjadłszy.

Dopytałem się do tego Szulca... nie było nawet trudności wielkiej o pokazanie, trafił mi się niemieć grzeczny i poprowadził. Co mam o tem mówić panu sędziemu—pan to pewnie oglądał.

Wyrzykowski głową kiwnął tylko.

— Otóż w istocie cuda tam widziałem... pałace pod ziemią, wyspy, fontanny, sale u których pułapów sopte kamienne wisiały, kamienne posągi... sztuki osobliwe... Na stawku była wyspa, a na wyspie folwark, w którym same małpy gospodarowały... Jak żyję o niczem podobnem nie

słyszałem, anim czytał.—Tak mnie to za serce chwyciło.—
Myślę sobie, siadę i wiersze napiszę.

Niemiec tylko na mnie patrzył. Siadłem tam zaraz na kamieniu, niedaleko od wyspy, dobyłem ołówka i papieru i począłem sypać.—A że dawno wierszy nie pisałem, więc mi tak się cisnęły, że ledwie ręką nastarczyć było można... Jedne piękniejsze od drugich, nie chwalać się, rzadko żeby mi tak się co udało... Jeszczem był cały zatopiony nad papierem, dobierałem rymu do Armidy... aż patrząc, coś mi światło zasłoniło... Podnoszę głowę i widzę bardzo pięknego, poważnego mężczyznę, który stoi nademną wyprostowany, z obu stron trzymając pod ręce dwie panie—piękne, powiadam sędziemu—jak anioły... Wszyscy stoją i na mnie się patrzą wielkimi oczyma. Nigdy jeszcze tak ubranego mężczyzny nie widział... Cały był w złotem, jasnym płócienu letniem, frak, spodnie, kamizelka i trzewiki jednakowe, guziki z perłowej macicy. — Na głowie peruka, z obu jej stron po dwa rzędy loków, a z tyłu ogonek ze wstążeczką. Twarz mi się dziwnie pańską wydała, białą i piękną...

— Co asan tu robisz? zapytał mnie...

— A — wiersze piszę — odpowiedziałem — bo jestem poetą.

— Po jakiemu wiersze? spytał szybko wyciągając rękę.

— Po polsku...

— Cóż to za wiersze?

— O tym cudownie pięknym ogrodzie — odezwałem się, też to cud świata!

Mężczyzna spojrział na obie panie, rozśmiał się, potem obrócił ku mnie.

— A co? a co? a prawda że cudowny? począł mówić żywo—a prawda? Cudowny! rzeczywiście cudowny! spytaj co te cuda kosztują... Taż to tu była dziura i śmietniko. Świat wyprowadzony z niczego! Cóż mi się tu księżna chwali ze swoim gustem w Powązkach, a Naruszewicz o nich

pisze ody!! Tu kto przyjdzie... to gębę otworzy! Coxe anglik... języka w niej zapomniał...

Ale—pokaż że no mi te wiersze!

Właśnie kończyłem i do Armidy dorymowałem—bez ohydy,—podałem mu wstawszy, bo się domyśliłem, że to książę być musiał. Kobiety się ponachylały z obu stron nad papierem, zaczęły syllabizować, ja poprawiałem, i śmiać się—ale książę ciągle powtarzał:—Bardzo piękne *expromptul* bardzo piękne!

Przedziwne—słowo daję! Naruszewicza z Powązkami w kąć zapędził. Słowo daję, wysmienite! To jest talent niepospolity...

Począł mnie zaraz wypytywać com był za jeden, gdzie się uczyłem—com robił.—Na wszystko mu odpowiadałem pokrótce. Bardzo go to zdawało się zajmować.—Kobiety przypatrując mi się chichotały.—Powtarzał kiedyniekiedy:—Samorodny talent... raz się przecie u nas coś podobnego natrafić udało!—Ja go królowi zaprezentuję, słowo daję...

Wtem, gdy on się tak cieszy, a ja czerwienię się, raduję i serce mi rośnie,—nadeszła jakaś cudzoziemska kompania, zaczęli coś szwargotać po francuzku, i stary pan, poklepawszy mnie po ramieniu, rzekł: — Jutro asindziej do mnie przyjdź rano, coś się dla niego uczyni... zobaczymy...

Nie mogłem się panu sędziemu zaraz z tem pochwalić, bom potem wróciwszy do domu, zasnął jak drzewo... a rano musiałem iść na Szulec, choć nadaremnie. — Powiedzieli mi, że książę bardzo zajęty, i że kazał przyjsć następnego dnia...

— Nic nie szkodzi! pomyślałem i szedłem już z lepszą miną na miasto...

— Niech mi pan daruje—dodał Chełmicki—ale przypomniało mi się, jak mnie pan sędzia straszył, jak prorokował, a tu przecie na pierwszym kroku...

— Ale, cóż dalej? co dalej? przerwał Wyrzykowski.

— Dopiero dziś zostałem przypuszczony—rzekł Chełmicki.—Znalazłem go w szlafroku przy czekoladzie z jedną

damą, znowu inną... co on tam ma tych dam!! Rozkosze, powiadam panu, jak siedziała na kanapce, a nawet nie mogę z pewnością powiedzieć, czy siedziała, czy leżała... nóżkę na nóżkę założywszy, w pantofeleczku jak cacko... piękna—no—jak podobnej na obrazie trudno. Do koła twarzy loki pokręcone, po białej szyi, po ramionach... ręce jak z alabastru... w przezroczystych rękawiczkach czarnych... Popatrzała się na mnie aż ciarki po plecach poszły... Książę mnie zaprezentował.—Otóż to mój poeta.—Uśmiechnęła się...

Zawołać kazał marszałka i polecił zaraz, aby mi dano mieszkanie, wikt, wszystko co potrzeba... Zapytał nawet odprowadziwszy nieco na bok, jak tam u mnie z garderobą. Przyznałem się, że kuso... Napisał coś na kartce... Później się okazało, że mnie od stóp do głów oporządzić kazał swojemu krawcowi. A jak tylko odzienie będzie gotowe, mam słowo, że mnie królowi JMci zaprezentuje.

A co? a co? proszę pana sędziego—dokończył Chełmicki biorąc się w boki—nie miałem racyi?

— Historya z tysiąca i jednej nocy—odpowiedział sędzia spokojnie. Nie powiem asindziejowi nic, prócz tego, ażebyś nadto szczęściu swojemu nie ufał. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ...

Tymczasem winszuję, zawsze na początek, choć garderobę zyszczesz... a co będzie dalej?...

— O to się ja nie frasuję — zawołał Chełmicki żywo. Jużciż proszę sędziego, taki pan jak książę brat króla, musi się znać—a unosił się i chwalił... Gdybym ja nawet w sobie nie wierzył,—przecie lepszej bymabrał opinii... Już się teraz wcale nie boję. Wyrzykowski fajkę wydmuchiwał.

— A no czas spać, rzekł—bywaj mi zdrów młodzieńcze! Choć się jutro wynosisz odemnie, proszę o mnie niezapominać. Ja tu pewnie zabawię dni kilka, dłużej może... przyjdźcie do mnie kiedy, ciekawym dalszy ciąg posłyszeć...

— A jakże—odparł Tomko—jużciż należy to panu sędziemu za jego łaskawą protekcję.

Chełmicki niemal protekcyonalnie pożegnał pana Wy-

rzykowskiego i z dobrą fantazyą rzucił się na łóżko, na którem miał przespać noc ostatnią.

Interesów i zabaw w Warszawie było mnóstwo, sędzia się tak zajął niemi dni następnych, iż prawie o Chełmińskim zapomniał, chociaż, ilekroć mu na myśl przychodził, od uśmiešku wstrzymać się nie mógł i ramionami poruszał.

Już się wreszcie wybierał z powrotem do domu, gdy dnia jednego rano wszedł do niego Podstoli, z miną jak ocet kwaśną.

— Cóż to acan dobrodziej do tej pory jeszcze w stolicy? zawołał sędzia—myślałem żeś już dawno na drodze do Czajek... Cóż interesa? jak zdrowie?

Westchnął Podstoli i siadł sapiąc ze zmęczenia... Wąsy miał nastrzępione więcej niż zwykle, włosy w nieładzie, minę strapioną.

— A! tak to łatwo wyjechać z tego przekłętego Warszawska, jak dostać się tu—zawołał rękę podnosząc. Cała ta moja podróż, powiadam ci, w złą godzinę... na każdym kroku, od spotkania tego nieszczęsnego gryzipiórka, coś mi się fatalnego przytrafia... Wystaw sobie, jaka to święta prawda, że za tanie pieniądze psy mięso jedzą. Zachciało mi się przez ekonomikę stanąć na Marywilu—a to jaskinia zbójców, mości dobrodzieju... a to jama łotrowska... a jabym to na cztery rogi podpalił, razem z tem parszywstwem co się tam mieści. Niech ich jasne pioruny! wołał sędzia coraz się mocniej rozgrzewając.—Te juchy, powiadam ci, złodzieje—brykę mi zupełnie wypatroszyli, skóry z niej nawet poobrzynali, fartuchy pokradli... Jacek, huncfot, dał się pod noc spoić, Maćka na nieszczęście wziąłem na górę, żeby przy mnie spał, bo tam w tym domu dzień i noc jarmark i heca.—Włosy na głowie powstają. Nazajutrz rano—lament... wyprzątnęli do czysta... Niedosyć na tem, najlepszego konia mi nie stało... Wrota były zamknięte, stróż miał stać w nich... Niewiedzieć jak skróś ziemi poszedł,

dosyć że go niema. Chodziłem do urzędu Marszałkowskiego... tam mi wręcz powiedzieli: To Sejmowy czas, my tu na to nie mamy wolnej chwili, żeby o konia inkwirować... A od czegoż jesteście? zawołałem, bo mnie pasya porwała. A ten mi na to:—Podziękuj asindziej Bogu, że głowę masz na karku—ot i kwita... Żyd faktor obiecuje odkryć złodzieja na Pradze, ale żeby mu dać pięć dukatów... Pięciu groszy nie dam... oni się wszyscy znają, jak łyse konie... Wszystkich bym dał wywieszać,—bez sądu.

Jacek, że weźmie powróciwszy co mu się należy i że go do czabunki jeszcze wsadzę na chleb i wodę, to tak pewna, jak że mnie tu widzisz żywego... Jemu nie daruję... Na raty rozłożę baty, żeby służba nie cierpiała... a nie przebaczę...

Zapalił się tak biedny Podstoli, że byłby nie wiem jak długo się na swem nieszczęściem rozwodził, gdyby mu Wyrykowski nie przerwał. — Chciał dystrakcyę mu zrobić i wspomniał o Chełmickim.

— A, to on wszystkiemu winien — podch wycił stary, nie kto inny, nie co innego. Są tacy ludzie, którym się wie-dzie, a oni drugim nieszczęście przynoszą... Gdybym go na wóz nie wziął, nigdyby tego nie było... bo to u mnie niepraktykowana rzecz... Co waćpan ręką machasz! wierz, nie wierz—to dowiedziona rzecz; *probatum est*... Jemu będzie szło jak z płatką, a my cośmy się go tknęli—przypokutujemy... Już wiem, już, że się aż do dworu dostał...

— Słyszałem już o tem?

— Sam z tem był dziś u mnie! Bardzom go potrzebował. Przyszedł od stóp do głów wystrojony na fireyka, submitować się...

Domawiał tych słów pan Podstoli, gdy drzwi skrzy-pnęły, obejrzał się, wchodził do niepoznania w istocie zmieniony Chełmicki, w całym majestacie nowej swojej godności nadwornego poety...

Książę ex-Podkomorzy, który wszystko brał na kredyt, wystąpił nie żałując z ubraniem swojego nowego dwo-

rzanina. Włosy mu ostrzyżono, dano peruczkę z harcapi-
kiem, frak jasny z guzikami stalowymi, kamizolę kwiecistą,
szpadkę, pończochy, trzewiki ze sprzążkami, kapelusz trój-
graniasty, nawet zegarek z nieszpetynym łańcuszkiem. Cheł-
micki nadęty teraz mocniej niż kiedykolwiek, wyglądał tro-
chę maskaradowo, trzymał się śmiesznie, ale szczęście doda-
wało mu odwagi i pewności.

Wszedł rozpromieniony, skłonił się z lekka. Podstoli
popatrzał nań, cofnął się z krzeselkiem, ręce założył na pas
i palcami kręcąc milczał.

— A? jakże mi się pan masz? zawołał Wyrzykowski—
widzę od stóp do głów nowy człowiek, *de noviter repertis*—
powinszować!.. powinszować.

— Dzięki Bogu i ludziom wspaniałego serca i szlache-
tnego sposobu myślenia — odparł Chełmicki — wszystko
dobrze...

Wyrzykowski wskazał krzesło.—Siadaj proszę, a jeśli
masz ochotę, opowiedz, ciekawym posłyszysz...

— Dla czego bym nie miał się pochwalić szczęściem
mojem, począł Chełmicki—pan Bóg mi chciał wynagrodzić
com od innych wycierpiał.—Z łaski księcia ex-Podkomorze-
go, otrzymałem lokal, prawda ku strychowi, bo wszystkie
inne okazały się zajęte—ale bardzo porządny... Mam parę
pokoi i mebelki i zwierciadło... i łóżko z pawilonem...

— Patrzcie! z pawilonem! mimowolnie — odezwał się
Podstoli—hm! młodemu spać pod pawilonem... sybarytyzm...
I zamilkł.

— Garderobę mi też książę sprawił, jak panowie do-
brodzieje widzą... a mam drugą od święta, jeszcze piękniej-
szą... Guziki z motylami... pięć dukatów na miesiąc graty-
fikacyi, papier i atrament skarbowy...

— Czegóż chcieć więcej! rozśmiał się Wyrzykowski—
jak u Boga za piecem.

— Ani też pretenduję więcej—szepnął poeta.

— Cóż, na dworze? byłeś asindziej na dworze?...

— A jakże—rzekł Chełmicki, ale nieco ciszej i oczy

trochę spuściwszy—byłem i na dworze.—Tu wstrzymał się nieco jakby namysławiając, a widząc wreszcie, iż w milczeniu oczekiwano na opowiadanie—rozpoczął.

— Jak tylko suknie były gotowe, książę mi zaraz dał wiedzieć, żebym wieczorem szedł na zamek i tam u bramy czekał na niego. Jechał bowiem, jak zwykle, konno, przed nim laufer we wstążkach, za nim masztalerz... Czekałem u wschodów. Zdaje się, że tego dnia nie było nikogo prozonego, oprócz domowników i rodziny. Gdy książę przybył, poszedłem z nim na pokoje, do małych apartamentów, gdzie mi się jakiś czas kazano strzymać w antykamerze.—Tu było kilku paziów,—dosyć swawolnych... ale nie dałem im z siebie drwić w oczy, a co po za plecami dokazywali,—to nie moja rzecz... Siedziałem tu dosyć nawet długo... aż książę ex-Podkomorzy sam po mnie wyszedł, wziął mnie za rękę i wprowadził do królewskiego pokoju.

Zapomniałem powiedzieć, że wiersze moje na ogród księcia, już były przepisane pięknie na czysto na papierze rygałowym, przeszyte wstążką niebieską... Ledwie wszedł, zaraz poznałem, że leżały na stoliku...

Osób było kilkanaście, wszystkich oczy na mnie zwrócone, i czegoś w takim humorze, że to ten, to ów pryskał... Przyznaję się, że choć mi na mężtwie nie zbywa, ale wchodząc serce biło.—Wyobrażałem sobie króla w koronie i płaszczu, aż tu wystąpił przeciw mnie mężczyzna, w mundurze wojskowym z jedną szlifą brylantową, bardzo piękny, chociaż nie młody, włosy białe, obfite, w pukle po obu stronach... Uśmieszek miał na ustach...

Książę się odezwał do niego.

— Otóż to jest, N. Panie, mój poeta, o którym wspominałem...

Przystąpiłem do ucałowania ręki królewskiej—bardzo dobrotliwie mnie przyjął... W salce osób było z kilkanaście, kobiet kilka, dwie stare ale wyfiokowane bardzo i piżmo od nich strasznie czuć było. Jedna przymrużywszy oczy patrzyła na mnie, patrzyła i głębią dziwnie kręciła.—

Nie wiem co to miało znaczyć... Wszyscy mieli miny bardzo wesołe i tak mi się ciekawie przyglądali!

Jeden jakiś mężczyzna ogromny, kościsty, barczysty, z twarzą długą, łysy, nieprzyjemny, przystąpił bliżej do mnie, oglądał... ramionami począł ruszać, coś poszeptał i odszedł, ręce założywszy pod poły...

— Mówcie sobie co chcecie, odezwał się głośno książę ex-Podkomorzy—to talent nie pospolity... to improwizator jak Włochy, jeszcześmy w kraju tego nie mieli... Zobaczycie co ja kulturą z niego zrobię,—zdumiejecie się..

Śmieszki wesołe słyszeć się dały po kątach. Już ciż nie ze mnie, bo król był seryo i nikt by nie śmiał, ale tak, czegoś byli w dobrych humorach.

Wtem król zapytał mnie.

— Gdzieżeś się acan uczył?

Odpowiedziałem śmiało.—W Akademii w Białej!

Jak buchną w śmiech wszyscy, gdyby było co śmiesznego; jedna z młodszych pań aż się położyła na kanapce, —inne sobie chustkami usta zatulały... król zrobił twarz smutną. Nie mogłem jeszcze zrozumieć z kąd te śmiechy, ale się to później odkryło.

Właśnie zaraz król obrócił się do tego barczystego, ogromnego z długą twarzą i odezwał do niego.

— Panie Szambelanie Trębecki...

Ten się przybliżył, król mu coś poszeptał na ucho, szambelan ramionami dźwignął, skłonił się zlekka i odszedł na bok.—Zrobiło się cicho w pokoju.—Kazano mi deklamować co ja sobie zechcę...

Tu sęk, byłem w niemałym kłopotcie — co tu wybrać. Wszystko mi się zdawało dobre, nie wiedziałem co najlepsze. Myślę sobie, co miłosnego, może przy kobietach nie wypada, żeby się nie wstydziły — a desperackiego, to ich zbyt poruszy,—a wesołego, to żeby nie było za tłuste.—Trzy razy zaczynałem—i za pierwszym wierszem: — Nie—przepraszam—co innego! aż książę ex-Podkomorzy nogą tupnąwszy szepcze mi:

— Nie wstydz się, ceregieli nie rób, widzisz że czekają... mów co najlepiej umiesz.

Nie było już co myśleć—począłem Odę do księżycyca... Powstawali wszyscy i zgromadzili się do koła, a jam już na nikogo nie patrząc, począł głośno:

O Ty, którego... i t. d.

Ten Trębecki tylko mnie detonował, przyznaje się, nie wiedzieć czego ustawicznie ramionami ruszał, i wargę dolną wystawiał,—ałem wziął na kiel—co mi tam!..

Sluchali, nie mogę powiedzieć, z wielką uwagą, król miał oczy spuszczone ku ziemi i mankiety sobie poprawiał,—dopiero pod koniec zaczęli prychać i śmiać się, nie ze mnie, uchowaj Boże, ale z Trębeckiego, w którym widoczna zazdrość grała.—Zaraz to zrozumiałem. Co się z nim działo, co wyrabiał... Król pod koniec coś po francuzku cicho mówić zaczął, zasłoniwszy się ręką. — Dosyć, że gdym skończył, w ręce wszyscy oprócz Trębeckiego klasnęli.

— Bravo! bravo!

Jam się uklonił.

Teraz jasno jak na dłoni widziałem, że śmiechy były nie ze mnie ale z niego. Ale czegoż się na mnie złościł, tego pojąć nie mogę, ja mu chleba nie odbiorę!..

Książe ex-Podkomorzy także mi mówił, że Trębecki wydziwiał, szukał wad, niewiedzieć co prawił przez tę zazdrość. A, no—darmo, człowiek z talentem do tego przygotowanym być musi...

Gdy się uciszyło, a ludzie się trochę rozstąpili kupkami po stronach, król, który stał cierpliwie, przypatrując mi się znowu—rzekł do mnie:

— Bardzo pięknie—bardzo pięknie, jak na początku.—Ucz się waćpan na dobrych wzorach... Nauka potrzebna... Będziesz mógł stanąć w rzędzie z innymi...

Wtem Trębecki z tyłu dodał:

— Z Bielawskim... Tak—tak... ucz się asindziej, ucz, to mu najwięcej potrzebne. Głos ma taki gruby, przykry, iż nie może być niemilszy.

Nicem nie mówił, skłoniłem się i milczałem... książę mi potem z seksterna kazał głośno oddeklamować wiersz com napisał o jego ogrodzie, ciągle powtarzając:—Samem patrzył, jak *ex promptu* ołówkiem na kawałku papieru od razu to skomponował, jakim pocziw...

Król i teraz stał a słuchał—wreszcie rzekł do brata:—Nie męczciez go więcej—dajcie mu już pokój.

Na tem się w istocie skończyło—książe jeszcze chciał abym się dla dam produkował z piosenką miłosną, którą czytał, ale król dał znak ręką:—Będzie już tego dosyć!

Podziękował mi grzecznie.—Zrobiłeś nam asan satysfakcyę—i odwracając się do jakiegoś duchownego, który stał z boku—rzekł jeszcze:—Mój Albertrandi, zebyś ty go wziął do spisywania biblioteki, mógłby co przy tobie skorzystać, rękę na dobrą.

A Trębecki dodał:—Posłać by go księdzu Onufremu Kopczyńskiemu, to lepiej.

Nie chciałem się odzywać—alem sobie myślał:—Co ja się od nich mam uczyć, kiedy oni sami tego co ja nie umięją! Który z nich takie wiersze napisze...

Książę się potem zbliżył do mnie, położył ręce na moich ramionach i rzekł mi na ucho:—Ucałuj rękę króla i wracaj do domu.

Tak też uczyniłem.—Wychodząc jeszcze słyhać było, jak się tam radowali mojami wierszami, jedna pani deklamować je zaczęła, a szambelan Trębecki coś grubym swym głosem mówił... i śmieli się wesoło.

Wracając, trochę mi było nieprzyjemnie przechodzić przez tę salę pełną sówiżrzałów paziów, ale mi żadnej nie uczynili przykrości. Gdy się ukazał, ruszyli się wszyscy z krzesełek i jeden po drugim przychodzili mi się kłaniać bardzo pocieszenie.

Drogę zastąpili tak, żem się wymknąć nie mógł, aż się ta ceremonia odbyła. Trzeba było widzieć te ich ukłony... Chylili się niemal do ziemi, ręce spuściwszy, potem nogą szast i odchodzili na bok z kolei, ustępując sobie miejsca.

Musiałem stać i przetrwać tę swawolę. Szczęściem, gdy się szósty kłaniał, Marszałek wszedł i wszystko pierchnęło, a jam został oswobodzony.

Król mi przez księcia nazajutrz przysłał dziesięć dukatów i dał pozwolenie chodzenia do swej biblioteki.

Skończył Chełmicki, oglądając się po słuchaczach. Wyrzykowski zawołał:

— Ale czegoż już więcej żądać! pod szczęśliwą się gwiazdą waćpan urodził.— Jesteś już na drodze! Winszuję sukcesów i życzę dalszego szczęścia. Podstoli coś mruknął, poszukał swojej laski i czapki i nie mówiąc nic, nie patrząc nawet na Chełmickiego, nakrywszy głowę, posunął się ku drzwom powoli.

Poeta też wstał—zamierzał bowiem dnia tego jeszcze bliżej się zapoznać z miastem i jego przyjemnościami... Szczęśliwy początek wielką go natchnął odwagą...

— A nie zapominaj się do mnie dowiadywać, dopóki ja tu jeszcze jestem, rzekł żegnając go Wyrzykowski... I z tem się rozstali.

Nigdy skłonniejszą do trzpiotania się i zabawiania na wszelki sposób nie była Warszawa, jak w owych kilku latach... Młodzież, zowiąca się w języku ówczesnym *tężyną*, dokazywała niesłychanie... W modzie były karykle i dzikie konie, powożono się stojąc, po rzymsku, czterema w poręcz i co mogą wyskoczyć... Śmielsze damy towarzyszyły zwykle tym wyścigom... Książę Józef, generał Wielhórski, młodzi Tepperowie w ich ślady, kilku paniczów, latali tak po mieście i w Ujazdowskie aleje...

Reduty, assamble, maskarady w pałacu Radziwiłłowskim, a nawet bale u Marwaniego gromadziły tłum osób z najpierwszego towarzystwa, chętniej się rozrywającego, niż myślącego o przyszłości... Grano stosami złota, pito beczkami, a u księcia Wojewody, w czasie śniadania faskami

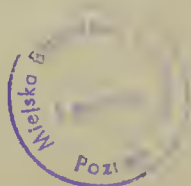
przychodziły ostrygi, które szlachta na przemian jadła z bigosem — więcej dla tonu niż dla smaku.

Widowisk było bez miary, — Niemiec pokazywał za pieniądze woskowego Fryderyka II-go, tak brudnego i w takim mundurze polatany, jak był prawdziwy; na teatryku niemieckim grano „Arlekina wychodzącego z jajka“, sztukę bardzo zabawną; wiele osób uczęszczało na hecę, dzisiejsze cyrki zastępującą; puszczano balony i ludzie przepłacali w nich miejsca, ażeby wzgardę życia okazać i męztwo. — Mnóstwo awanturników krążyło jak mrowia, poczynawszy od tego który cudowne pigułki sprzedawał, aż do robiących złoto i eliksir żywota... Do łóż napraszali się najznakomitsi na braci... Kupcy robili interesa olbrzymie, prawda, że na kredyt po większej części, lecz i to im nie przeszkadzało się z bogacać.

Humor był tak szczęśliwy, że księżna de Nassau, gdy się jej pałac palił, siadłszy naprzeciw w oknie, klaskała w ręce, unosząc się nad pięknym widokiem i śpiewała arję z *Didone abandonnata*!

Po owym wieczorze u króla, na którym między innemi była świeżo z nim pojednana kasztelanowa Kamińska, pani Krakowska, Grabowska, Mniszchowa i wiele innych wschodzących i zachodzących piękności, rozeszła się wieść po mieście o nadwornym poecie księcia ex-Podkomorzego i niezachwianej jego pewności siebie. Już sam książę ex-Podkomorzy ze swym nankinowym ubiorem, wyspą Małpią i ogrodami na Szulcu, dostatecznie był śmieszny... cóż dopiero nadworny jego poeta?

Niemcewicz, Mostowski, Stanisław Potocki, zasłyszawszy o poecie i mecenasowstwie ks. ex-Podkomorzego, rady sobie dać nie mogli, tak się im to pociesznem wydawało. Z przedpokoju króla wiersz „na Ogrody na Szulcu“, poszedł po rękach, budząc powszechną wesołość. Odpisywano go sobie, wrywano... Obudziła się ciekawość poznania tego nieustraszonego młodzieńca, o którego piersi stalo-



we, śmiech, ten najostrzejszy z pocisków, jak o skałę się rozbijał...

Szambelan Trębecki swym głosem stentora mówił wszystkim kto chciał słuchać:

— Ale to się nie godzi! śmiech czynić sobie z poezyi, błażna z poety! to się nie godzi. Dziwię się, że N. Pan na to pozwala!

Węgierski przed samym wyjazdem zagranicę, dorwawszy się owego wiersza, przerobił go, przetrawestował, dosolił, opierzył, zrobił z niego satyrę najdotkliwszą na księcia ex-Podkomorzego, wniósł tam dwie córki Franka i Truskolaską, przypiął swą sławną Józję i—puścił w świat gorąco...

Nazajutrz już go w Warszawie nie było. Wiersze tymczasem chodziły z rąk do rąk, a że prawdziwe pana Chełmickiego i fałszywe pana Kajetana, bardzo były do siebie podobne, jednako się zaczynały i kończyły, a wewnątrz tylko Węgierski je nadział dowcipem... satyra miała więcej powodzenia niż oryginał i ona zaczęła kursować pod imieniem młodego poety.

Ci co historii wiersza tego nie znali, znajdowali, nie bez przyczyny, iż młody człowiek nie był bez zdolności...

— To zacięcie okrutne!—mówiono—dowcip nie lada! Znać w nim autodydakta i początkującego, ale to w istocie obiecuje wiele.

— Ale jakże, mówili drudzy, książę ex-Podkomorzy nie poznał się znowu na tak ostrym wymierzonym przeciwko sobie paszkwilu... i jeszcze autora wziął na utrzymanie...

— Ha! tłumaczyli inni—złakł się... i tym sposobem go rozbroił.

Węgierskiego figiel obiegł całą Warszawę, nim się do tych kół dostał, które mógł najwięcej obchodzić. Na śniadaniu na Woli, które dawał Kurdwanowski generał, a które, powiedziawszy między nawiasami, trwało do drugiego ranka... książę Kazimierz Sapieha, któremu ktoś wetknął pa-

szkwil, dał go ks. Józefowi. Dał. bo nie mógł odmówić... Papier wyglądał mu z kieszeni, Pepi go wyrwał i przeczytał. Jakkolwiekbaż—chodziło o stryja i o rodzinę, książę Józef się zarumienił i papieru nie zwrócił. Nazajutrz przypomniał sobie, a mając być na zamku, wziął i pokazał królowi... Oburzył się Stanisław... poznano rękę i pióro tego co wiersz o Elżbietach napisał... i tyle innych...

Co się później stało, jakim sposobem sam ex-Podkomorzy o wierszu się dowiedział, i przyszedł do przekonania, iż nikt inny nie mógł go przerobić, tylko sam autor... że to była sprawa niepoczciwa niegodziwego, niewdzięcznego Chełmickiego—tego wytłumaczyć nie umiemy.

Dosyć, że gdy Chełmicki w marzeniach najśłodzych na górze w oficynie na Szulcu nowe poemata osnuwał... ni z tego ni z owego, nagie naczęcie, które go spotkało tak niespodzianie, jeszcze dziwniej się rozprysło. — Marszałek wszedł milczący na górę, kazał zabrać manatki delinkwenta, i jemu razem z niemi objawił odkomenderówkę na... ulicę.

Tomko znalazł się jakby czarodziejską siłą z raju wypchnięty za wrota, nie wiedząc za co—nie rozumiejąc co się stało... Zostawało mu wprawdzie odzienie sprawione, którego odebrać zapomniano, dziesięć dukatów królewskich... słaba nadzieja jakiegoś wyjaśnienia... ale tymczasem deszcz padał a Chełmicki stał w błocie, bez parasola, mając u nóg rupiecie swoje, z załamanemi rękami.

Magiczna siła jakaś, co go tak wysoko podniosła, strąciła go nagle ze szczytu... w kałużę... Wprawdzie znosił to z heroicznem męstwem, lecz rzecz była nieprzyjemna...

Nie wątpił Chełmicki, iż to była jakaś intryga i nieporozumienie... lecz gdzie tu było schwytać księcia ex-Podkomorzego, który, mimo wieku, życie prowadził najnieregularniejsze w świecie. Przesiadywał czasem całe dnie u owej sławnej Józi, niekiedy u Truskolaskiej, to u innych przedmiotów swego sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt letniego zapału. — Jeżeli cudzoziemiec jaki zjawił się

w Warszawie, musiał go przyjmować koniecznie, — a gdziekolwiek dużo było ludzi, książę tam być musiał w swoich nankinach.

Cudem jakimś, gdy tak nad losem swym i zmiennością fortuny przemysłał poeta, przywłókł się pusty fiaker drzemiący na koźle. Kazał mu się zatrzymać, zapakował swe rzeczy, i na wszelki wypadek pojechał na Tłómackie. Wątpił wielce czy tam jeszcze zastanie Wyrzykowskiego... Drugi cud—sędzia w owej małej izdebce, grał paląc fajkę, w maryasza z Podstolim. I on i jego towarzysz dotąd się z Warszawy wyrwać nie mogli.

Odwiedzinom nie byłby się bardzo zadziwił sędzia, ale zobaczywszy tłumoczek poety, który on ciągnął za ucho, zdumiał się niezmiernie.

— Jak się asindziej masz? zawołał—a toż co? Co widzisz? czy się służba skończyła? Co się stało?

Chelmiński nie tracił nigdy ani przytomności, ani mężstwa—pomiarował, że sędzia sprawdzać nie może tego co mu powie, a szło mu o to, ażeby obronną ręką wyjść z katastrofy.

— A! nic! nic! rzekł Tomko z przymuszonym uśmiechem. Opowiem zaraz.—Ale—wszakże mi pan nie odmówi na jaki dzień łaskawie ofiarowanej gościnności...

— Z duszy, serca — pókim ja tu — ale i ja i Podstoli lada moment wyjeżdżamy... W istocie, po polsku, oba z przyjaciół, wybierali się od tygodnia, konie nawet czasem stały zaprzężone, zawsze coś przeszkodziło. — Chelmiński wciągnął swój tłumoczek i przy pustem łóżku go rzucił...

Wyrzykowski go wyzywał oczyma ciekawemi.

— Cóż się to asindziejowi stało?...

— No—powiem panu sędziemu, prosił mnie, błagał mogę powiedzieć książę, ale dłużej wytrzymać nie mogłem... Ludzi ma złych i głupich, nie umieją talentu poszanować, traktowali mnie jak lada oficjalistę... ja wiem co sobie wi-

nieniem... Podziękowałem księciu... Spojrzeli nań grający wielkimi oczyma...

— Drażliwa natura—*irritable genus*—rzekł śmiejąc się Wyrzykowski—a no, ja w takich razach nikomu nie radzę, każdy ma swój rozum i wie co i dlaczego robi... zatem...

I zamilkł... Podstoli przeglądał karty, nie zdawało się to go wiele obchodzić, myślał tylko, żeby uchwycić Bożę z powrotem nie kazał mu się wieść Chełmicki, chociaż do tego najmniejszego podobieństwa nie było...

Z tego może powodu, choć ostatnią pulę przegrał, stary zapłacił i mileząc się wysunął. Wyrzykowski też spojrział na zegarek, czas mu iść było na miasto... Chełmicki ulokowawszy bezpiecznie tłumok, ponieważ deszcz był ustał i słońce świeciło pięknie, wybrał się też na przechadzkę.

Wiodło się temu dziecięciu szczęścia nadzwyczajnie. Zaledwie doszedł na Krakowskie-Przedmieście, gdy zobaczył biegnącego pstrego lauffra, który zawsze księcia poprzedzał, a tuż pokazał się i ex-Podkomorzy zadumany wielce. Zobaczywszy tuż przed sobą tego, już mu nienawistnego paskwilistę, książę chciał gwałtownie konia zwrócić i bodaj zamachnął pono szpicrutą, ale Chełmicki konia za cugle puchwycił, a ta śmiałość jego, zmieszala ex-Podkomorzego.

— Jak waćpan śmiesz! trzęsącym się od gniewu głosem, począł stary—jak waćpan śmiesz po tem co się stało... pokazywać mi się na oczy...

— Mości książę, zakrzyczał Chełmicki, niezważając na to, że ciekawy tłum zaczynał się gromadzić do kola—ja właśnie pragnę z ust W. Ks. mości wiedzieć co się stało... Ja, szlacheckiem słowem ręczę, że nie wiem o niczem i nie przeciw księciu nie przewiniłem...

Błada twarz jeźdźca zaczerwienila się, począł szukać po kieszeniach i niemal w twarz Chełmickiemu rzucił papierem.. Poeta porwał go, nierozumiejąc o co idzie, spojrział i—osłupiał.. Były to jego niby wiersze, a do niepoznania zmienione...

— Ale któż to tak popsul? zawołał z gniewem...

— A któż, jeśli nie ty! krzyknął książę z konia.—Kto! to twoje pióro! Pfe! wstydz się... niewdzięczny... Pfe...

I chciał konia popędzić, ale Chełmicki stanął przed nim.

— Ja księciu słowo daję, że o tem nie wiem nic — zawołał—daję słowo, przysięgnę...

I spojrzął mu w oczy.—Stary się zmięsział.

— Ty, nie ty, zawołał—niech sobie będzie co chce, mam dosyć i poetów i poezyi, idź do wszystkich djabłów...

Laufer stał, koń się kręcił, Chełmicki wystawiony był też na wejrzania ciekawych co go otaczali.. cofnął się więc zmięszany... a książę popędziwszy rumaka, przebił się przez tłum, i zniknął, razem z laufrem i masztalerzem...

Gromada ludzi, zaciękawionych tą sceną wśród ulicy, jeszcze się była nie rozproszyła... Chełmicki radby się był już wymknąć nie postrzeżony... lecz oczy wszystkich były nań skierowane.

Nieopodal znać umyślnie zatrzymany stał powóz czterma kołmi zaprzężony, z okna jego wyglądała twarz niewieścia, a ręka w koronkowej rękawiczce palcem dawała znaki poecie, aby się zbliżył do drzwiczek...

Nie mógł się oprzeć temu wezwaniu bohater nasz i podszedł ku siedzącej w powozie, w której poznał jedną z dam na zamku widzianych...

Powóz i to co ją otaczało, świadczyło o zamożności.—Kareta była świeżo widać od Dangla wzięta, chomąty prawdziwe angielskie, chociaż nie angielskim smakiem, dla eksportu widać robione, świeciły bronzami całe i kapąły złotem... Cztery konie tarantowate ubrane w nie były... Woźnica w trójkątnym kapeluszu, lokajów dwóch w wielkiej liberyi, w trzewikach i pończochach... słowem dwór co się zowie.

W powozie siedziała jedna z tych Wojewodzini *in partibus*, rozwiedziona z mężem oddawna, których świetne czasy przypadały na rok 1764.—Była to wspaniała ruina, usiłują-

ca się utrzymać przy gasnących wdziękach i młodości, której już śladu nie było...

Sztuka konserwowania piękności niewieściej i wypełniania jej rozmaitemi środkami kunsztownemi, już za rzymskich czasów, Agrypin i Julij, znaną była, a w XVIII-ym w. doszła ona do tak wysokiej doskonałości, iż dzisiejsze emaliowanie twarzy, o niewiele owo tynkowanie przechodzi.—Wojewodzina była jedną z najtroskliwszych rezurekcyonistek, umięających ze szczątków, z niczego, stworzyć coś nakształt piękności... Pomimo lat... o których się nie mówi, przy świecach, w półcieniu, mogła za piękną, a bardzo zdaleka za młodą uchodzić.—Niekiedy staruszków bałamuciła, chociaż stokroć by była woląa móżd młodych uwodzić —Ale to się jej już nie udawało. Mówiono, że jeszcze się pragnęła wydać za mąż. Majątek był znaczny, lecz pono dożywotni, wiadomość o tem odstręczała... Wojewodzina z każdym rokiem upuszczała coś z dawnych wymagań, a jednak nie mogła znaleźć pary... Tymczasem melancholię ztąd powstającą, rozrywała pobyt w stolicy i za granicą.—Osoba była aż nadto miła, przymilająca się, sentymentalna... wzdychliwa; każdy jej ruch pełen wyszukanej gracyi... Palce jej rąk przybierały zawsze jakieś wygięcia misterne, głowa przechylała się z dziecinną naiwnością... Gdy szła, postać jej przeginała się z wdziękiem młodocianym. Nosila ciasne trzewiczki, stroiła się niezmiernie, pachniało od niej zdaleka... Zesnurowane usta, przymrużone oczy, podpieranie się smętne na białej rączce (w tej pozie kilka razy malować się kazała) — czyniły ją dla jednych śmieszną, dla drugich niemal politowania godną. W istocie może być co smutniejszego nad młode uczucie w starej potrzaskanej skorupie?

Na pokojach u króla jedna pani Wojewodzina, gdy sobie wszyscy stroili śmieszki z Chełmickiego, litowała się nad pięknym młodzieńcem, którego wiersze zresztą, jej, jak ks. ex-Podkomorzemu, wydały się wcale —... przyjemne.

Osobliwie jeden do Chloi, który książę dawał do czytania, znajdowała bardzo gorącym i tklwym...

Chełmicki miał lat dwadzieścia i kilka i był—niczego, a na twarzy jego malowała się energia i zarozumiałość... dosyć obiecujące...

Przywoławszy młodzieńca do pojazdu, Wojewodzina, która była całej sceny świadkiem, a odgadywała jej przyszłość, bo słyszała o figlu Węgierskiego, zapytała go—czy zerwał już z księciem...

Chełmicki zrazu był tak pomięszany, iż się na odpowiedź zebrać nie umiał. Ręką tarł po czole, wzdychał... jękał się, Wojewodzina ulitowała się nad nim... — ludzie mieli nań zwrócone oczy...

— Waćpan jesteś w tak nieprzyjemnej pozycji—odezwiała się — iż obowiązkiem jest *czulego serca* przyjść mu w pomoc...

Siadaj kawalerze... do karety... ochłoniesz z tego wzruszenia...

Skinęła na służącego, który otworzył drzwiczki i Chełmicki, rad w istocie, że ujdzie od tłumu, znalazł się na aksamitnych poduszkach, naprzeciw swej protektorki. W tejże chwili konie ruszyły, kareta się potoczyła... a ex-piękna pani sparta na rączce (w tej pozycji malowniczej, o której była mowa), przymrużonemi oczyma patrzała na młodą twarz zaognioną jeszcze od wzruszenia...

— Uspokój się, kawalerze—rzekła po cichu... książę ex-Podkomorzy jest powszechnie znanym dziwakiem... to waćpanu ujmę nie czyni... Z niego chyba śmiać się będą. Spoczniesz sobie waćpan u mnie... ochłoniesz... bardzo mi przyjemnie, że będę miała zręczność lepszego poznania tak dystyngowanego człowieka...

Chełmicki patrzył na nią...

W życiu swem widział i admirował wiele różnych piękności wiejskich, ale to były samorodne, czerstwe i zdrowe a gminne, kwiaty grzedy na której rodzi się kapusta i ogórki,—pierwszy raz zbliżał się do tak delikatnego produktu sztuki

rozkwitłego w atmosferze salonów, zwiędłego i zmartwych-
powstałego... W Wojewodzinie najwięcej go uderzały jej
atłasy, pierścienie, koronki, pachnidła... wszystko co ją
stroiło... W młodości i to czyni wrażenie jakiegoś fałszy-
wego ideału... Spostrzegł Chełmicki alabastrową rękę wy-
pieszczoną i śmiały wzrok jego padł nawet na odsłoniiony
neco gors, z wielkim artyzmem kłamiący to czego nie
było...

Wojewodzinej twarz, skutkiem długoletnich studyów
zwierciadlanych, przybierała młodzieńcze minki... które tak
niedoświadczonemu jak był Tomko, łącznie też uwieść mo-
gły. Wydała mu się wspaniale piękną. . boginią.

Poglądał na nią z pewnym rodzajem trwogi i uwielbie-
nia... Bóstwo mu się uśmiechało... Wdzięk podwajała do-
broć kobiety, która go we własnej karecie uratować raczy-
ła, a przemawiała doń z taką uprzejmością i słodyczą.

Ze swej strony Wojewodzina przypatrując się bliżej
męskiej postawie Chełmickiego, choć nieco nieokrzesanej
i kłódzastej, znajdowała ją tchnącą młodością... Przypomiot
to, który wiele innych zastąpić może w oczach prawdziwych
znawców.

— Gdyby się to wykształciło... wyrobiło... ogładziło
—mówiła w duchu—o mój Boże, tak by uszedł w najwięk-
szym salonie, jak nie można lepiej! A już ciż poeta musi
być nie głupi! Dałoby się coś z niego zrobić...

W tych myślach, spojrzeniach, milczeniu... dojechali
do pałacyku Wojewodzinej, który stał wprawdzie dosyć
opodal od miasta, ale za to w obszernym ogrodzie... Kare-
ta zatrzymała się przed gankiem, Chełmicki wysiadł i podał
rękę z uszanowaniem Wojewodzinie... Chciał zaraz podzię-
kowawszy się cofnąć, ale zlekka ucisnąwszy jego rękę, za-
trzymała go.

— Czego się waćpan tak śpieszysz, proszę u mnie spo-
cząć i przyjąć kieliszek wina i maleńką *collazione*...

Chełmicki uradowany szedł za panią... Wchodząc na
wschody, dała mu znak, iż się chce zeprzeć na jego ramie-

niu, miał więc szczęście zwolna ją tak prowadząc, oddychać wonią jej peruki, chustki, sukni i rękawiczek, nie licząc tego, iż miły ciężar jej wdzięcznej postaci, ogrzewał mu ramię... To wschodowstąpienie odbywało się zwolna... jak gdyby umyślnie dla magnetycznego podziałania na tę duszę młodzieńczą...

W istocie wszedłszy na górę Chełmicki, pot z czoła otrzeć musiał i westchnął. Westchnienie to nie miało oznaczonego wyrazu,—ale mimo to nagrodzone zostało, wielce intelligentnie wejrzaniem i uśmiechem...

Chełmickiemu niewiedzieć zkąd i dlaczego przyszła na myśl Basia Sawicka, Podkomorzanka Dorota i smutne następstwa zbyt tkliwego serca, zawsze odbijające się na plecach, to go ostudziło znacznie...

Wnętrze pałacu urządzone było z nadzwyczajnym smakiem i przepychem, Wojewodzina bowiem lubiła się otaczać zbytkiem, nie zawsze bardzo wykwintnym, ale wielce połykliwym i jaskrawym. Właśnie taki największe na Chełmickim mógł czynić wrażenie... Przeszedłszy salon jeden, Wojewodzina w drugim, który się zwał gabinetem, zostawiła poetę, prosząc go aby spoczął, a sama poszła się przebrać, mając natychmiast powrócić...

Chełmicki znowu wpadłszy w świat zaczarowany, potrzebował oprzytomnieć i zebrać myśli.

Gabinet w którym się znajdował, dlań był czemś tak nowym, iż ledwie miał odwagę w nim się obrócić... Ściany jego okrywał atlas wzorzysty w bukiety... W ogromnych zwierciadłach przeglądały się wazy alabastrowe i brzozy... W porcelanowych naczyniach pełno było kwiatów... woń jacyntów napełniała powietrze... W każdym kątku pełno było cacek ślicznych... Na kolumnie w kątku marmurowy Amorek z wielkim wysiłkiem naciągawszy łuk, palił mu złotą strzałą w samo serce...

Na drugim słupku stała niewieścia postać, pół naga, otulająca się draperią, która nie chciała — jakby umyślnie, tak pięknych zakrywać kształtów... Tuż w owalnych ra-

mach wisiał portret Wojewodzinej, w tej pozie spartej na rączce, malowany, prawdą a Bogiem przed dwudziestu przeszło laty, lecz ona jeszcze dziś się nań modelowała.

Na portrecie tym była cudnie piękną; on tłumaczył, objaśniał, czynił zrozumiałym ten wyraz twarzy jej, który dziś stał by się hieroglyfem, bez tego komentarza... Można się było zakochać w portrecie, i z pomocą jego... Wojewodzinę znajdować—bardzo miłą. Ale na to trzeba mieć było lat tyle... ile upłynęło od malowania tego wizerunku...

Chelmiński się zapatrzył tak w portret... iż nie słyszał, gdy Wojewodzina wszedłszy, zlekka dotknęła jego ramienia...

— Proszę się nie przypatrywać, rzekła, po nim znajdziesz mnie pan brzydką... a ja bym tego sobie nie życzyła...

W sztuce komplementów Chelmiński był nowicyuszem, na razie więc nie umiał odpowiedzieć, zmięszał się. Szczęściem i to młodzieńcze pomięszanie jego za dobre mu było wziętem...

Wojewodzina odświeżona, z narzuconym szalem pąsowym na ramiona, który białosc jej płci podnosił jeszcze, rzuciła się na berżerkę, obrachowawszy światło właściwe... Ręce miała uwolnione z rękawiczek, okryte brylantowymi pierścieniami... nóżkę maleńką exponowała też na widok... do admirowania.

— Siadaj kawalerze! odezwała się wskazując mu miejsce niedaleko... Nader ciekawą jestem życia twego i przygód, proszę więc mi je opowiedzieć...

Zachwycony Chelmiński... nie wymawiając się przystąpił do tej spowiedzi powszechnej. Zaledwie ją rozpocząć miał czas, gdy przyniesiono na srebrnej tacy wino i biszkopty.—Zmusiła go Wojewodzina orzeźwić się, sama ręką własną nalawszy mu dwa kieliszki starego węgryzna. Nie nawykły do niego młodzian, znalazł się nieznacznie w stanie ducha, w usposobieniu tak poetycznem, tak wzniosłem, iż życiorys który skreślił, czynił go bohaterem... ofiarą, istotą w najwyższym stopniu zajmującą i obudzającą sympat

tyę... Stał się patetycznym, tragicznym, wymownym, śmiałym. Wojewodzina była w zachwyceniu... Tyle ognia! tyle ognia!!

Tym razem ojciec podobno z Rotmistrza awansował na pułkownika.—Był pewien, że kontroli Wojewodzina nie może ściśle dopełnić... Romantyczne swe dzieje tak ubarwił, iż w końcu podając mu rękę do pocałowania piękna pani, głosem drżącym od współczucia, spytała go czyby mu w czym pomóc być nie mogła...

Chelmiński sam dobrze nie wiedział co odpowiedzieć... Nie dając mu się rozmyśleć—Wojewodzina głosem nieśmiałym, przybierającym intonacye dziewicze, po cichu oświadczyła mu, że—od dawna potrzebowała sekretarza, że jedynie złośliwość ludzka wstrzymywała ją od postarania się o niego... lecz że gotową jest wzgardzić złośliwemi języki, teraz gdy może przyjść w pomoc szlachetnej niedoli i talentowi i t. p.

Chelmińskiemu zawróciło się w głowie, upadł na kolana dziękując, Wojewodzina bardzo po cichu krzyknęła przestraszona... dała mu rękę do pocałowania i oświadczyła po namyśle—że jutro każe dla niego przygotować pokoje... iż znajdzie w niej opiekunkę... radę, pomoc... i t. p.

Rozmowa przeciągnęła się do mroku... Chelmiński ją trzy razy żegnał i potrzykroć został wstrzymany, nareszcie wyszedł pijaniuteńki nie od wina, zachwycony, nieprzytomny i sam dobrze nie wiedział, jak się dostał na Tłumackie...

Tu zastał Wyrzykowskiego pakującego tłumok z zawziętością człowieka, który sam siebie chce zmusić do wyjazdu

— Chwała Bogu żeś mi się tu zjawil! zawołał obejrzawszy się sędzia—ja już jadę.—Na pewno,—pewnisissime... Jutro do dnia. Daliśmy sobie z Podstolim słowo — dosyć tego perebedniowania... dość tego bałamuctwa...

A cóż z waćpanem będzie?... zapytał.

— Ha! ja! odparł z lekceważeniem pewnem Chełmicki, ja już sobie dam radę. Zrobiłem księciu Podkomorzemu awanturę na Krakowskiem... ledwie się z moich rąk wyrwał.

— O! o! zawołał Wyrzykowski—to cię marszałkowska straż z miasta wyświeci.

— Jako żywo — odpowiedział obojętnie Chełmicki, mam protektorkę... i niejsce.

— A toś się w czepku rodził! krzyknął Wyrzykowski.

Siadł na niedopakowanym tłumoku żeby słuchać.— Gadaj!

Chełmicki do ubierania rzeczy nawet bardzo prostych miał talent istotny, cóż dopiero, gdy przedmiot się do poetycznego obrobienia tak znakomicie jak ten nadawał. Bajkę taką o zaklętej księżnie (za księżniczkę jej nie potrafił przestroić) ukuł Wyrzykowskiemu, że ten oniemiał...

— A niech cię djabli... zawołał, albo łzesz... albo...

Chełmicki poważnie w piersi się uderzył.—Słowo panu daję...

Wojewodzina całe była nieznaną panu Wyrzykowskiemu—ale jej podobnych spotykało się wiele po świecie. Prawdopodobieństwo wszelkie było za powieścią, a humor Chełmickiego coś też dowodził...

Chcąc oblać ten szczęśliwy ewent, Wyrzykowski zaprosił zaraz na dół do restauracyi Chełmickiego i kazał dać butelkę burgunda... Przegadali godzinę jakąś i nierychło poszli spać...

Nazajutrz do dnia jechać mieli.

O szóstej jeszcze oba byli w łózkach, gdy do drzwi zastukano... Boso, Chełmicki poszedł otworzyć, bo z obawy złodzieja spuszczone były na rygiel...

Wtoczył się w czapce Podstoli...

— Ot co jest—patrzajże — zawołał, żeby świata nie oglądali, bodaj ich ziemia pożarła... Pasy bym z nich dał

łajdaków... Wystaw sobie—mój sędzio—nie jadę, nie mogę jechać. Jak mi Bóg miły... Nasłanie! skaranie!

Przeklon jakiś.. Wiesz co się stało... W nocy mi te łajdaki drugiego konia ukradli! Wiesz tego łysego... niepozornego, ale on sam prawie ciągnął, nieoszacowany był... Jacka, byle do domu... w dyby... W dybach mi będzie chodził i codzień brał.. aż go na trzaskę wysuszę... Spał jucha na bryce, konie do niej przywiązane były... obcięto łysego tak, że nie słyszał! Pijany był—przysięgnę. Kazałem mu sobie chuchnąć, jeszcze od niego dziś gorzałkę słychać jak z kotła...

Założył ręce Podstoli...

— Otóż tobie Hryciu kiermasz! zawołał—oto tobie do Warszawy jazda! Co jejmość powie? Żem bałwan... I będzie miała słuszność. Ta powolność dla ludzi mnie gubi... Ale dość! teraz ja im pokażę, teraz ja ich wezmę w kluby... To chamskie plemię, z tem inaczej nie można, powiadam ci, jak bij a siecz, tylko ducha słuchaj... Czego nie ubijesz, tego nie ujedziesz...

Odwrocił się szybko, choć ciężki i otyły pan Podstoli, i jakby sam do siebie na nowo począł.

— Brudno kasztanowaty stał z brzegu... żeby był jego odciał—no—jeszcze—ale łysego... U mnie tyle było koni co te dwa... Reszta wywłoki... I trzeba mi było te stracić i w taki sposób...

— Ależ, na miły Bóg — odezwał się Wyrzykowski, przecie w mieście ktoś jest, co porządku pilnuje...

— Gdzie tam... słuchasz! wszyscy ze złodziejami we spółce! Niechęć nawet oczyma świecić po ich kancelaryach... Daremne koszta... Będą mnie trzymali pół roku dla indagacyj.—Pal ich djabli i z łysym razem... Byłem gdzie jakiego bronowłokę kupił—bo parą nie dociągnę...

Podstoli przeszedł się parę razy po izbie.

— A asindziej jedziesz? spytał.

— No—sam nie wiem — rzekł Wyrzykowski, parny

dzień i uważam że się coś chmurzy; jak mnie deszcz napadnie...

— W istocie na deszcz się zbiera, bo mnie w kościach łamie—rzekł Podstoli—ja idę na Pragę, siakie takie bydlę kupię, a jutro—jak świt...

— Byle jak świt!

— No, już ja ci ręczę—jak świt... z wieczora się popakuje wszystko...

— U mnie tak jak gotowo—dodał Wyrzykowski, tylko sobie jeszcze u Greka tytoniu kupię — i gościnców do domu...

Podstoli brał za klamkę...

— A obiad gdzie? spytał Wyrzykowski.

— Jeżeli zdążę, to tu zjemy razem, odparł Podstoli, na Marywilu codzień te flaki, już na nie patrzeć nie mogę... Zjemy razem ..

Pożegnali się—Chelmiński wstał i powoli przysposabiał się także do wyruszenia, chociaż Wojewodzina dopiero ku wieczorowi obiecała mu pokoje kazać wyporządzić...

Zgodził się więc pozostać na straży tłumoka pana Wyrzykowskiego, dopóki by on z gościńcami z miasta nie wrócił, obiad mieli jeść razem.

Chelmiński miał o czem myśleć.

Nie śmiał on jeszcze zuchwałcami nadziejami strzelać bardzo wysoko, jednakże nie zdawało mu się zbyt nieprawdopodobnem, iż szacunek Wojewodziny pozyskać może—i—choćby jaki legat w testamencie. Czulszych stosunków przypuszczać nie śmiał, zamało znał tego świata, który mu się też zbyt niedostępnym wydawał.

Na rozmaitych fantazyach zeszło godzin kilka—Wyrzykowski jak nie wracał, tak nie wracał. Było już po dwunastej, gdy się zjawił z żydkiem niosącym mnóstwo paczków i zwitków.—Cały był w potach...

— Gdyby Podstoli nadszedł, poszlibyśmy już zjeść—rzekł Wyrzykowski. W restauracyi nie ma nic gorszego jak się spóźnić, ochłapy tylko zostają...

Spojrzał na zegarek.

Zbliża się godzina pierwsza.

Wtem wszedł i Podstoli.—Nie mówiąc słowa, zasapany siadł na stołku, obu rękami podparł się na lasce i westchnął.

— Co ci to? odezwał się Wyrzykowski.

— Kiep świat! rzekł Podstoli...

— Konia kupiłeś?

— Kupilem.—Westchnął głęboko...

Nagle rezygnacya go opuściła i porwał się z siedzenia.

— Jaskinie łotrów! gniazda zepsucia!... Sodomy i Gomory! te miasta! Spalić, zniszczyć, solą zasiać...

— Ale cóż znowu? co znowu? czy cię co jeszcze spotkało?

— A spotkało... Tu, na każdym kroku coś spotyka... wszędzie... co chwila... wołał stary... Szubieniczniki!...

Milczeli wszyscy, siadł Podstoli.

Zmienił głos... ciszej począł.

— Wziąłem żydka z wózkiem na Pragę... Trząś szelma... siedem kościołów w oczach miałem... Musiałem się podciągnąć paskiem, myślałem, że mi wnętrzności wylecą. A tu bruk... no... Dojechaliśmy, wysiadłem na koński targ. Koni, chabetów, marek, bronowłoków... ostrokościstych gigantów.. przepaść... Wszystko to, mości dobrodzieju, poczyszczone, wylizane, wystrzyżone, choć się całuj z niemi... Zajrzysz w zęby... metryka nowiuteńka jak z igły... ten kula, ten spleczony, tamten się strychuje, ten dychawiczny... Jeszcze strach żeby zakurzonej nosacizny nie napytać... Chodzę, chodzę od złoju do złoju... naostatki i nogi mnie zabołały... Patrzą... Koń nie zły... tej samej maści co mój łysy, tego samego wzrostu, tylko bez łysiny... Daj sam go tu... Przeprowadzili, chodzi dobrze. — Co za niego... Targ w targ, dwanaście dukatów... prowadź do stajni... Jeszcze odudznego dałem talara... przywiązaliśmy go do wózka... Wracam...

Jacek wyszedł przeciw konia, patrzy, opatruje i śmiać się począł.—Czego ty się kpie śmiejesz?—Jakże się tu nie śmiać, a to pan swojego konia kupił? — Jakto swojego.— A toć łysy... Czyś oszalał... Łysiny nie ma...

Ale miał bestya słuszność, zamałowali mu łysinę... Ja na bryczkę za złodziejem, na Pragę... do tego samego stanowiska... gdzie! szukaj wiatru w polu, żyda ani śladu... Nikt go nie zna, nikt o nim nie wie...

Podstoli zamilkł:— Jeszcze tego brak—dodał, żeby mi go drugi raz ukradli...

Poszli tedy obiadować i zalać tę zgryzotę... Chełmicki im towarzyszył.

Obiad znacznie humory poprawił... Ponieważ trafił się im stoliczek na trzech na uboczu... rozinowę mogli prowadzić swobodną.

Już wśród obiadu—Wyrzykowski jakby się ocknął—i obrócił do Chełmickiego.

— O wczorajszej waszej na Krakowskiem przygodzie, całe miasto gada—rzekł ciszej. Z tej okazji dowiedziałem się też kto was wybawił, i która Wojewodzina...

Wymienił nazwisko — Podstoli brwi podniósł i usta wykrzywił.

— Będzie tam waszmości dobrze—rzekł Wyrzykowski—kobieta, mówią, bardzo przyjemna, choć trochę nadto młodą udaje... Tylko jednej rzeczy się waszmość strzeż, panie sekretarzu.

— A to czego?

— Brata ma niewygodnego—odezwał się Wyrzykowski—istny tyran. Musi tam jakiś interes majątkowy zachodzić, bo się nią do zbytku opiekuje i gdy mu się co nie podoba... wyrządza jej przykrości. Zawadyaka i burdy lubi...

— Przecież ja z nim w żaden konflikt nie wejść, rzekł Chełmicki—przeszkadzać mu w niczem nie będę.

— No, tak—ale mi mówiono z boku, że on właśnie sekretarzów przy siostrze nie znosi...

Chełmicki trochę się zmięszał..

— Ma jakieś uprzedzenie zapewne przeciwko nim— odezwał się ironicznie Wyrzykowski — jednego, pono opie-
rającego się .. bardzo się z nim ostro obszedłszy— odprawił,
— gbur jest...

— Ależ Wojewodzina pełnoletnia przecie i pani swej
woli— rzekł Podstoli— cóż to za impozycyja!

— *Relata refero!* dokończył Wyrzykowski— ja tam nie
wiem jak rzeczy stoją; tak ludzie mówią .. Cóż chcecie?
Nie ma róży bez kolców...

— Ani ryby bez ości... dodał Podstoli...

— A dla wilka w las nie iść — rzekł Chełmicki od-
ważnie.

— Więc, bodaj się nam i wam dobrze działo! I stu-
knąwszy kieliszkami wypili burgunda...

Nad wieczór Chełmicki, pożegnawszy swych protekto-
rów, siadł do fiakra i z bijącym nieco sercem kazał się za-
wieźć do pałacu Wojewodziny.

Tu już na przyjęcie jego pokoje w istocie były przy-
gotowane. Kamerdyner samej pani, poważny człek, smu-
tnej twarzy, choć kwaskowato ale grzecznie kazał go zapro-
wadzić na górę. Były to pokoje dawniej już pono przez
kilku poprzedników zajmowane. Małeńkie wschodki sta-
nowiły łatwą komunikacyę swobodną z pokojami Wojewo-
dziny, ażeby sekretarza zawsze na zawołanie mieć mogła.

Chełmicki, który z mieszkania u księcia był zadowol-
niony, oczom swoim nie wierzył, znalazłszy się w przerna-
czonym dla siebie apartamencie. Składał się on z bardzo
przyjemnego saloniku, z którego okien widok był rozległy,
z sypialni, gabinetu i jeszcze jednego pokoju przeznaczone-
go znać na kancelaryę, bo w nim stało biuro z przygoto-
waniami wszelkimi do pisania...

Tomko, który w głębi duszy był przekonany, że dla
niego nie za dobrem i za paradnem być nie mogło — po kró-
tkiej chwili pewnego osłupienia, wrócił do przekonania, iż
los, który był nie głupi, dawał mu właśnie to na co potrzeb-

nym talentem swym zasługiwał. Zatarł ręce... oddając losowi sprawiedliwość.

Wojewodzina, dawniej nieopuszczająca żadnego balu i przyjęcia, żadnej zabawy, często nawet umiejąca się podzielać, jeżeli assamble u pani Krakowskiej zeszły się na jeden dzień z fantystycznie przypadającemi u księżnej de Nassau—przez jakiś czas potem nigdzie się prawie nie pokazywała, oprócz u Łazarewiczowej.

Księżna de Nassau, o której wspomnieliśmy, jedna z najdowcipniejszych kobiet swego czasu, mogąca rywalizować w opowiadaniu niebywałych rzeczy z księciem panie kochanku — spotkała ją nareszcie jednego rana u Paschalisa...

— Moja Wojewodzino! zawołała — podbiegając ku niej—czyś nie chora? Dawno was nie widziałam nigdzie. Wszyscy o ciebie pytają... Co się stało? bo już ciż do zakonu nie wstąpiłaś?

Gdyby nie róż i bielidło, Wojewodzina byłaby się może zarumieniła, zesnurowała usteczka, spuściła oczy...

— Tak... trochę—byłam niezdrowa i bardzo... bardzo zajęta...

— Czemże? proszę cię?

— A! to się nie mówi! cicho szepnęła ex-piękność.

— Jak się tylko nie mówi, to się łatwo domyśla—śmiejąc się wtrąciła księżna... czy... szukasz nowego zawodu i złudzenia?? A! tak—dodała wzdychając i ziewając razem... wszystko bo na tym niepokiesznym świecie kończy się zawodem i rozczarowaniem... Byle się do czego zbliżyć... przepadły blaski... byle pochwycić, bańka mydlana staje się brudnej wody kropelką. Ja już doszłam do tego... że się nie zbliżam do niczego—admiruję zdala... i śmieję się, wszystko jak na teatrze... dobre póki zdaleka...

— Ja, odparła Wojewodzina — jeszcze nie zrozpaczy-

łam o ludziach i... wierzę, że coś pięknego znaleźć się może na świecie. Księżna de Nassau spojrzała na nią z rodzajem politowania i zazdrości razem...

— Moja Wojewodzino! więc cóż? powiedzże mi, przyznaj się... Uwiodłaś kogo? Tłumiła śmiech.

Piękna pani podniosła ku niej omdlałe oczy i odprowadziła na stronę.

— Ale daj mi słowo, że nie powiesz nikomu... nikomu!!

— A! kochana Wojewodzino, wiesz jak jestem roztrzępana...

— No—to ci nie powiem nic.

— I dasz mi zgorzeć z ciekawości! A! toby było nie-ludzko! —No—będę się starała nie wydać waszej tajemnicy... chociaż—tajemnica w Warszawie — wątpię żeby się dłużej nad dwie godziny zachować dała. Ale cóż to jest?

— Znalazłam skarb! szepnęła Wojewodzina—skarb—duszę dziewczę! serce dziecięcia — umysł wzniosły, charakter szlachetny...

— Jednem słowem bohatera...

— A tak! księżno—prawdziwego bohatera... *Adorable de naïveté et stupéfiant par la profondeur de son génie!*

Spojrzała jej w oczy, księżna de Nassau stała w osłupieniu...

— Zakochałaś się! rzekła—znowu.

— Jakto—znowu? obrażona niemal podchwyciła Wojewodzina—ale ja kocham po raz pierwszy w życiu — ja nigdy nie kochałam jeszcze... To były — omyłki serca okupione srogo...

— *C'est ça!* — z zabawną powagą odpowiedziała de Nassau—*Connu!* Ale ja to wiem, bo przez to przechodziłam... szczególnie gdy się zadurzyła była terazniejszemu królem szwedzkim, który, jak wiesz, o mało się ze mną nie ożenił... Mów dalej, kochana Wojewodzino, mnie to nadzwyczaj zajmuje...

— Nie między królami, nie w tych zawczasu wyżytych i wyziębłych sferach, w których my się obracamy, mówiła Wojewodzina, szukać trzeba świeżości afektu...

— A tak! znam i tę teorię... między pastuszkami—odpowiedziała de Nassau—ale, proszę cię... smierdzą bydlę ciem pastuszki... *c'est abominable*.

— Ty jesteś zawsze cała w żartach! zawołała ex-piękność... i przesadzasz...

— Ale—słucham... gdzieżeś znalazła to cudo, bo, mówię ci szczerze, jabym sama gotowa odbyć pielgrzymkę, aby coś podobnego zobaczyć... to cud!

— O! przepraszam—nie pokażę ci go—bo byś mi zbalamuciła... nie pokażę...

De Nassau śmiała się...

— Moja droga pani—jakże jesteś szczęśliwą, jak ja ci zazdroszczę!

Uderzyła w rączki...

— Ale między nami—szepnęła cicho—co to jest? Cywilny? wojskowy? ksiądz czy kamerdyner?! Może francuz? nie—bo jużci nie... polak.

— Polak...

— Szlachcie...

— Szlachcie... ale wieśniak...

— W butach kozłowych i konfederatce—z minką pocieszną dokończyła de Nassau.. Nie—ja tego gatunku nie lubię... *merci*.

— I poeta! szepnęła Wojewodzina.

— A! poeta!—to co innego—zawołała księżna — jeżeli poeta... Chociaż, wiesz, znałam ich wielu we Francyi, jednego w Wenecyi Włocha, oni się wszyscy w sobie kochają tylko.

Wojewodzina więcej już mówić nie chciała—zamilkła...

Wtem do sklepu Paschalis'a zaczęły wchodzić panie. których poranną zabawką zwykłą było bieganie po magazynach — rozmowa na stronie stała się niepodobieństwem.—

Księżna de Nassau szepnęła na ucho Wojewodzinie.—Ty—siące życzeń najlepszych—i odeszła...

W chwilę potem ex-piękność siadała do karety i kazała się wieść do domu, nakupiwszy mnóstwo fraszek dla siebie—i—na gościńce...

Księżna Karolina z obojętnością sobie właściwą przechadzała się po bogatym składzie, znudzona... chwytając to lub owo, a w istocie nie mogąc zająć się niczem.

Wtem mężczyzna słusznego wzrostu—wystrojony bardzo ale na rano, z laską w rękę, w butach ze sztylpami złotymi, przystąpił do niej i powitał ją.

— A! pana Starosty! zawołała de Nassau,—zskądże to? Tak długo nie byliście w Warszawie...

— Prosto z Włoch! mościa —księżno...

— Dawno?..

— Dziś w nocy...

— Widzieliście się już z siostrą? spoglądając mu w oczy zapytała de Nassau.

— Jeszcze nie... rzekł bijąc po butach laseczką pan Starosta i schylając się do ucha księżnej dodał:—*Une nouvelle folie, je viens pour l'empêcher.*

— Cóż to! nie wiem? zawołała księżna...

Mężczyzna ruszył ramionami...

— Jakto? wy nie nie wiecie!

— Ale nie...

— Znowu przyjęła sekretarza... *L'abbé R...* doniósł mi o tem sztafetą, dodając, *qu'elle est entichée de lui, qu'elle est folle.*

— *L'abbé R.* jest wizyoner—poczęła księżna, a wac—pan, kochany Starosto — jesteś tyranem! Tak! tyranem! Cóż ci to szkodzi, że biedna kobieta odmłodnieje, odżyje na chwilę. Ale wszyscy tacy jesteście. Wam wolno co chcecie, nam—nie.—Wyście bohaterami, gdy robicie głupstwa, a my—występne...

Zarumieniła się księżna.

— Ale któżby jej bronił mieć fantazye! zawołał Starosta... Ja wcale nie przeszkadzam, stoję tylko na straży, aby się nie uwikłała w mezalians... i—na wieki... Trzeba zaś wiedzieć, że ma zaraz matrymonialne ideemonstrualne...

— Mój Starosto... alboż niema rozwodów!

— Tak, za które opłacać trzeba... Dosyć i tak już ma długów... *Merçi!*

— A! więc myślisz jak piorun zaraz spaść na nią i roztrzaskać jej wątłą szczęścia budowę...

— Kochana księżno — zawołał Starosta — ja jestem w tych sprawach ostrożny... i nie robię nigdy fałszywego kroku... Naprzód parę dni niewidzialny poświęcę ścisłej inkwizycyi, *je porterai le coup, quand le moment sera venu.*

Nassau spojrzała na niego mierzając go od stóp do głów, wzięła w rękę materyę jakąś rozłożoną na stole, zgięła ją i pofałdowała, popatrzyła zdala i odezwała się obojętnie:

— *N'est-ce pas, cela ferait bien pour une polonaise?*

Starosta pochwalił... Mnóstwo osób wchodziło i wychodziło ze sklepu...

— Ja tu już jestem obcy—odezwał się przybyły, zupełnie mi nieznane widzę osoby...

— Naprzykład? spytała de Nassau...

— Ta słuszną pani, pięknej figury, a nie ładnej twarzy, z wyrazistemi oczyma i dumną miną.

W tej chwili de Nassau, z uśmiechem właśnie się jej skłoniła...

— Któż to taki? spytał Starosta.

— Żona margrabiego Lucchesini. Męża ma okrutnie zazdrosnego, bardzo dowcipnego dyplomatę ale ona sama jeszcze jest większą dyplomatką, poseł inflancki jest jej kochankiem a margrabia, który wie wszystko, tego nie wie, że margrabina *ne travaille pas pour le roi de Prusse... mais bien pour son propre compte.*

Mówią, że czasem Lucchesini czegoś się domyślając... burzy się, ale ona umie go ukołysać...

Niemcewicz się tłumaczy, że kocha się w niej dla mi-

łości ojczyzny... i traktatu z Prussami!

Księżna de Nassau śmiać się zaczęła.

— A ta panienka taka śliczna? to kto? spytał Starosta.

— A pfe... toć przecie Józka ex-Podkomorzego i wielu innych... ale jej ani ja nie znam... ani nikt. Nie wiem! nie wiem.

— Jedna piękniejsza od drugiej! zawołał Starosta—to prawdziwe чудо.

Ta do której się to stosowało, w istocie była zachwycającej piękności klassycznej, ale wdzięk jej psuły wyszukane tony, które sobie dawała.

— To Markiza Lullie—nieszczęśliwa emigrantka francuzka—mówiła de Nassau—*une pauvre*, która dyamentów więcej nad jakie dwadzieścia tysięcy dukatów ocalić nie mogła. Wszyscy się tu nad nią litujemy niezmiernie... Ma wiele przyniotów ale największy z nich to, że tak bosko ładna... Stanęli na uboczu—goście się ciągle mieniali i przesuwali..

Były tam i zwiędła hr. Tomatys, niegdyś artystka sławiona, i szambelanowa Camelli, słynna z wdzięków i głosu... i niegdy tak drogo króla kosztująca Schmitowa i zbyt drogo księcia ex-Podkomorzego dotąd... Truskolska... i wybielona, trędowata, stara brzydka a wdzięcząca się księżna Wojewodzicowa...

Któżby był zgadł, że o tę Tomatys bił się niegdyś hełman z Casanową, a król obu zazdrościł i obu odsadził...

Wreszcie weszła poważna hr. Oborska... o tej coś szepnęła na ucho Staroście księżna de Nassau, ale nic więcej dosłyszeć nie mógł nad to: — Powinna się w fiolety i karmazyny ubierać.

Tak zabawiwszy Starostę, zaprosiwszy go do siebie na obiad, upewniwszy się, że ma wiele jeszcze wizyt i zajęć nim będzie u siostry; księżna Karolina wybiegła do powozu i szepnęła służącemu aby jechać kazał do Wojewodzinej.

Jej serce poczciwe a razem fantazya do figlów skłonna, dyktowały by co najprędzej uwiadomić Wojewodzinę o grożącym jej niebezpieczeństwie. Nie możemy zaręczyć czy się do tego nie łączyła ochota wyszpiewowania jakim sposobem i zobaczenia tego — *unikata*, którego się udało znaleźć ex-pięknej pani, na warszawskim bruku.

Sławny był ekwipaż księżnej de Nassau i konie jej najpiękniejsze w Warszawie; w chwilę potem, kareta stała przed pałacym ale — ale Wojewodzinę dotąd nie było.

— Pójdę do pokojów i poczekam na nią! odezwała się de Nassau, muszę się z nią widzieć koniecznie.

Kamerdynier przyjął ją na wschodach weszła powoli rozpatrując się po salonie i gabinecie. Była także znawczynią w rzeczach sztuki i krytykowała potrosze urządzenie budoaru.

Uśmiechnęła się z amorka i ruszyła ramionami. .

Chodziła jeszcze po gabinecie, gdy małe drzwiczki się otwały i — nieszczęsny sekretarz, który się omylił a sądził, że Wojewodzina wróciła, ukazał się na progu. Zobaczywszy młodą i piękną panią, z ożywioną twarzą, zmieszał się nieco i nierychło namyślił się cofnąć, drzwi zamykając za sobą.

— Otóż słowo zagadki! pomyślała de Nassau. Młodość!! Ma minę syna ekonomskiego...

I dodała smutnie wzdychając — *qu'est-ce que c'est que de nous!*

Ledwie miała czas ten pełen miłosierdzia wykrzyknik dokończyć, gdy Wojewodzina wbiegła do salonu...

— A! to ty!..

— To ja! ale — przysięgam ci, nie dla szpiegowania cię tu przybyłam. Interes największej wagi... idzie o spokojność twoją. My między sobą powinniśmy się wspólnie ratować i wspierać.

— Cóż się stało?

— Bratu twojemu już doniesiono o nim, szepnęła de Nassau... *L'abbé R.*, albo kawaler Maisonneuve... jeden z dwóch... Brat twój jest tu, szpieguje cię i myśli zrobić awanturę.

Słowa te szybko wyrzekłszy, chciała się zaraz oddalić księżna, gdy Wojewodzina na pół omdlała padła na kanapę... Sole były pod ręką, otrzeźwiła ją łatwo.

— Winnam ci życie! *adorable amie!* przysięgam wdzięczność dozogonną! zawołała przychodząc do siebie Wojewodzina, księżna już się zegnała. — Gospodyni nie zebrała się na siły aby ją odprowadzić, gdy zwinna i lekka już przebiegłszy salon, wołała na wschodach o konie...

Ktoby naówczas mógł widzieć Wojewodzinę, po wyjściu księżnej—musiałby był się zdumieć zmianie jaka w niej zaszła natychmiast, gdy pozostała samą. Wyraz sentymentalny twarzy, który przybierała do ludzi, znikł bez śladu, zastąpił go gniew prawie straszny, usta zacięte, czoło zmarszczone.—Zbrzydła,—przeistoczyła się w jednej chwili, a ze zwierciadło oznajmiło jej o tem, zaryglowała małe drzwieczki, któremi niepotrzebny mógł wniknąć świadek, nimby powróciła do maseczki, którą była nosić zwykła. Ale na to potrzebowała czasu, opanowania siebie samej, ukołysania gniewu i strachu. Siadła na kanapce załamując ręce, zadumana, i siedziała długo nieruchoma tylko wargi czasem zadrgały... Wstała potem i zaczęła się przechadzać powoli, znać myśli zburzone jakieś jaśniejsze, wyraźniejsze kształty przybierać zaczęły. Powoli rozjaśniało się czoło, usta wracały do pół uśmiechu. Spojrzała w zwierciadło...

Chwila gniewu w fałdach jeszcze widocznych pozostała przejścia ślady. Usiadła aby się uspokoić, zetrzeć je z oblicza. Flaszeczka tajemnicza dostarczyła jej parę kropeł... na których skutek poczekała.

Zadzwoniła na starego kamerdynera, który wszedł mierzonym krokiem znudzonego i smutnego człowieka. Stojącemu w progu Wojewodzina długo coś szeptała do ucha.

Słuchał z uwagą wielką, ruchami głowy potakując i dając znak, że rozumie.

— Mój stary przyjacielu — dodała przypochlebiając mu się w końcu — ja cię proszę o to.

Kamerdynier się sklonił nisko. Widać było, że spełnienie rozkazów nie przychodziło mu łatwo — ale... gotów był je wykonać ściśle.

Stanąwszy przed zwierciadłem znowu, długo się jeszcze sobie przypatrywała Wojewodzina, poprawiła łuk brwi, ułożyła trochę roztrzęsioną peruczkę, dobytą z naleśnikowej puszczerki pomadką posmarowała usta, które karmioną barwę przybrały i przez małe drzwiczki wyszedłszy na korytarzyk, poruszyła taśmę od dzwonka. Natychmiast dały się słyszeć pośpieszne kroki na wschodach i pan Chełmiecki, w nowym wykwinnym stroju, ukazał się biegnąc na zawołanie.

Wojewodzina wprowadziła go do gabinetu, niespokojnie patrząc w okna wychodzące ku ulicy... Ręka jej i głos drżał, gdy się odezwała...

— Pan mi zostaniesz wiernym! bądź co bądź!

— A! pani, zawołał Chełmiecki rękę jej do ust podnosząc, ja panią jedną mam na świecie...

— A ja — na nieszczęście, trochę gniewnym i zmienionym głosem, mówiła pani — ja mam jeszcze kogoś na świecie, który mi całe życie przeszkadza, staje na drodze do szczęścia... prześladuje, tyranizuje...

Dosyć mu tego będzie, gdy się dowie że nasze serca się rozumieją, aby starał się najdroższe dla mnie węzły potargać...

— Brat pani...

— Tak jest, drogi panie Tomaszu... mój brat^a tu jest. Wie już o wszystkim, niegodziwc szpiegi, którymi jestem otoczona, już go uwiadomiły...

Tu jej tchu zabrakło.

— Był we Włoszech; myślałam, że jego powrót uprzędzić potrafimy, łącząc się węzłem wiekuistym... Ale, cier-

pliwości, męztwa... Niech to cię nie przeraża... Ja się nie dam tyranizować... O! nie...

Muszę być chytrą, kłamać będę, by się od tego prześladowania wyzwolić... Dla niepoznaki... proszę cię.. natychmiast wynieść się z pałacu... Mieszkanie będzie najęte, osobne, niedaleko... ale teraz trzeba by ludzi widzieli, że... opuszczasz ten dom... pomieszany, ze smutkiem, jakbyś już do niego powrócić nie miał...

Chełmicki słuchając pobladł. Wojewodzina to dostrzegła i pośpiesznie zdjęła z palca pierścionek.

— Masz to na znak zaręczyn... Nie lękaj się, nie opuszczę cię... będę twoją... a teraz—idź—śpiesz... uciekaj...

Jesteśmy otoczeni szpiegami.

Poeta przycisnął jeszcze raz rękę Wojewodzinej do ust...

— Powinieneś jak ja pohamować miłość młodzieńczą... rozdział nie potrwa długo, dwoje serc kochających połączą się... na wieki...

Kroki dały się słyszeć w przedpokoju, Chełmicki przełękły znikł natychmiast, a Wojewodzina pośpieszyła do salonu.

W pół godziny potem, fiaker rzeczy i pana Chełmickiego wywiózł na Nowy-Świat, pod numer wskazany.

Wojewodzina z głową związaną, chusteczką żółtą w szafanie moczona, jadła obiad sama i nie przyjmowała nikogo. Kiedy nikt z pewną niecierpliwością wyglądała oknem, jakby się czyjeś spodziewała przybycia, ale dnia tego nikt się nie pokazał.

Nazajutrz dzień cały także przebyła w tej niepewności i trwodze—w domu panowała jakaś cisza dziwna, w której czuć było oczekiwanie. Trzeciego dopiero poranka, karetka zaszła przed ganek i pan Starosta, tak jak się prezentował tego dnia u dworu, w wielkim mundurze kawalera Maltańskiego, cały wyhaftowany i wyzłocony, ze wstęgą Ś. Huberta, Św. Stanisława, Orła i Św. Ludwika, wszedł powoli na wschody.

Zobaczywszy starego kamerdynera poklepał go po ramieniu i przystanął na dole. Na niski pokłon, odpowiedział uśmiechem.

— Cóż? możecie myśleli, że pojechał Konstantynopol zdobywać i że mnie Turcy na pal wbili? prawda? nie musieliście się mnie tu spodziewać.

— Aleśmy jasnie panu zawsze bardzo radzi!

— No, nie wiem, a Wojewodzina—jak się ma?

— Trochę nie domaga...

— Cóż za dziw! Stara baba choć na młodość choruje, rzekł Starosta, — starsza odemnie o lat osiem, a i ja nie jestem młody.

Kamerdyner nic nie odpowiedział, służbisto bardzo wiódł na górę, otwierając drzwi, pół bokiem zwrócony ku dostojnemu gościowi. Zostawiwszy go w salonie, sam pośpieszył dać znać pani.

Drzwi się z impetem otwarły i Wojewodzina na pół ubrana, z głową związaną wybiegła z rękami rozstawionymi, wzruszona dramatycznie, uściskiem witając najukochańszego brata.

Kawaler maltański zmięszał się nieco, znać się takiego czułości wylewu nie spodziewał...

Stośtra leżała na jego ramieniu i na myśl mu przyjść mogło, że puder jej peruczki wpijał się w jego aksamity maltańskie, w jego świetne hafty.

— O! jakże ty mi w porę przybywasz, najdroższy mój bracie! zawołała... to opatrność cię zesłała! jam tak potrzebowała pociechy, łona na którebym troski moje wylała.

Usiedli obok siebie.

— Zkądże jedziesz?

— Z Włoch...

— Zapewne dla zobaczenia sejmu? może dla wejścia w służbę naszą?

— O! nie—odparł Starosta... przyznaję ci się że tylko niespokojny był o ciebie.

— O mnie! a! to twoje serce braterskie, znać niebezpieczeństwo w jakim się znajdowałam uczuło...

Westchnęła głęboko, przybierając pozę wiadomą.

— Opowiem ci wszystko—rzekła—taić nie będę przed tobą... Czy cię doszły jakie wieści?

Starosta trochę się zawahał, lecz wnet pospieszył skłamać.

— Nie—tak, byłem niespokojny...

— Serce twe miało przeczucie wieszczę! westchnęła kobieta.

— Cóż to było? zimno począł brat...

Wojewodzina zdawała się wahać wstydliwie...

— Wyznanie wiele mnie będzie kosztować, rzekła w końcu—ale ty mnie znasz, ty na słabości moje jesteś wyrozumiałym, pobłażającym. Popęłniłam niebezpieczną omyłkę...

Zakryła oczy... Brat słuchał z uwagą.

— W moim wieku, po tylu bolesnych doświadczeniach, to rzecz nie do darowania .. nieprawdaz?

— Ale cóż to było? co to było?

— Podobałam się młodemu człowiekowi... i on mi się dosyć podobał... Wzięłam go była nawet za sekretarza... chociaż czułam, że przy mojem tkliwym, a! nazbyt tkliwym sercu, niebezpiecznym dla mnie stać się może. Szczęściem, wkrótce, zbliżka go widząc... obcując z nim, przekonałam się jak nie był godnym tego serca, które blizkiem było oddać mu się zupełnie...

Starosta głową potrząsał...

— Ale moja Julko—odezwał się zinnno, *Sarré nom...*

— Proszę cię...

— Przepraszam... czas bo by mieć rozum! zawołał Starosta... Ludzie się z ciebie śmieją i plotą, że w starym piecu djabeł pali... Osiem lat starszą jesteś odemnie... a jeszcze nie mogłaś się pozbyć tej romantyczności...

— A! drogi mój Jasiu—odparła Wojewodzina, tłumiąc głos—wy mężczyzni—stygniecieć prędko—my, starzejemy

twarzami, ale serce długo pozostaje młodem... Ono ma swe prawa... Ja nigdy nie doznałam miłości...

— A! *surprisi!* zaśmiał się Starosta. — I możesz to powiedzieć? Julko! Przecież hasałaś jak nikt z nas. Nie liczę Wojewody, bo to był urzędowy miłośnik i balwan, z pozwoleniem... ale, proszę cię—a kasztelan... a król, a książę... a baron... a pięciu sekretarzy, a *L'abbé*...

— Bracie! krzyknęła Wojewodzina—to potwarze niegodne... czynisz się ich echem... Jasiu!... dosyć tego...

To mówiąc podniosła się i twarz jej zaczynała przybierać wyraz gniewu, ale rychło ochłonęła... Usiadła i podparła się—Starosta chodził i rozglądał się po salonie. Minę miał zafrasowaną...

— No—kiedy tak, rzekł—nie będę kłamał, przyznam ci się—ten twój przeklęty nowy sekretarz, o którym mi znać dano, przypędził mnie tu... *L'abbé R.*—dał mi o nim znać. Straszniem się zląkł żebyś ty z twoją matrymonialną gorączką nie zrobiła głupstwa...

Wojewodzina drgnęła.

— Widzisz, rzekła — jacy to wy jesteście... Zawsze nas macie za zaślepione, nierozsądne, małoletnie aż do zgonu. Posądzałeś więc mnie, że sama nie rozeznam...

— Proszę cię, między bratem a siostrą... nie będę robił ceremonii—mogłaś się dać młodością opętać.. Mógł być ładny mężczyzna... Gotowaś była popełnić megalians, stracić tytuł, pójść nawet za niepewnego szlachcica...

— Mogłabym się tem obrazić—odezwała się Wojewodzina.

— Nie—nie powinnaś, bo i ja to czynię z miłości dla ciebie...

Ukradkiem rzucone spojrzenie siostry dowodziło, że to trochę inaczej rozumiała.

Nie będziemy powtarzać dalszej a długiej rozmowy, w której pani domu na wysokości artyzmu, z jakim odegrała pierwszą scenę, utrzymać się umiała... Rodzeństwo przepędziło z sobą niemal dzień cały, Starosta się uspokoił zu-

pełnie... W czasie obiadu sam na sam, po bardzo dobrym winie, plół niedorzeczności i dawał siostrze takie rady—praktyczne, których słuchając oczy sobie zakrywać musiała...

Cynik był, mimo swojego maltańskiego rycerstwa, jakimu równego trudno było znaleźć.

— Ucz się—powtarzał—od pani Wojewodziny Podolskiej... ta ma takt... Czy kto z rodziny, nawet córka, miał jej za złe, że ksiądz Renaud bawi przy niej, jako kapelan. Te obowiązki sekretarza i kapelana doskonale się z sobą godzą... *Cela a un air distingué*, i—niema niebezpieczeństwa ażeby się to mezaliansem skończyło. *Voilà!*

Pomimo płochości—Wojewodzina była (co się często trafia) pobożną bardzo, oburzyła ją ta żartobliwość brata niewczesna, zamknęła mu usta.

— Proszę cię, tylko bez tych żartów... bo ja ich nie lubię...

Starosta postrzegł że się za daleko puścił, przeprosił i zwrócił inaczej rozmowę.

Wieczorem wojewodzina ozdrowiawszy trochę, brata na teatr zawiozła. Pełny był do stropu, oświecony tysiącem świec... i trząsł się od oklasków dawanych ukochanemu Bogusławskiemu, Truskolaskiej i Świeżawskiemu.

W jednej z łóż, dziwnie przystrojonej, pokazywano Blanchard'a, który właśnie tego dnia się puszczał balonem z p. Janem Potockim i jego pudlem. Wszystko to szczęśliwie spuściło się na ziemię, nie wiem czy dalej jak za Młocinami i wróciło z tryumfem do stolicy. Kawaler Maltański zajął się ogromnie aeronautą a Wojewodzina miała czas odetchnąć i popatrzeć po teatrze.

Jakaś siła magnetyczna oczy jej sciągnęła ku parterowi, gdzie postrzegła stojącego pana Chełmickiego, któremu pilno się wiele osób przypatrywało. Księżna de Nassau przez ogromną lornetę egzaminowała go bardzo bacznie.

Kamieniczka na Nowym Świecie, do której na połowę pierwszego piętra wniósł się tymczasowo Chełmicki, należała do rodzonej siostry kamerdynera wojewodzinej, lub ściślej biorąc, do jej męża. Ten był szwajcarem i cukiernikiem J. Kr. Mości, pracującym pod światłą dyrekcją pana Tremo, *Maitre d'Hôtel de S. Majesté*.—Szwajcar się zwał Cremoni. W czasach jeszcze gdy zawód swój rozpoczynał, poznał piękną Karusię, która naówczas była na dworze wojewodzinej w wielkich łaskach i splendorach, i—jak gdyby nie miał nic pilniejszego do roboty, zakochał się w niej, a że z miłości tej inaczej wyjść nie mógł, ożenił się z nią, nie mając jeszcze kamienicy... a w kieszeni bardzo mało... Dla skrzętnego szwajcara to ożenienie nieopatrzone, które mu powszechnie naganiano, stało się bodźcem do robienia majątku. Począł pracować na różne sposoby, szukać odbytu dla wyrobów w wolnych godzinach, a że czasy były dosyć dobre, że miał praktykę w ambasadzie, u księcia prymasa, u pani hetmanowej Ogińskiej gdy przebywała w Warszawie, u księżnej marszałkowej i u jeneralstwa ziem podolskich—wprędce dobił się do tego, że kamieniczkę dwupiętrową postawił. Niem mało też do krescytywy przyczyniła się piękna Karusia, Mąż jej postępowaniu nie miał nic do zarzucenia, lecz zrzęcną była nad wyraz wszelki, a piękną tak, że kilkanaście lat małżeńskiego pożycia, jeszcze tego wdzięku twarzy i postaci niewiele nadwerężyły.. Bez wielkiego, albo raczej bez żadnego początkowego wykształcenia, sama się nauczyła po francuzku, umiała po włosku, nabrała maniery dystyngowanej, i nieraz na maskaradzie w Radziwiłłowskim pałacu tak intrygowała najznakomitszych magnatów, iż ją brano za (jak to mówiono)— osobę z towarzystwa.—Pod maseczką małpowała doskonale ton, mowę, ruchy, język, dowcip wielkich pań, z których pozwalała sobie drwić potem. W powszednim życiu była to kobieta bystrości nadzwyczajnej, przebiegłości zdumiewającej, kameleonskiej różnaitości charakterów przybieranych wedle potrzeby.

Ludzi poznawała jednym wejrzeniem, prawie się nigdy

nie myląc, wiedziała odrazu jak się odezwać do kogo i prowadzić gdzie chciała.

Mnóstwo młodziarzy, a nie mniejsza ilość starych w niej się kochała. Korzystała umiętnie z każdego, wodziła ich za sobą póki byli potrzebni i—nieskompromitowana nigdy wychodziła z tych zapasów—coś zyskawszy dla siebie, męża i gospodarstwa.

Stary to był filut, którego nikomu się w pole wywieść nie udało. Mąż w niej miał nieograniczone zaufanie, wiarę niezachwianą, uwielbienie—w jej rękach były interesa, kassa, gospodarstwo, wychowanie dwóch córek, wszystko. Cremoni naiwnie powiadał, że bez niej bywał czasem roznymym, ale przy niej zawsze był głupim.

Tę samą w niej wiarę miał brat, i nie mniejszą wojewodzina, której charakter i słabości znała doskonale.

Wychowana przy niej Karusia, patrzyła na całe jej życie, często czyniła uwagi, wiedziała jak trafić do przekonania i, jedna może, wpływem jakimś pochlubić się mogła.

Była to kobieta pracowitości niezmiernej i niewyczerpanej siły. Wstać do dnia, cały dzień być na nogach, wyklócić się kilka razy, kilku wzdychającym, bo ich do tej pory miała, dać odprawę, kogoś potrzebnego oczkiem pociągnąć, porobić rachunki, dopilnować dzieci, zajrzeć do kuchni, z mężem się rozmówić, cały dom dojrzeć, wszystkie plotki nliczne pochwycić, niezapomnieć o niczem, do północy się krzątać, było dla niej chlebem powszednim. Przytem na chwilę nie opuściła ją wesołość, język latał jak kołowrotek. wejrzenia jak błyskawice, słuch chwycił szmer najmniejszy. Od rana wyelegantowana, świeża, różowa, zawsze opięta, wysznurowana, ubrana ze smakiem i do twarzy, Karusia nie miała czasu postarzyć w tym wirze. Nie skarżyła się nigdy, w ciężkich razach pomyślała trochę i prędko odmyśliła do czynu. Z godzinami rachowała się tak, że ani minuta czasu nie była straconą.

Znajomi panowie nazywali ją:

Madame perpetuum mobile.

W czasie sejmku opatrzna niewiasta całą swoją kamieniczkę wynajmowała miesięcznie posłom. Mieszkania umiała podzielić, poubierała je, uczyniła wygodnemi, a większą część lokatorów u niej się stołowała, co zysk czyniło podwójnym. Każdy z przybywających panów deputatów godził się o wikt miesięcznie, Karusia zaś wiedziała doskonale, że rzadko który w domu kiedy jeść będzie. Ciągłe bywali zapraszani, ale nie mniej za obiady w domu płacili.

U pani Cremoni była i piwniczka dobrze zaopatrzona, i pokoik na dole dla przychodzących na wino.. W cukierni i u niej zresztą było wszystko, czego tylko kto mógł zażądać. Dwie służące, jeden chłopak i ona ledwie starczyli dla gości.

W chwili gdy wypadła potrzeba Chełmickiego ukryć przed Starostą, dwa pokoje z antykamerą stały puste na pierwszym piętrze; właśnie je był łomżyński poseł opuścił, wyjeżdżając do chorej żony do domu. Brat przyszedł do Karusi i poszeptał z nią. Posłano służącą na górę, która okna pootwierała, pyły pościerała, podłogę wytarła, łóżko zaskłala świeżo, i mieszkanie było gotowe, a gdy Chełmicki przyjechał z tłumoczką, gospoia niezmiernie ciekawa jak ten faworyt nowy jej kochanej pani wyglądał—pobiegła sama na górę, zapytać czy mu czego nie potrzeba.

Poeta właśnie w całym majestacie swojego szczęścia i niedoli chodził po skromnych pokoikach, przypatrując się pierścieniowi który miał na palcu, gdy w progu zjawiała się w białym czepeczku niedbale na wierzch głowy zarzuconym, hoża, rumiana i okrągłuchna gospoia.

Nim on ją zmierzył oczyma, Karusia już go wyegzaminowała od stóp do głów; szło tylko o parę słów, ażeby sąd o nim wydać mogła.

— Pan dobrodziej nie potrzebuje czego? — spytała grzecznie—ja jestem właścicielką domu i gospodynią. Mogę mu służyć jedzeniem i napojem jaki się podoba.

Chelmiński widząc tak piękną gospodynię, uśmiechnął się wielce sympatycznie, wzrok jego padł protekcyjonalnie na nią. Czuł się ogromnie wyniosłym.

— Bardzo Jejmości dziękuję... Zjadłbym co—nie mówię—dodał namyślając się,—ale co dobrego... bo... bo ja jestem wybredny...

Karusia była sprytna.—Czekaj, pomyślała, zobaczymy jak żyłeś i co u ciebie ta wybredność znaczy.

— Co pan rozkaże?—spytała.

— A cóż jest?

— O! u mnie, wszystko jest,—odezwała się filutka—wiele się osób stołuje, zawsze muszę być gotową dogodzić swoim gościom... Niech pan rozkazuje.. U mnie też potrawy bywają wymyślne.

Chelmińskiemu oprócz jajecznicy, sztukamięsy z chrzanem i flaków... jakoś nic na myśl nie przychodziło. Wstydił się z czemś wyrwać, i zażądał—co gotowe. Karusia go jednak nie uwolniła i przedłużając umyślnie rozmowę, zmusiła do zażądania... huzarskiej pieczeni i bigosu...

Nim się z tego żądania wypowiadał, z mowy, z ruchu, z miny, z głosu dobadala się już, że był prostak zarozumiały... Chłopak niczego—pomyślała—ale bałwan. Brat powiada, że poeta i wiersze pisze... To już chyba albow ja zgłupiała... albo takie to tam wiersze być muszą.

Ocierając się o dwór piękna Karusia, nie z jednym poetą zamieniła słów kilka, Węgierskiemu się odcinała tłusto a ostro, aż języka w gębie zapomniał.

— Ale u tego człowieka na czole nie ma nic! powiedziała sama do siebie—a do tego nadęty, najlepszy dowód, że w głowie pusto.

Poszła na dół gospościa kazać podać pieczeń i bigos, bo bigos na burgundzie zawsze był gotów i odsmażano go z dnia na dzień, tak że to były prawdziwe delicje. Zabiegła jeszcze, dla lepszego dośledzenia, zapytać jakiego chce wina, na co Chelmiński jako *imperitus* odpowiedzieć nie umiał,

prosząc o jakie bądź i już trzeci raz chodzić na zwiady nie potrzebowała.

Przywiązanie do Wojewodziny było powodem, że Karusia zajęła się mocno swoim lokatorem i po pierwszym tem badaniu cały wieczór chodziła chmurna.

Powtarzała sobie ciągle — prosty człek, i w dodatku głupi a dumny, — to nie może być żeby pani miała całe życie czekając, takiego się doczekać końca.

Al niech Pan Bóg broni!

Rano nazajutrz tak się jakoś urządziła, że mogła wybieść z domu, wzięła fiakra i pojechała do Wojewodziny, do której miała przystęp każdego czasu.

Zastała ją ledwie po czekoladzie, strasznie mizerną i smutną, a że jeszcze nie miała czasu ani zmarszczków wyciągnąć, ani się ubielić, ani zębów wstawić, ani peruczki włożyć—wyglądała zgrzybiałą prawie. Karusia obyczajem swym dawnym przypadła jej do kolan i poczęła rozpytywać o zdrowie. Skarzyła się Wojewodzina, że ją przybycie brata i scena z nim tak poruszyły, iż się czuła prawie chorą.

— Niech się pani szafranu trochę napije, to uspokoi. Nie trzeba się gryźć—mówiła Karusia,—wszystko to przejdzie.

Wojewodzina schyliła się jej do ucha.

— Moja duszko, miejcie o nim staranie, niech mu na niczem nie zbywa! ja ci się wywdzięczę.

Cremoni spojrzała w oczy swej pani, nic nie mówiąc.

— A! czyż on panią moją tak interesuje?

— Chłopiec śliczny i główka nielada. On się we mnie kocha. To takie dobroduszne dziecię wioski, ja go kocham.

— Chłopak by był niczego, odpowiedziała śmiało Karusia, ale pani wie, ja się też trocha na ludziach znam, to gburowate i doprawdy, sprytu nie widać.

— Mylisz się! mylisz, moja złota! to jedyny człowiek dla mnie. Ma coś tak sympatycznego. Al moja Karusiu—

ja mam zbyt młode serce, pomimo tylu nieszczęść doznanych, potrzebuję towarzysza życia, ramienia na którym bym się zeprzeć mogła. Ja nim pokieruję, ja z niego zrobię człowieka. To serce złote, już się do mnie przywiązało, przepada za mną. Powiadam ci, namiętność, ledwie go mogłam utrzymać w pewnych granicach. Aż mi go było żal.

Karusia się uśmiechnęła nieznacznie.

— On ci się nie podobał? spytała Wojewodzina.—Jak to może być! Chybaś mu się nie przypatrzyła? Ma w sobie coś tak szlachetnego, tak pańskiego. Bardzo dobry szlachcic — ojciec był pułkownikiem kawalerii—ale to—ubogie, przycierpiało!! Jak to odejdzie... Odkarm ty mi go, podpieść—proszę. Taka jestem niespokojna. Bratu, ażeby sobie prędzej jechał, gotowam już dać na drogę, a jak wyjedzie... Wojewodzinie głos zadrżał, nie dokończyła, Karusi żal się jej zrobiło.

— Paniunciu, rzekła po cichu — byle się nie śpieszyć bardzo. Niech się pani sobie da czas rozpatrzyć. A! zapewne, gdyby był wart tego szczęścia, dla czegoż nie — ale. Któż to wie? mężczyźni tak się ułożyć umieją.

— Ale instynkt serca—przerwała pani.

— Hez on razy zawodzi.

— O! nigdy.

Karusia zamyśliła się i szepnęła do ucha nachylonej:— Niech pani sobie pana Seweryna przypomni. Wszak to miał być instynkt, a co się później okazało?

— A! teraz! teraz — moja Karusiu, to co innego — ja przy nim czuję się odmłodzoną. On mnie tak rozumie jak nikt. A pasyę ma dla mnie. Mówię ci, z trudnością mogłam go pohamować, szalał.

Cichutko wyszeptała te wyrazy Wojewodzina, Karusi się jakoś przykro zrobiło i spuściła głowę smutnie pomyślawszy.

— Nieszczęście się gotuje.—Ale nie sprzeciwiała się już pani i zamilkła; a ona wpadłszy na ten przedmiot, po-

wtarzając rozmowy, opisując wieczorne chwile z nim spędzone samotnie, niewyczerpaną była.

Gdy wreszcie, służące przyszły ubierać panią, a Karusia ją miała pożegnać, jeszcze jej na ucho poleciła gagatka. Cremoni pobiegła wprost do brata.

Stary kamerdyner siedział w swojej izdebce nad książką, bo się rad bawił czytaniem w wolnych chwilach i właśnie miał w ręku *Rzepichę*, matkę królów, gdy siostra weszła ze złym na twarzy humorem, który on łatwo poznał. Książkę zwolna złożył na stoliku i przywitał się z nią milcząco.

— Byłaś u pani? spytał cichym głosem.

— A! byłam—z rezygnacją smutną odparła Karusia—ale odeszłam z bólem głowy, tak mi jej żal — ten—jakiś przybłąda. Gdzie to słyszane rzeczy, opętał ją! Żebyż to miało czy wychowanie—czy spryt!

Ruszyła ramionami.

Brat nic nie odpowiedział, ale westchnienie jego smutne mówiło wiele.

— Niema na to rady? zapytała Karusia.

— A jakież? jaka? odparł z widocznym coraz bardziej smutkiem stary sługa, zaczynając ze spuszczoną głową przechadzkę po pokoju.

— Ale to, chłopisko głupie—z pozwoleniem, dodała Karusia.

— Widzę żeś go poznała dobrze—począł stary. Ja go tu miałem dłużej i mnieć to obchodziło żeby zrozumieć co tam się w nim tak podobać mogło? Obserwowałem go. Osiół. Gdy go nie było w domu, patrzyłem po papierach. Już cię ja nie literat, ale czasem coś człek przeczyta i zrozumie, a to co on tam gryzmolił po papierach, to funta kłaków nie warte. Tylko tyle, że w górę głowę drze, imponuje i coś z siebie robić umie. Nastawia się i tyle.

Machnął oburącz. Bieda!

— I niema rady? zapytała Karusia.

— A jakież? ze starą. Nie dokończył przez poszano-

wanie, a nagle dodał:—Otóż to tak—tak! Nie dali jej pójsz za mąż dawniej, póki się co pocziwego trafiało. Był stolnik, był baron, było wielu, brat przeszkadzał—teraz wźmie parobka oto takiego i będziemy mieli—„z chłopą pana!“

— Juściż nie chłop! z oburzeniem przerwała Karusia— a toby też było!

— A któż go wie? a kto ci powiedział że szlachcie? na czole napisanego nie ma że herbowny. Licho wie zkąd się to wzięło i—łże. Sam słyszałem — podedrzwiami, jak raz pani inaczej mówił o ojcu, a drugi raz znowu inaczej. Znajda jakiś i po wszystkim.

— Ale żeby też rady nie było! odpowiedziała siostra— toć zgroza.

— A mnie co do tego!—niechę — do niezego się nie mięszam — rzekł kamerdyner.—Dwa razy mnie już pan Starosta w taką robotę wciągnął, omałom nie postradał miejsca i gracyi przyobiecanej. Dosyć mam tego. Co to do mnie należy. Niech Wojewodzina idzie za starego djabła z pozwoleniem, będę płakał, bo dobra pani—ale palców w to nie umoczę.

— Ale—przerwała Karusia.

— Ani mi o tem mówcie, niechę! — rzekł stanowczo stary.

Cremoni ruszyła niecierpliwie ramionami.

— To dopiero będzie pan!—rozśmiała się złośliwie.

I na tem się skończyła rozmowa.

Wojewodzina dzwoniła, kamerdyner wybiegł, a nim Karusia wyszła z pałacu, napędził ją z ponowionem poleceniem, ażeby miała staranie o—gagatku, i żeby mu, czegoby tylko zażądał, dostarczono.

Cremoni nic nie odpowiedziawszy milcząca i zadumana powróciła do domu.

— Niema nic gorszego—mówiła w duchu, jak resztki młodości zachowane na starość!

Usiłowała Wojewodzina pozbyć się brata co najrychlej, bodajby ją to, jak mówiła, kosztować nawet miało; nie wypadało jej jednak okazywać mu tej niccierpliwości—poskramiała się jak mogła—a Starosta natrafiwszy na miłe i ożywione towarzystwo w Warszawie, rozbawił się, zaplątał w niem i o Włoszech zapomniał. Szczególniej go ulubili Tepperowie i Schultz, zasłyszawszy od kawalera do Maisonneuve, niegdyś domownika księżnej marszałkowej Lubomirskiej, a teraz pełnomocnika kawalerów Maltańskich przy Rzeczypospolitej — że Starosta mógł im dopomóc do otrzymania krzyżyków. A że stół był u Tepperów wyśmienity, gra bardzo miła, że pani Tomatys także resztkami wdzięków wabiła do męzowskiego faraona, że u hetmana Branickiego można się było hucznie zabawić, u marszałka Małachowskiego zawsze dobraną znaleźć kompanię—nie chciało mu się wyjeżdżać z Warszawy.

— *Ma foi!* mówił wracając do domu nad ranem, fraszka w Wenecyi karnawał, ludzie są bardzo przyjemni!

Maisonneuve, Littlepage. Camelli, Ghigiotti, Massei, czasem ksiądz Piatoli, który rzadko miał wolną chwilę, stanowili jego towarzystwo. U siostry bywał na krótko i wychwalał jej Warszawę, co ją trwogą nabawiało aby tu nie został. Z utęsknieniem oczekiwała wyjazdu jego. Tymczasem codzien choć po kilka słów pisywała do Chełmińskiego, domagając się od niego długich listów.

Tomko o mało tej korespondencyi nie padł ofiarą. Za pierwszą próbą przekonał się, że porządnego listu, któryby jego renomie poetycznej odpowiadał, napisać nie potrafi. Jeszcze z biedy wierszydło sklecić jakieś, choć ułomne ale brzęczące końcówkami, które za sens starczyły, mógł pan Chełmiński, ale z sensem list ułożyć, do takiej wytwornym smakiem obdarzonej pani—nie czuł się na siłach.

Spróbował—nie szło. Dwa razy *kreu*, napisał przez—*f* i spojrzawszy na ten wyraz, fizyognomia jego jakoś mu się nie podobała—poczuł, że tu coś innego by stać powinno. Miał pod ręką Trotza, z ktorego chciał się niby francuszczy-

zny uczyć, zajrzał i przestraszył się zobaczywszy, że tam stało *w.* To było powodem, że zwątpił o sobie.

Nie wiedział o tem wprawdzie, że Fryderyk zwany Wielkim, pisał ody bez ortografii — ale wyrozumował sobie, że dla tego może być wielkim poetą, choćby był największym osłem. Jednakże *przesady* ortograficzne mogła mieć Wojewodzina—i—anuży ją zraziło to pisanie, tak jak niezgrabny ukłon w salonie? Znowu, pisząc list miłosny zaglądać co chwila do Trotza, nader uciążliwem było, a nie pisać do Wojewodziny, było niebezpiecznem.

Nigdy wszakże opatrność wyraźniejszą opiekunką jejnusz się nie okazała, jak w tym razie. Nimby coś innego obmyślił, Chełmicki nakreślił bardzo niezgrabnie bilecik, jakoby ręką lewą, donosząc, iż prawą sobie scyzorykiem temperując pióro skaleczył. To mu dawało folgę pewną. Zdawało mu się nawet, że człowiek najdoskonalej, ortograficznie piszący ręką prawą, gdy mu przyjdzie lewej używać, może bezkarnie popełniać błędy, które na niewprawną rękę spadają.

Na chwilę to zakłopotало poetę, obwiązał rękę prawą, bo się domyslał, że gospodyni ma stosunki z Wojewodziną, a że w domu siedzieć było mu strasznie nudno, po obiedzie drugiego dnia wyszedł na miasto.

Był to piękny dzień czerwcowy, sessyi sejmowej sfolgowano, ulice roily się jadącemi na Wolę, na wiejską kawę, do Królikarni, Mokotowa, Powązek. Pięć wielkich obiadów było w samem mieście, u księcia Prymasa, u marszałka, u hetmana, na Woli składkowy i u Stanisława Sołtyka.

Oprócz tego czyjeś imieniny i przyjazd z Siedlec hetmanowej Ogińskiej, wprawiały w ruch cały wielki świat ówczesny. Chełmicki więc—począwszy od domu, mógł się napatrzeć karyklów, bomb, danglówek, remiz, fiaków, koni wierzchowych i najrozmaitszych zaprzęgów.

Najulubieńszą przechadzką był już naówczas ogród Saski, a koło pawilonu w nim stojącego, zawsze osób było

pełno. Sprzedawano tam lody, owoce, limonadę i cukierki.

W Saskim ogrodzie na ławkach, można było przytem znaleźć całą bieżącą literaturę sejmową. Co nocy rzucali tam niewidzialne ręce mnóstwo drukowanych kartek, które ranni goście do śniadania gratis dostawali. Tak samo trafiało się naówczas paczki mów i projektów, wierszy i pamfletów znajdować w fiakrach, które z tego osławione były. Chełmowskiego(*) więc ciągnął ogród Saski, zwłaszcza, że cała piękna pleć z Krakowskiego-Przedmieścia, chętnie się tam ukazywała, a choć był zakochany, piękne twarze nie stały mu się obojętnymi. — Szedł więc tak zwolna myśląc nad szkopułem tych nieszczęsnych listów, których pisać nie umiał, gdy drugą stroną ulicy idący w tym samym kierunku młody jakiś chłopak, jął mu się przypatrywać uparcie.

Niepoczesna była figurka — człeczek mały, trochę zgarbiony, choć w równym wieku z Chełmowskim, na nim długi surdut wigoniowy nie nowy, na głowie czapeczka wytarta, pod pachą para książek. Twarzyczkę miał bladą, surowego wyrazu, wychudłą, oczy bystre, nos odrobinę zadarty, ale czoło szerokie, wysokie — ogromne, i w oczach a na czole niepokojący wyraz jakiś siły i rozumu.

Chełmowski biegając wzrokiem tu i owdzie, parę razy zawadził o niego i spotkał oczy w siebie wlepione. Szedł dalej już unikając zwracania się w tę stronę, ale go ciekawość brała; ile razy zerknął, spostrzegał zawsze głowę i oczy tego jegomości skierowane na siebie. Twarz niby obcą była, a jakby znajomą, nie mógł jej sobie wszakże przypomnieć. Niepokoić go to zaczęło.—Co się obejrzy, nie schodzą z niego te oczy.

Przyspieszył kroku—ten także—zwolnił—tamten się

(*) *Chełmowski*, nie zaś *Chulmicki*, jak w poprzednich arkuszach, z powodu niewyraźnego pisma drukowano.

zatrzymuje. Co to może być? Szpieg brata Wojewodzinej czy co? A nuż zabić mnie chcą?

Trochę go to poruszyło.

Wchodzili na Krakowskie już, gdy ów jegomość idący w przeciwną stronę, przesunął się na drugą i stanął o krok od Chełmickiego, wlepił w niego oczy, dotknął czapki.

— Przepraszam pana — rzekł — wszak—jeśli się nie mylę, pan Tomasz Chełmowski?

— A—a tak! wyrwało się nicostroźnie pocie.

— I nie poznałeś mnie?

Tomko się wpatrzył — coś niby, jakoś mu się wałęsało po głowie, głos był bardzo znajomy, ale nazwiska—ani sposób.

Uśmiechnął się nieznajomy.

— Kopa łat, choć nie kopa—jakeśmy na jednej ławce siedzieli, a raz nawet z ręki waszego szanownego rodzica otrzymałem pięć—odlewanych.

To przypomnienie naprowadzało na koleżeństwo szkolne, ale nazwisko ojca którego on wszędzie za Rotmistrza i Pułkownika nawet podawał, zmniejszało nieszczęśliwego. Zaczerwienił się po uszy.

— Floryan Dobek.

— Florek!! zawołał Chełmowski—a jak Boga kocham!

Jakie tam kolwiek stosunki bywają na szkolnej ławie, ale gdy się potem w życiu zetkną dawni towarzysze — porusza to najchłodniejsze serce.

Chełmowskiemu nie na rękę był ktoś znający zbyt dobrze przeszłość jego, a jednak uśmiech mu po ustach przeleciał—podali sobie ręce i poszli razem.

— Co ty tu robisz?

— Dawno tu jesteś? posypały się pytania. Oba się chcieli rozmówić szeroko i długo,—trzeba było zająć gdzieś na osobność. Do mieszkania własnego obawiał się prowadzić Chełmowski, aby ich nie podsłuchano. Obejrżeli się tu i owdzie. Właśnie otwarta niedawno kawiarnia, a jak to się naówczas nazywało *Kafenhaus*, był pod bokiem. Cheł-

mowski, który miał pieniądze w kieszeni, bo go Wojewodzina obficie zaopatrzyła, zaprosił Dobka na kawę.

Ale słówko o Dobku, czyli o Florku, bo go w szkołach nie inaczej nazywano. Dobek był ubogim szlachetką, na małej wioszczynie sześcioro rodzeństwa, to w sam raz tyle, aby z głodu nie mógł umrzeć i żyć nie mieć z czego. Rozbiegło się to więc po świecie, prawie bez grosza, szukając chleba. Florek za młodu miał na myśli klasztor, spróbował nowicyatu w tej nadziei, że się dużo uczyć będzie mógł, bo był nauki chciwy. Tymczasem kazano mu korytarze zamiatać i statki kuchenne szorować. Księża w nim zbytnią chęć nauki zganili i właśnie dla tego, iż pragnął nadto mądrości, zwrócili go ku pracy twardej. Chłopak cierpiał czas jakiś, cierpiał, łamał się—nareszcie—drapnął. Obdarł się ze szczętem, wrócił do domu o zasiłek do braci, i ledwie coś dostawszy, do szkół bialskich się przeniósł. Zdolności miał wielkie, a gorączkę do nauki nie mniejszą, odznaczył się zaraz w klassie, nauczyciele się nim zajęli, zrobiono go Cenzorem, dano mu korrepetycję u majątniejszych uczniów, dostał potem kondycję dozorca, i tak klasy szczęśliwie, ubogo wprawdzie, ale z wielką skończył korzyścią. Nauczyciele namiętnie go niektórzy popychali, inni prześladowali. Jest to zwykły los zdolnych bardzo uczniów, —sumienni professorowie kochają się w nich, nieudolni lekają ich sprytu. Dobek wiele rzeczy już w szkołach lepiej się z książek wyuczył, niż nauczyciele sami — czasami mu się trafiało ich zastępować. Głowa była nadzwyczaj otwarta, łatwość pracy wielka, a pilność niezmordowana. Co dziwniej, biedny ten Dobek, który zrazu się uczył dla chleba, rozmyślał się później tak w naucz, że już o chlebie zapominał, uczył się jakby pił—nie mogąc pragnienia nasycić. Jak w lesie podróżny idąc wielkim gościńcem, spostrzega w lewo i w prawo otwierające mu się i nęcące widoki, tak jemu z jednej nauki odkrywały się na inne urocze a ciągnące go widnokreśli. Zbaczał na te ścieżki i błakał się w tym siele. Radby był zwiedzić go i zbadać cały.

Z Bialej o niewielkim groszu, chłopiec na pół pieszo dostał się do Krakowa, gdy właśnie zabierano się upadły uniwersytet reformować. Jakikolwiek był stan zubożałej *Almy Matris*, zawsze tam wiele zaczerpnąć było można. Dobek oddawszy się studjom filologii i historii, strawił tu lat kilka.

Bibliotekę dopiero Jacek Przybylski porządkował, dużo rzeczy brakło, wiele znaleźć nie było podobna, choć się po Collegiach rozrzucone znajdowały. Mówiono wiele o Janockim, o bibliotece Załuskich, o ks. Naruszewiczu i Albertrandim. Dostawszy stopień magistra, Dobek do Warszawy o suchym chlebie doszedł aby tu pracować. Zdawało mu się, że gdzieś w domu prywatnym znajdzie lekcye, stół i dach, a czasu reszty użyć będzie mógł na bibliotekę i własną naukę. Nie łatwo to przyszło. Dwie czy trzy noce Dobek na ławce w Saskim ogrodzie, z węzełkiem książek pod pachą, z drugim pod głową spać musiał. Przypadek nastręczył mu liche pomieszczenie u kupca Rafałowicza przy synach. Miał co jeść i gdzie odpocząć. Mało wprawdzie czasu zostawało na bibliotekę—ale już był u źródła i nie tracił nadziei.

Janocki pogadawszy poznał się na nim i ocenił, w bibliotece też poznał starego, na oczy chorego ks. Onufrego Kopczyńskiego, a że ten lektora i skryptora potrzebował, ofiarował mu się z pomocą.—Chociaż ks. Albertrandi mało wychodził, bo mu ze swoją fajką, którą namiętnie cały dzień kopał, zostać się było trudno, zszedł się i z nim raz u Załuskich, gdy do Bullaryusza przyszedł zajrzeć, którego u króla nie było.—Albertrandi go wprowadził do królewskiego zbioru, a tu i Naruszewicza w rękę mógł pocałować który go po ramieniu poklepał. Słowem ubogi chłopak, nie pragnący nic tylko się uczyć, pozawiazywał stosunki, które mu obfitego dostarczały do nauki materiału—ale nic więcej. Wszyscy ci uczeni, sami byli niemal ubodzy, księdzu Kopczyńskiemu król lekarza i aptekę fundował, Albertrandi ledwie miał na tytuł, a chodził tak opuszczone i brudno,

że go aż żał było; Naruszcwiczowi wiecznie brakło. Nikt też ani myślał inaczej pomódz Dobkowi, tylko dobrą radą i otuchą.

Ciekaw był poznać żyjącego jeszcze autora *Djabła we własnej postaci*, ks. Bohomolca—boć to była jedna ze sław współczesnych,—ten jeden go zraził, bo mu wręcz powiedział, że z nauki butów nie uszyje, ażeby o chlebie myślał. Był też ks. Bohomolec malkontentem ze wszystkiego co się wówczas działo, ani się z tem krył, z aliaksu pruskiego śmiał się, a posłów sejmowych „dzieciakami“ nazywał. Ale to był sobie dziwak i weredyk osobliwszego rodzaju, co go później aż do kozy zaprowadziło.

Życie Dobka w Warszawie z wielką dlań było korzyścią naukową, ale z wielką biedą i prywatną dla ciała. Surdut wigoniowy, w którym chodził na świątki i piątki, kupił na tandecie w Pociejowie; buty także przechadzane ukradkiem u żydków dostawał, z bielizną było nader kręto—a mimo to Florek się miał za najszczęśliwszego z ludzi. Odkrywał codziennie skarby, horyzonty, nieznane dzieła i za ostatni grosz kupując stare książki, izdebinę już sobie niemi zawalił, za co się nawet pani Rafałowiczowa gniewała, utrzymując, że fetor do domu jej sprowadza i mole.

Żył Florek jak anachoreta.—Stół wprawdzie miał dobry, bo to dom był dostatni, lecz zresztą grosza nigdy przy duszy, ani innej przyjemności nad ślęczenie w starych drukach. Nie było naówczas nic łatwiejszego jak w stare się zaopatrzyć książki. Nie jeden z ówczesnych panów, jak to się trafiło w Kodniu, kazał precz wyrzucać starzyznę, a hurtem sprowadzał nową bibliotekę z Paryża. Żydzi książki na centnary sprzedawali na Pociejowie i Marywilu, a ks. Biskup Żałuski nie raz w takim stosie znalazł pargaminowego Łaskiego.

Dobek czasem zastawiał surdut a kupował szpargały. Pasyę do tego miał, czemu się pani Rafałowiczowa wydziwić nie mogła, powiadając, że to do niczego, tyle tej pisaniminy, a w tem i herezyi dużo być musi. Zgadła też... Ra-

kowskie druki. Ale te Dobek pod łóżko chował. Florek był na owe czasy co się zowie uczonym, nauczył się był po łacinie i po grecku, rozumiał po francuzku, z niemczyzną się tarmosił, bo i ta trafiało się że była potrzebna. Wierzący wprawdzie nie pisał jak Chełmicki, choć mu się czasem i tego zachciewało, ale za to pełne miał teki notatek, które on sam tylko mógł przeczytać, bo gryzmolił z pośpiechu jak kura.—Nie był to pedant zimny, milczący i ze światem nie mający nic wspólnego, pomimo tej nauki — owszem obchodziło go wszystko, rozumiał wiele i Pan Bóg go ostrym dosyć obdarzył dowcipem. Temu dowcipowi winien nawet był jedną z najciekawszych swych znajomości, ks. Jezierskiego. Przy księdzu Kołłątaju jako pomocnik, przyjaciel, redaktor, prawa ręka, siedział ten ksiądz Jezierski, najciekawsza swojego czasu figura, mało komu znana, oprócz tych co się w kółku nowatorów obracali.

Ks. Jezierski nim został autorem owego dykcyonarza i broszur, które tyle narobiły hałasu, był hreczkosiejem, żołnierzem, jurystą — napatrzył się świata i szydził teraz z niego tak ostro, tak bezlitośnie, że szlachta czytając go w górę skakała. On, Staszic, Kołłątaj i kilku ich pomocników chłostali stare obyczaje nowym biczem, po troszę z domorosłych konopi, trochę z francuzkiego skręconym jedwabiu,—ale z nich wszystkich Jezierski był najokrutniejszy, gdy smagał. W sukni księżej obracał się jakby wczoraj z konia zsiadł, ale go rzadko gdzie było widać, siedział w osobnej izbie u Kołłątaja i tam po całych dniach smażyli pamflety, rozmowy umarłych i różne piekące potrawy.

Dobek, którego Jezierskiemu chętnie czasem, po cichu zawtórował, był mu ulubiony i księżyna mu mówił.

— Wiesz, mój Florku, ani ty ani ja nie zrobimy kariery na świecie, dzinrawe buty będą naszym udziałem, nie śmiertelności nawet takiej pięćdziesiątletniej, co się już lada bazgraczowi dostaje, podobno się nie dorobimy, ale co się z ludzi i ich głupstwa naśmiejemy—to nasze! Mnie i tego dosyć.

Otóż jak stał naówczas Florek, gdy go w ulicy spotkał Chelmowski. — Musimy dodać, że buty istotnie miał dziurawe, i miejsca ich przetarte, na onuczce obwijającej nogę atramentem były starannie zamalowane, aby w oczy nie bily. Wigoniowy surdut w okolicy łokci i ze strony odwrotnej wyslizgany był do glansu, — w kieszeni zaś miał sześć groszy miedziakami. Pomimo to Dobek był prawie szczęśliwy, a Chelmowski wydawał się pysznie, ale w sumieniu miał niepokój jakiś i trwogę, jakby co ukradł.

Wszedłszy do kafenhauzu, zastali tu towarzystwo liczne, przy stolikach gwarzono wesoło, dziewczęta biegaly roznosząc trunek nowy i modny. — Niektórzy z panów na długich cybuchach palili lulki. Chcąc się rozmówić na osobności, musieli dwaj towarzysze parę razy przejść po pokojach zasadzonych gośćmi, dopóki sobie przy oknie odosobnionego miejsca nie znaleźli. Przyszła dziewczyna ich spytać co pić będą. Dobek miał sześć groszy w kieszeni, potrząsł głową, ale wspaniałomyślny Chelmowski prosił go na kawę i dwie kazał podać.

— Dawno tu jesteś? spytał Florek.

— Ja? nie tak bardzo — odparł Tomko.

— Co porabiasz?

Odpowiedź była trudna, wywinął się z niej, zyskując czas do namysłu Tomko, i rzucając zapytanie. — A ty?

— Ja? — o! ja! uczę się jeszcze, w książkach siedzę i bałazaruję. To moja dola, trudno się przeznaczeniu wywinąć, mówił Florek, ale ja się na moją dolę nie skarżę, mam to com ukochał. — Uczę dzieci kupca Rafałowicza, za co mi nawet nie źle płacą, mam stół, stancję, opranie, światło, no i parę set złotych na buty.

Dobek się śmiał. — Czegóż więcej potrzeba! Butów wprawdzie skapo, ale taką piękną zebrałem biblioteczkę!

— Gdzieżeś ty był wyszedłszy z Białej?

— A w Krakowie, bom się tam dorobił stopnia magistra i jestem graduowany przecie, co zresztą ani śmierdzi ani pachnie. A ty?

— Ja z Białej udałem się na gospodarstwo — zaczął kłamać wedle zwyczaju Chełmowski.—Bo, choć to mój ojciec zmarł tak ubogo, ale później się znalazła familia, trochę grosza dostałem, trzymałem dzierżawkę. A no! miałem z panienką awanturkę w sąsiedztwie, musiałem się wynosić. Pieńiądze się przeszastało. Bakałarzowałem i ja potrosze i wiersze pisałem.

— A! prawda! tyś zawsze pisał wiersze—rozśmiał się Dobek—jeszcze jeden pamiętam, cośny się z niego tak śmieli a ciebie prześladowali.

„Jowiszu łaskawy, wspaniały“...

Chełmowski się zaczerwienił i zagadał zaraz.

— Po różnych losu kolejach, na ostatek koło mojej fortuny obróciło się teraz na lepszą stronę.—Byłem prezentowany u króla na zamku, porobiłem tu stosunki, mam bogatą familię i być może, iż się milionowo ożenię.

Ostatnie słowa z lekceważeniem powiedział, jakby się jeszcze wahał, czy raczy szczęściu temu rękę wyciągnąć.

— To ci winszuję—zawołał Dobek, ja nie mam sprand tak wielkich. Będę sobie biedę klepał—aby dalej, pi-szę dzieło historyczne i to mnie zajmuje całego.

Florkowi, po krótkiej rozmowie, nie trudno już było ocenić dawnego kolegę, obudzał w nim ciekawość.

Zaczęli mówić o innych towarzyszach, o których Chełmowski nie wiedział, a Dobek się z niemi spotykał; potem o Warszawie, o tem i owem. Tomkowi na myśl przyszło że może i powinien z pochwycenia Dobka skorzystać do—listu.

— E! słuchaj, rzekł w końcu, kazawszy po kawie dać jeszcze dwie lampki wina—jaką byś ty mi mógł przy-służyć nczynić gdybyś chciał.

— A co?

— Tylko, że to ci wythnaczyć trudno.

— Spróbuj jednakże.

— Bo to, wiesz, ja do wierszy mam zdolność, prze-

konasz się, tego mi nikt nie zaprzeczy — ale jak przyjdzie prozą—ani rusz.

— A cóż ty prozą masz pisać? spytał zaciekawiony Dobek—jeżeli co prawnego, jam też w tych rzeczach nie mądry.

— Gdzie zaś prawnego —rozśmiał się Chełmowski—mnie trzeba list miłosny skomponować, a choć się kocham szalenie, tego nie potrafię. Com papieru nadark!

Florek się zaczął też śmiać, aż się wziął za boki.—Ale to najprostsza rzecz w świecie—zawołał—im więcej będzie bredni, tem list wyda się gorętszym, i dowiedzie żeś głowę stracił. Kobiecie właśnie o to chodzi. Ja — mój Tomku—dodał nie kochałem się w życiu tylko raz w synowicy profesora, która miała klucz od jego biblioteki, ale listów do niej nie pisywałem. Poszło to tam jakoś inaczej i obeszło się bez papieru. Nie jestem *amorisperitus*.

— Ale... jak zechcesz?

— Chyba ci Abeillarda łacinę jaką wyszukam i wytłumaczę.

— Nie—ja ci już sens podyktuję, ty wystylizuj.

— Przecież ty jesteś poetą.

— To co innego.

Po namyśle—dodał cicho Chełmowski.

— Słuchaj—koło ciebie goło? prawda?

— Dosyć—mam w kieszeni groszy szczęście, a do kwartału jeszcze czasu kawał.

— Dam za list dwa talary—ale żeby było—*ut sic*.

Dobek się znowu rozśmiał.—Na miłosierdzie pańskie, czemuż nie, utnę ci epistolę jaką chcesz, tylko mi tak płac! A toćby na świecie nic lepszego nie było nad takich jak ty mecenasów klientellę. Siadam, choć w tej chwili.

— Nie, tu nie można—chodźmy.

Tomko zapłacił za wszystko i z pańską miną, ciągnąc za sobą wigoniowego towarzysza, poszedł z nim do kamieniczki Cremoni. Tu upewniwszy się, że ich podedrzwiani nikt nie podsłuchuje—począł mówić o swym afekcie i skre-

slil instrukcyę Dobkowi, który prychając napisał mu list, najniedorzeczniejszy w świecie lecz szalony. Odczytali go razem, Chełmowski coś poprawić zażądał, coś dodać i epistola stanęła.

Na stoliku leżały papiery Chełmowskiego, wziął je w rękę Florek i począł przeglądać.

— Słuchaj, Tomku, rzekł—jam ci jako dawnemu towarzyszowi winien prawdę, ty ortografii nie umiesz i okrutne baki strzelasz, tobie się dużo uczyć trzeba. Weź do kładka gramatykę, czytaj.

Chełmowski się napuszył.

— Ale, dajże ty mi pokój, ja omyłki robię umyślnie, to jest, ja wiem że są omyłki—a w prędkości, kiedy przyjdzie natchnienie, trudno tam na te głupstwa uważać.

Spojrzał Florek.—Ale to tak jak jest w świat iść nie może, ludzie cię posądzą żeś nicuk.

— No—słuchaj, rzekł cicho Chełmowski—niechaj o tem nikt nie wie, ja ci gotów jestem zapłacić. Weź to i popoprawiaj.

Ruszył ramionami Dobek.—Czemu nie—taka to robota jak inna. Trafiało mi się posłom mowy pisać, czemużbym tobie nie miał poprawić wierszy.

— Ale to sekret.

— Nikomu nie powiem.

Chełmowski położył dukata na stole.

— Mój kochany, odezwał się—tobie nie idzie o sławę, a mnie to do krescytywy potrzebne. To ci nie ujmuje—a jak się mnie lepiej dźiać będzie—ja ci pomogę.

Ironicznie uśmiechnął się Dobek zagarniając papiery. Dawaj, rzekł—słyszałem, że ów sławny Voltaire, poprawiał Fryderykowi jego wiersze, czemu bym ja nie miał tego zrobić dla ciebie. Wiesz co? Z dawnych czasów zostało mi kilka wierszydeł moich, co się na nic nie zdały, dam ci je w dodatku. Nikt wiedzieć nie będzie.

Chełmowski go uścisnął—wstydził się pokazać jak był z tego szczęśliwy. List do Wojewodziny tylko było prze-

pisac, piekl jak ogniem. Zaczynal sie od tego, ze zraniona ręką w boleściach byl nakreslony. Wielbil wdzięki. Dobek domyslawiac sie, ze przecie jakies wdzięki byc tam musialy, wiele o nich mowil. Milosne przysiegi byly straszliwej mocy i patetyczności. Wykrzykników mnóstwo.

Opuszczając mieszkanie towarzysza Florek, który lecial zaraz za dukata tego kupic upatrzoną Kronikę Miechowity, śmiał się i szalal z radości.

— To mi dopiero zarobek! a to mi go tu Opatrzność przyniosła.

Ostatnie cztery litery mimowolnie powtórzył, oddzielwszy je osobno i nie mógł się nacieszyć spotkaniem; Chelmowski również był zadowolniony. Od niedyskrecyi zabezpieczało go to, że Dobek w innych się całkiem kołach obracał i zdradzić go nie mógł choćby zapragnął.

Siadł więc do przepisywania listu i nad wieczorem opieczętowany oddał gospodyni, wedle rozkazu, a ta go dosyć niechętnie przyjęła.

Przez parę dni jeszcze Wojewodzina wytrzymała rozłąkę tak ciężką dla kochającego serca — wreszcie ogarniać ją zaczął niepokój jakiś, tęsknota—i, choć się obawiała brata—postanowiła wynaleźć jakiś sposób widzenia się na osobności z ulubieńcem. W palacu własnym, lękała się jakiej nieprzyjemnej niespodzianki, do kamienicy Cremonich jechać się też obawiała, przyszła jej na myśl litościwa księżna de Nassau. U niej by wyśmienicie spotykać się mogli, ale nie dowierzała kokietce, która wprowadzie nie kochała się w nikim od dawna i śmiała z zakochanych, ale bałamucie lubiła dla zabawki.

Przywołany stary kamerdyner do porady, był dziwnie milczący i nieochotny do podźwignienia swej pani z jej przykrego położenia; zawołana Karusia zamiast szukać środków ułatwienia widzenia się, próbowała nawracać swą dawną panią, co ją do łez prawie pobudziło z niecierpliwości.

— Jestem najnieszcześniejszą w świecie istotą, opuszczają mnie wszyscy, prześladowają, znęcają się.

Pani Cremoni ledwie potrafiła utulić ją i uspokoić.— Była pewną, że po przebyciu tego paroksyzmu miłosnego, Wojewodzina powoli, widząc trudności nieprzełamane, nie-dorzeczną miłość z głowy sobie wybiję. Ale właśnie to, co się zdawało oddalać tę klęskę, jak ją zwała Karusia, miało katastrofę przybliżyć i przyspieszyć.

Wojewodzina, jako osoba mimo swej lekkomyślności pobożna, miała od bardzo dawna staruszką Pijara spowiednika. Nie pobłażał on jej wcale, a ile razy, po jakim wy-bryku, Wojewodzina mu się z niego zwierzała, szukając po-ciechy, po kapłańsku radził jej, ażeby uspokojenia szukała w Sakramencie. Życzył jej oddawna wyjść za mąż. Pro-zaicznie pojmował sprawę serca, lecz jak Pan Bóg przyka-zał. Drugiego dnia potem posłała po spowiednika.

Ksiądz Ignacy był zarazem rządcą sumienia pań bar-dzo wielu, które w nim łagodność charakteru ceniły. Po-błażający, wyrozumiały, karmił, nawracał, burczał, ale nie był tak straszny i nieubłagany jak inni.

Wiek i doświadczenie uczyniły go na ludzkie zdróżno-ści i niedogody wyrozumiałym. — Biedne ludziska! zwykły był powtarzać—więcej w nich głupoty i słabości niż złości.

Ksiądz Ignacy zaproszony na obiad, z zapewnieniem, że nikogo nie będzie, bo licznych i tłumnych towarzystw nie lubił, przybył w swojej niedzielnej sutannie, jak zawsze, grzeczny, uprzejmy i dosyć chłodny. Staruszek widocznie dźwigał życie jako ciężar i niewiele do niego i do tego co się na świecie działo, przywiązywał wagi. Twarz jego zawsze uśmiechnięta, nieporuszona, jednaka, nigdy nie drgnęła żywszem uczuciem. Jedyną jego zabawą, zajęciem, miłością, były dziatki, które uczyć lubił i których świeże du-sze takie na nim czyniły wrażenie, jak na innych kwiaty. Czystą od nich wiało wonią. One jedne uśmiech jego wi-dywały i łzę w oczach, gdy pomyślał co z tych jasnych, pro-mienistych główek aniołków wyrośnie.

Przy obiedzie mowa była o różnych rzeczach obojętnych, słudzy się kręcili. Dopiero gdy przyniesiono kawę i zostali sami, Wojewodzina przysunęła się i w rękę go pocałowała.

— Mój ojczel! mój ojcze, pomóż mi wyjść z tego labiryntu świata! zawołała. Samiście mi mówili nieraz, że jedną furtką dla mnie na prawą drogę — sakrament, małżeństwo. Wybrałam człowieka, który szczerze przywiązany jest do mnie, ja go kocham. Chcę by był mężem moim.

— Czy co staje na przeszkodzie? spytał ks. Ignacy.

— Nic—oprócz mojego brata.

— Ale on nie ma prawa żadnego.

— Tak, zapewne. Jednakże, człowiek jest gwałtowny, mógłby się dopuścić jakiej zniewagi na tym, którego wybrałam.—Gdy ślub wezmę, gdy rzecz będzie nieodwołalną, powiem mu. Ślub musi się odbyć w sekrecie... familię zwoła, opadną mnie!!

Nie poruszając się wcale, z zimną krwią, ksiądz się o wszystkie okoliczności rozpytał, o wiek, stosunki, urodzenie, położenie. Cała ta sprawa widocznie mu była przykłą, ale Wojewodzina tak go prosić, zaklinać zaczęła, tak płakała — iż się staruszek dał skłonić do pośredniczenia w konsystorzu, wyrobienia dyspensy i indultu. Zapewniał, że się to może urządzić bez rozgłosu i, jeżeli indult będzie na imię jego, on ślub prywatnie w domu pobłogosławi. Wojewodzina na kosztą natychmiast, lękając się aby się nie rozmyślił, wcisnęła mu pieniądze, zaklęła go znowu ażeby nie szczędził ich, a papiery narzeczonego obiecała natychmiast dostarczyć.

Ta nadzieja odżywiła biedną Wojewodzinę, dodała jej odwagi i wieczorem kazala kamerdynerowi na chwilę, do oficyny, poprosić Chełmowskiego, aby od niego zażądać aktów do ślubu potrzebnych.

Jakkolwiek niechętnie, poszedł stary sługa do domu siostry, mając polecenie sam towarzyszyć młodzieńcowi i być jego strażą przyboczną. Szczęściem Chełmowski,

który się dosyć po mieście lubił wałęsać, był w domu. — Ubrał się więc prędko i wyszedł, zabierając z sobą parę wierszy poprawionych już przez Dobka, które chciał złożyć w ofierze swej bogini.

W oficynie pałacowej były pokoje gościnne, do których wcześniej przeszła Wojewodzina przez ogród nieopatrzonego, a gdy Chelmowskiego wprowadził kamerdyner, kazała mu pozostać u drzwi — dla straży.

Wystrojona była jakby na bal, a mrok wieczora i słabe oświetlenie pokoju, dozwalały ludzi się przybyłemu, że ma przed sobą choć ruiny wielce wdzięcznego zjawiska. Chelmowski nigdy się bardzo zręcznie i przyzwoicie znaleźć nie umiał, tym razem też zgrzeszył niezgrabnością wielką przy powitaniu swej przyszłej, która drżącym głosem i z nadzwyczajną czułością wybiegła na jego przyjęcie.

Wprawdzie atłasy i aksamity działały na jego wyobraźnię i budziły w nim zapal, ale po daleko świeższych i młodszych twarzach, Wojewodzina wieczorem nawet zbliżka mu się wydała nieco przywiedłą. Zapal więc z jakim musiał wystąpić był grany i bez talentu. Każda inna kobieta byłaby się na tem poznała, Wojewodzinie wszystko było pożądanem co miało choć pozór uczucia i co przypominało sceny uroczyste owej młodości, gdy istotnie piękną była i zachwycała wszystkich. Niepowrotne dzieje!!

— Mój drogi Tomku, odezwiała się cała drżąca, chwytając go za ręce. — Nie chcę cię trzymać w tej niepewności, w tem oczekiwaniu, które wiem, że ci jest jak mnie przykrem, nieznośnem. Chcę nasz ślub przyspieszyć, potem, niech brat się rzuci jak chce. Co się stało odstać się nie może. A zatem, uprosiłam duchownych, dostaniemy indult.

Tu zaczęła mu mówić o formalnościach i papierach wracając zaraz do obrazów tego szczęścia, jakiego używać mieli. Chelmowski na wzmiankę o papierach zmięszał się z nich bowiem o kondycji ojca, o nim samym zbyt się wiele dowiedzieć było można. Ale co tu począć było.

Chcąc się zawczasu zabezpieczyć, począł opowiadać jakąś historję zmyśloną, dla której ojciec jego zmuszonym był swą godność i urodzenie ukrywać. Wojewodzina za ledwie słuchała, — jej to było prawie zupełnie obojętnem, szło w istocie o człowieka nie o pochodzenie, zapatrywała się w młode lice i szukała w nim tego, co chyba podbudzona wyobraźnia nadać mogła. Chełmowski chyba w oczach zakochanej matrony, mógł mieć wdzięk jakiś.

Gdyby nie obawa nagłego przyjazdu brata i narazenia narzeczonego, byłaby stara pani przedłużyła to czułe spotkanie, ale, kamerdyner stał podedrzwiami, lada chwilę ktoś mógł nadjechać, weisnęła więc tylko w rękę Tomka znowu woreczek z pieniędzmi, kazała mu mieć cierpliwość, zapewniła go, że jest i będzie wiekuście jego i więcej niczyją, dała mu obie ręce do pocałowania, a rozmyśliwszy się nawet czoło, i z uśmiechem a zwinnością, dziecięcą niemal, uciekla.

Chełmowski wybierał się też wychodzić. Wszystko więc składało się cudownie, jak we śnie, jak w bajce, tylko te nieszczęsne papiery!! Niepodobna było ażeby Wojewodzina nie rzuciła na nie okiem. Zachmurzony wysunął się z oficyn, a tuż wysłany za nim kamerdyner miał polecenie natychmiast papiery przynieść, nie było więc czasu nawet namyślać się nad ich wyborem. Trochę to zaniepokoiło Tomka.

Nie było sposobu uniknięcia ostateczności, trzeba było złożyć dowody. Musiał choćby ważyć coś dla tak wielkiego losu jakiin było ożenienie z Wojewodziną. W głębokich dumaniach przeszedł ulice dzielące go od mieszkania, i dostawszy światła na dole, pobiegł po papiery na górę. — Metryka szczęściem była pisana po łacinie, świadectw ojcowskich oprócz sepultury nie potrzebował składać. W tej nieszczęsnej sepulturze stało, zamiast „urodzony“ wątpliwie — „sławetny“. Pomyślał, że może nikt na to zważać nie zechce, iż „urodzonym“ właściwie nie był. Zapieczętował więc z westchnieniem te smutne świadectwa i miał zbiedz

na dół, aby je wręczyć kamerdynerowi, gdy stary sługa, z ponurą twarzą ukazał się we drzwiach. Szedł z taką powagą i śmiałością ku Chełmowskiemu, iż Tomko, który kopertę w ręku dla oddania mu trzymał, mimowolnie się zmięszał. Stary popatrzał mu długo w oczy i zdawał się w nim rozpatrywać, jakby chciał lepiej poznać i z czemś się odezwać do niego.

— Niech waćpan to odda pani Wojewodzinie, rzekł cale niezgrabnie, trochę się nadymając Chełmowski.

— Dobrze, tak, ja to oddam—odparł kamerdyner, ale pan pozwolisz, żebym z nim szczerze i otwarcie pomówił.

Nic nie odpowiedział Chełmowski.

— Ja wiem dobrze o co to chodzi—mówił zwolna kamerdyner,—jestem w tym domu od lat trzydziestu przeszło, znam i moją panią i jej rodzinę bardzo dobrze. Miarkuję że waćpanu, jako ubogiemu chce się z bogatą jejmością ożenić, ale życzę się panu dobrze namyślić. Niech pan nie sądzi, aby odszedłszy od ołtarza wszystko było skończone. Pan Starosta brat naszej pani, poprzysiągł, że temu coby śmiał się z jego siostrą ożenić — po prostu powiedziałwszy łeb roztrzaska. Pani Wojewodzinie się zdaje, że jak odejdzie od ołtarza, brat już nic nie pocznie i wszystko przysięmnie za dobre, ale to tak nie będzie. Znam ja Starostę. Waćpan się przygotuj na ciężkie przejście.

Ja—dodał stary—anim panu swat ani brat, nieznam was i co mi tam do tego, że waćpan wleziesz w krzak cierniowy, w którym mu będzie niezdrowo—ale kocham moją starą panią i jej mi żal. Jej i sobie nieszczęście pan gotujesz, nasza pani mogłaby być śmiało jego matką.

Chełmowski słuchał i spytał:—Więc cóż?

Kamerdyner ramionami ruszył. — Uważaj pan co lepiej,—ale jabym mu nie radził tak płocho sobie poczynać. Starej kobiecie, która nadto ufa ludziom, — może być przebaczoną omyłka, ale waćpan byś się powinien zastanowić nad tem co czynisz.

— Więc cóż? zapytał Chelmowski, ja mam przywiązanie do Wojewodziny.

Stary się rozśmiał smutnie.

— I, dałbyś pan pokój—myślisz nie o niej, ale o tem co ona ma. Otóż i na tem się omylisz. Dożywocie ma znaczne, a zresztą niczem rozporządzić nie będzie mogła, bo na niej wcześniej wymożono zapisy. Uchowaj Boże śmierci na nią, wypędzą was z domu, bez grosza przy duszy.

A widząc, że Chelmowski zmięszany się nie odzywa, kamerdyner krok bliżej przystąpił i dodał ciszej.—Powiedz pan żeś papiery zgubił—rzeczy się przeciągną. Pani dobra, da waćpanu pieniędzy ażebyś miał z czem i o czem rozpocząć życie, a nas uwolnisz od wielkiej męki i kłopotu.

Tomko był nieco przestraszony, ale mu na myśl przyszło, że sługa przekupiony przez brata, działa po jego myśli, nie chciał spaść od razu z wysokości takich pięknych marzeń—i rzekł powoli.

— To nie może być, mój panie—to nie może być—powiedziałem że papiery mam, już się nie cofnę. Co mnie tam waćpan straszysz panem bratem, ja się go nie boję. Wiem co robię. Oddaj waćpan papiery Wojewodziny i nie wdawaj się w nie swoje.

Ostatnie wyrazy domówił z dumą i gniewem, kamerdyner popatrzał nań z politowaniem i chciał się już oddalić—ale zawrócił jeszcze.

— Wiesz pan co — rzekł, gdybym był tym za kogo mnie bierzesz, jak widzę, mógłbym nie mówiąc waćpanu słowa, jutro czy dziś dać znać Staroście o was, obeszło by się bez perswazyi, wypędził by pana gdzie pieprz rośnie.—Ale nie chcę być zdrajcą ani denuncyantem. Nie słuchasz mojej rady, pamiętajże iż nieszczęście sobie gotujesz, ba! gdyby tylko sobie!

Odwrócił się i wyszedł. Zburzony cały Chelmowski padł na krzesło. Scena ta podziałała nań silnie—złakł się, zawahał, ale cofnąć się—nie chciał.

— To są strachy na lachy! rzekł w końcu to są intrygi. Niech będzie co chce — nie mogę się cofnąć? Cóż mi ten człowiek uczynić może.

Uspokoiwszy się nieco, chciał się czemś zająć, ale ręce mu drżały, serce biło, groźby wracały na myśl. Chodził niespokojny po stancyjce, niewiedząc co począć. Będąca w spisku Karusia—otwarła drzwi w tej chwili i weszła jak gdyby o niczem nie wiedząc. Była jak zwykle wystrojona, różę miała w czarnych włosach na głowie, figlarny uśmiešek na ustach.

— Co to pan dziś coś tak smutno wygląda? jeżeli spytać wolno? zagadnęła.

Chełmowski się nierychło zebrał na odpowiedź— a Karusia ścierając komodę poczęła dalej.

— Pan powinien być wesół, ja wszystko wiem. Takie szczęście go spotyka, mój Boże, osoba tak piękna, miła, majątna, tożes pan się w czepku rodził.

Chełmowski milczał ciągle.

— A co to za dobra pani! paplała ciągle Karusia to stając przed nim i wdzierając mu się, to niby porządkując w pokoju. Wielkie szczęście! wielkie szczęście.

— Właśnie ludzie źli chcieliby mi stanąć na drodze— przerwał Tomko.

— A! gdzieby zaś! Pan pewnie myśli o bracie Wojewodzinej? To prawda, że burda i gwałtownik wielki, ale po ślubie co on panu może zrobić?

— I pewnie—bąknął Chełmowski.

— Ja go znam, bom na to niemal patrzyła, jak kilku od Wojewodzinej poodpędzał, bo to tam strasznie dumne ze swojego rodu i lada szlachcica by nie radzi dopuścić! Jednemu jak ciął przez łeb, oko wypłynęło, zębów postradał i całe życie cherłał, drugiego przestrzelił, innego swoim ludziom zbić kazał że się ledwie wylizał. Ale to było dawniej, on też postarzał, impetu tego nie ma, a i Wojewodzi na nie dopuści panu uczynić krzywdy.

Chełmowski słuchał mocno zadumany.

Karusia pościerawszy, dygnęła i poszła. Został sam z widmami tych trzech, z których jednemu oko wyciekło, drugi całe życie cherlał, a trzeci kijmi dostał.

A nuż się porwie—myślał—a nuż.

Włosy mu się jeżyły na głowie.—Odwagi zbytniej nie miał. Cierpko mu się robiło. I niedziw, że całą noc usnąć nie mógł, a zdrzemnąwszy się nad rankiem, zrywał potem ciągle, jakby go kto napastował i krzyczał przez sen okrutnie.

Tymczasem Wojewodzina odebrawszy papiery, nie tknęła ich nawet, nie zajrzała i tegoż wieczora odesłała je ks. Ignacemu. Ksiądz otworzył je z ciekawością i na pierwszej stronicy, gdy mu się rzucił w oczy „*famosus*“ (sławetny) utknął zrozpaczony, załamawszy ręce.

— Nawet nie szlachcie!! zawołał z rozpaczą, a to mi dopiero piękny interes—ja ręce umyвам od tego. Familia by na mnie zwała wszystko. Nie chcę.

Nazajutrz rano pojechał do Wojewodziny, której gdy dano znać o jego przybyciu, wybiegła niespokojna, przerażona, spodziewając się już jakichś zawał i trudności, których się nadzwyczaj obawiała.

— Księżunin—ojcze! co takiego? coś mi pewnie przynosicie niepomyślnego?

— Moja dobrodziejko—rzekł ksiądz spokojnie — mijam to, że on nie ma 25 lat, ale nie szlachcie.

— To nie może być! krzyknęła Wojewodzina — to fałsz.

— Ale papiery świadczą.

Przypomniała sobie pani wczorajsze jakieś tłumaczenie mętne narzeczonego, ale chcąc je powtórzyć księdzu popłatała się i zaczęła płakać.

— Jak nie szlachcie, to mu indigenat wyrobię, to mu w Austryj tytuł kupię—ale ja od tego nie odstępuję. Dałam mu słowo, niech świat krzyczy, niech się co chce dzieje—ja się nie cofnę.

Z załamaniem rękami tragiczna niewiasta ukłękła i podniósłszy je do góry, dodała:—Przysięgam na Boga!

Ksiądz Ignacy zwykle zimny i nieporuszony, dziwnie głową pokiwał.

— Dobrze, rzekł—dobrze—ale trzy dni masz pani do namysłu, ja od tego nie odstąpię.

Chciał się choć w ten sposób wysłiznąć. Zostawił ją płaczącą, uspokoił kilku słowami i wysunął po cichu.

Nie ma nic straszniejszego nad namiętność w późnym wieku, fraszka młode szwały. Gdy życie ucieka, z rozpaczą ostatki jego chwyta człowiek. Wojewodzina zachorowała z gniewu, z niepokoju i podrażnienia. Po południu kazała zaprządz i pojechała do księżnej Karoliny.

Księżna de Nassau znaną była z takiej ekscentryczności jak jej brat Gozdzki, najmiłszem dla niej było wpłatać się w coś bezprzykładnie zawikłanego. Nudziła się biedaczka.

Wojewodzina wpadła do niej jak uragan.

— Ty lub nikt mnie nie uratuje! Poradź mi, pomóż! zlituj się!

Wybiegły obie do gabinetu, który był wiernem odbiciem charakteru gospodyni. Najcudniejsze rzeczy, najdziwniejsze rupiecie leżały w nim i stały pomieszane. Urządzony był z przepychem, a utrzymany z niesłychanem niedbalstwem.

Najkosztowniejsze dzieła sztuki pozawieszane były gałgankami, koronkowa chusteczka, którą księżna przed chwilą starła atrament rozlany na podłodze, leżała jak trup pod progiem. Księżna Karolina podrzuciła ją nóżką w kąt. Na berzerkach pozarzuconych chustkami, książkami, rycinami—nie było miejsca by usiąść. Gospodyni zaczęła wszystko zrzucać z niecierpliwością, stłukła wazon porcelanowy, ale to ją wcale nie zmniejszało, śmiać się zaczęła.

— *Il n'y a pas de bonne fête sans pots cassés*, zawołała.

Nawinął się bonończyk ulubiony, na którego krzy-

knęła aby siedł w kąt; zakrzyzczała papuga, narzuciła jej szalem tureckim klatkę.

Wojewodzina stała czekając aż będzie mogła zacząć opowiadanie—nareszcie głosem drżącym, pomieszana—bezladnie zaczęła się skarżyć — płakać — zaklinać o ratunek, księżna Karolina słuchała z uwagą.

— Ale, moja droga — kiedy ci już tak koniecznie tego do szczęścia potrzeba, wiesz co... Jedź do Młocin; w Młocinach jest ksiądz, podobno suspendowany, wygnany za karę — ale to nic nie szkodzi, zawsze to ksiądz. Jest to nieustraszony taki człowiek, że ci da ślub z kim zechcesz, o nic nie pytając. Wiem to doskonale, bo Kasztelanicowi niedawno pobłogosławił z jakąś baletniczką francuzką. Każe sobie dobrze płacić, odsiedzi rekolekcyę, ale ślub ci da! Jak cię kocham, kiedy zechcesz, na poczekaniu.

— A! zbawczyni ty moja! ale jakże go znaleźć.

— Czekaj—odparła ks. de Nassau — ja ci go tu sprowadzę jutro.

Rzuciła jej się na szyję Wojewodzina, ks. de Nassau zaczęła się nagle śmiać i padła aż na kanapkę z tego śmiechu, który do serdecznego był podobny. Bawiło ją to, że spleta figla i że przez kilka dni ubarwioną historję wypadku, coraz inaczej będzie mogła opowiadać przed wszystkimi. Miała bowiem ten zwyczaj, że siejąc plotkę, dodawała do niej różne waryacye swej kompozycyi, tak że później ci co się do niej odwoływali, sami o bałamuctwo posądzeni byli. Wezwana potem o rozstrzygnięcie, jak to było, komponowała znowu inaczej rzecz całą, tak że nie wiedziało czego się trzymać.

Na myśl jej z początku przyszło fałszywego księdza podsunąć, ale się zlekła. W Młocinach istotnie siedział na pokucie niejaki ks. Farunkiewicz, który był produktem XVIII-go wieku. Nie wierzył on w nic, a z wszystkiego sobie żartował i śluby tak dawał łatwo, że kilka razy żonaty nawet ich nie poskąpił.—Proszą o błogosławieństwo— a mnie co do tego? ja go nigdy nie odmawiam. To rzecz

ich sumienia jak się dobrali, a nieważny ślub, no! to nieważny. Drudzy się bez wszelkiego obchodzą, to stokroć gorzej?

I śmiał się.—Dziękujcie Panu Bogu, że do was przychodzą po wiązanie stułą, bo przyjdzie czas, że ani stuły ani księdza znać nie zechcą!

Ks. Farunkiewicza miał na sumieniu Biskup Młodziejowski, którego był jakimś krewnym. Ten go wyświęcił nie pytając o powołanie, wiedząc nawet iż wcale na kapłana się nie kwalifikował — obojętnie tłumacząc się: — To się wyburzy, nałamię, i będzie z niego taki jak i drudzy.

Powinien był raczej powiedzieć: jak i ja! bo w istocie pomiędzy duchownymi mało było tak lekceważących swój stan i suknię jak ksiądz Młodziejowski. — Do niego to raz w czasie obiadu w piątek przybywszy kasztelanowa Kamińska, gdy ją do jedzenia z mięsem namawiał, biorąc to na swe sumienie, powiedziała.

— W. Ekscellencya na tem sumieniu tyle już masz, że się lękam aby potem eksdywizyi nie było, a ja z moją wiarytelnością nie spadła.

Na tem to sumieniu był i ks. Farunkiewicz, który zesłany na pokutę do Młocin, polował po całych dniach, grał w karty po całych nocach i — gdy mu się tylko trafiło dać ślub, nie pytając błogosławił. Szczególniej gdy osoby były wyższego stanu, wiedział, że się zawsze jakoś potrafią z tego wywinąć, a jego od pokuty uwolnić.

Posłano po ks. Farunkiewicza powóz zamknięty i pełnomocny księżnej de Nassau pojechał. Zastali go z fajką w ustach, przed gankiem, nad butelką.

— A co mi tam acan dobrodziej przywozisz?—Plenipotent człek niemłody, krętacz sławny, w kilku słowach zdał sprawę z missyi swojej.

— Bardzo dobrze, kochanie—odparł ksiądz,—ale sto czątych na stół, ani się inaczej ruszę. Jeżeli im pilno—niech płacą. Będę musiał pokutować, niech się mam czem posmarować! dodał śmiejąc się.

Plenipotent obiecywał sto dukatów, ale to nie pomogło, ksiądz od gotówki nie odstąpił. Szczęściem, przewidyując to, wziął swoje pieniądze posłany, położył je na stół po długim targu i dopiero do włożenia sutanny namówił Farunkiewicza.

Na wieczór obiecała się ks. Karolina do Wojewodziny. — Nikt w pałacu nie wiedział co się święciło, — pani kazała się ubrać jak na bal, nie mówiąc nic nikomu. — Kamedynera posłała po Chełmowskiego i kazała aby czekał w oficynie. Tomkowi, który tego dnia chodził na radę do Dobka, ani się śniło, że szczęście jego jest tak blizkie. — Nie miał przeczucia najmniejszego; — stary kamedyner, choć wiedział przygotowania jakieś niezrozumiałe, nic się nie śmiał domyślać. Papiery, jak sądził, były u ks. Ignacego, i nie tak szybko zagrażać nie mogło. — Wojewodzina obawiając się zdrady, nie chciała nawet żadnych czynić nadzwyczajnych i mogących obudzić podejrzenie w domu przyrządzeń. Wystroiła się tylko, a dla niepoznaki powozowi zaprzęzonemu oczekiwać kazała przed pałacem.

Chełmowski w codziennym stroju, z gwoździkiem tylko u fraka, przechadzał się po pokoju, z trwogą poglądając w okna, gdy poszóstna karetka księżnej, z konnym, który ją poprzędał, wpadła w największym pędzie na dziedziniec.

Kamedyner, który był na górze, zapytał czy ma przyjąć — bo konie stały.

— Proszę — proszę.

Zbiegł więc i trafił, gdy z karety wyskakiwała ks. Karolina, a tuż za nią w paradnej sutannie, ks. Farunkiewicz. Małeńkie zawiniątko kazano wyjąć z powozu, kamedyner dostrzegł krucyfiks i stuly. Zbladł biedny prowadząc tych gości do pokoju, otworzył drzwi, lecz wnet pędem zbiegłszy na dół — chłopaka, którego miał przy sobie, pchnął do miasta.

— Leć w galop, skręć kark! rób co chcesz, ale żebyś mi Starostę w pół godziny tu przystawił! Rozumiesz!

Chłopak był jak ogień, wbiegł do stajni, porwał konia, siadł nań oklep i poleciał.

Stary kamerdyner z nadwyczajną powolnością i obojętnością pozorną, udał się na górę, bo już trzy razy dzwoniło na niego.

Gdy wszedł, Wojewodzina podbiegła doń drobnymi kroczkami i szepnęła mu.

— Stolik na środek pokoju. Prosić pana tego, mego narzeczonego. Ty, mój kochany i stary Atanazy, będziecie mi służyć za świadków.

Skłonił się kamerdyner w milczeniu, spojrzawszy z ukosa na zegarek. Zdało mu się, że pół godziny zwlec potrafi, bo Atanazego mogło nie być w domu, a przybranie stołu, świece, ubieranie księdza... Poruszał się nadwyczaj powolnie. Stół do tak wielkiej uroczystości żaden mu się nie zdawał stosownym. Kazał przynieść go z oficyny, ale i ten nie zdał się.

Wojewodzina z największym w świecie niepokojem chodziła po salonie. Ks. Farunkiewicz ją bawił. Ks. de Nassau, która miała głos piękny i śpiewać lubiła, otworzyła stojący klawicymbał i poczęła śmiejąc się szukać nuty do *Veni Creator*.

— Już ciż ja tu choć organistą być muszę! powtarzała i basem śmiesznym poczyniała pieśń, przerywając ją wybuchami śmiechu.

Stolika jakoś nie sposób było urządzić przyzwoicie, wnoszono już trzeci—i ten się nie podobał kamerdynerowi, gdy gospodyni domu zniecierpliwiona rozkazała go zostawić.

Zaczynało się nakrywanie, gdy wszedł pan Chęłmowski, niewiedzący o niczem. Zmieształ się zobaczywszy towarzystwo, ale Wojewodzina porwawszy go za rękę przedstawiła księżnie, jako narzeczonego.

Ta odezwała się doń po francuzku, a Chęłmowski zaczerwienił się jak wiśnia. Ks. Farunkiewicz z miną drwiącą przypatrywał mu się zdaleka. Szczęśliwy Tomko tak

jakoś wpadł w to szczęście jak w pułapkę, iż sam oczom i uszom własnym nie wierzył. Chwilami dreszcze mu chodziły po plecach, jakby przecucie kijów, o których chodziła tradycja, że niemi narzeczonych odpędzano.

Wedle rachuby starego sługi, ślub, pomimo pozornego pośpiechu, zwłókł się istotnie o pół godziny, lecz Starosty nie było ani słyhu, starego Atanazego szafarza i kredence-rza niepodobna było wstrzymać, bo Wojewodzina sama po niego już posłała. Zimnym potem oblewał się nieszczęśliwy kamerdyner, usiłując zapobiedz temu co nieszczęściem nazywał. Ciągłe mu czegoś jeszcze brakło. Natomiast ks. Farunkiewicz, któremu było niezmiernie pilno i księżna de Nassau naglili, Wojewodzina drżąc jak listek, z dziewczcą skromnością stanęła przed stolikiem, przedstawiającym ołtarz.

Farunkiewicz wszystkie obrzędy odbywał nadzwyczaj szybko, i tym razem nie ociągał się. Z załamanemi rękami stał kamerdyner u progu spuściwszy oczy. Najmniejszy szelst nadzieję mu przynosił—ile razy zaturkotało, zatętniało w ulicy, zdawało mu się, że Starosta przybywa. Lecz ślub się skończył, powinszowania zaczęły, a Starosty wcale widać nie było. Już zaczynano stolik rozbierać i światła gasić. Krzyż tylko jeszcze stał w pośrodku, gdy na wschodach zahuczało i pan Starosta wpadł cały porozpinany, oczyma zapalczywemi rzucając dokoła po przytomnych.

Wojewodzina z lekkim okrzykiem, chwyciwszy za rękę Chełmowskiego, padła i zaczęła mdleć.

Starosta jak przykuty stał w progu, wargi mu drżały—ręce załamał, patrzył na siostrę i głową potrząsał groźnie Świadek tej sceny ks. Karolina ostrym go mierzyła wzrokiem, chociaż usta jej nie mogły się wstrzymać od pół uśmiechu.

Chełmowski błąd jak trup, przyciągnięty ręką mdlejącej swej małżonki, padł przy niej na kanapkę i patrzył jak osowiały.

Milczenie straszne panowało w salonie. Z namarszczoną brwią, Starosta się zbliżył pięść ściśniętą podnosząc do Farunkiewicza.—Ty klecho! jakieś ty śmiał.

. Nie mógł dokończyć jeszcze, gdy silny i baczysty Farunkiewicz, do którego się nadto przybliżył, popchnął go tak, że kawaler Maltański o mało nie stracił równowagi. Niełatwo go było zastraszyć.

— Któż to jest pani dobrodziejko?—zawołał obracając się do gospodyni—jakiem prawem, w tej chwili uroczystej?..

Starosta się opamiętał i z gniewem posunął ku księdzu, ale ostrożniej tym razem.

— Jestem bratem tej oto warjatki, wskazał na siostrę; która okryć się chciała śmiesznością i uczynić nieczęśliwą. Ślub nieważny — protestuję, a awanturnika tego za kołnierza pod straż marszałkowską odprowadzę.

Wojewodzina zaczęła krzyczeć obejmując za szyję Chelmowskiego, a księżna de Nassau stała zasłaniając ją sobą.

— Panie Starosto—zawołał — protestuj, kasuj ślub, czyni co ci się podoba, ale nie rób burdy, bo to ludziom naszego stanu nie przystoi.—Możesz być zły—ale powinieneś być grzeczny. Jeśli cię gniew dusi tak że nie jesteś panem iebie, wyjdź do sieni ochłonąć.

Starosta dopiero teraz poznał księżnę i zawstydzil się.

— *Mais Madame...*

— *Mais Monsieur! cela n'a pas de nom!* co pan tu dokazujesz—Wojewodzina (dodała tłumiąc śmiech), jest co najmniej pełnoletnią,

Starosta zamilkł. Ksiądz założywszy ręce na piersi stał jakby go wyzywał.

— Ślub dany przy świadkach, związałem stulą mocno, pobłogosławiłem wedle wszelkiej formy, a jeśli zechcecie rozzerwać com ja tu połączył, prosimy do konsystorza, prosimy!

Starosta znalazł się w takim położeniu. że z pasyą występując na śmiech się tylko mógł narazić. — Popatrzał

wzgardliwie na Chełmowskiego i siostrę i ruszył ramionami.

— Rozumie się, że asindzieja o pozwolenie do rozerwania tego nieważnego związku prosić nie będę. — Żałuję tylko że zapobiegając głupstwu popełnionemu, jejności zawczasu do klasztoru nie wsadził, jako obłąkanej na umyśle.

Wojewodzina porwała się z krzykiem.

— Precz, precz z mojego domu—zawołała — nie chcę cię znać! nie uznaję cię bratem. Ja tu panią jestem, proszę ustąpić, posłę po straż, to gwałt! to napaść!—Z zimną krwią słuchał Starosta.

— Poślej po straż,—potrzebna ci jest dla tego gagatka, bo że mu uszy poobcinam, to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nie odjadę ztąd, ścigać będę, póki mu nauki nie dam.

— Panie Starosto! krzyknęła ks. de Nassau, ja jadę natychmiast do zamku, do marszałka, do generała komendanta, ja waćpana oskarżę. Czy się to godzi?

— Mości księżno! zawołał Starosta przywiedziony do pasy—proszę się do interesów familijnych nie mieszać. Ja nie zwykłem się dać ustraszyć, ani kobietom, ani marszałkom, ani generałom.

Chełmowski osłupiały podniósłszy się z kanapki, stał w śmiertelnych potach, nie wiedział ani co począć, ani jak się to może skończyć. Winowajca, stary kamerdyner, wszedłszy za drzwi łamał ręce z rozpaczą, sam narzekając na siebie.

— Gdyby chłopiec się był pośpieszył! — nigdyby do tego nie przyszło.

Farunkiewicz nie znajdując się tu już potrzebnym, poklonił się gospodyni i nie spojrzawszy nawet na Starostę, poprosił o konie księżnę, która go odwieść kazała. Sama postanowiła zostać do końca. Opuścić nieszczęśliwą, sam na sam zostawiając z bratem, nie było podobna.— Starosta wybuchał ciągle, chodził, łajał i odgrażał się, nikt mu nie

odpowiadał—nakoniec kapelusz, który trzymał w ręku nałożył na głowę, i drzwiami rzuciwszy wyszedł. Słychać było głos jego na wschodach, burzący na starego sługę, który go aż na dół przeprowadzał.

Po wyjściu jego, gdy powóz, który go napowrót odwoził do miasta, zaturkotał, Wojdwodzina się podniosła i pobiegła rzucić na szyję księżnie.

— Ilem ja ci winna! najlepsza przyjaciółko! Zbawczyni moja! Tomku, chodź. padnij na kolana i dziękuj księżnie. Wszystko skończone! brat nie odważy się na nic. Moje szczęście się rozpoczyna.

— A ja tu już nie jestem potrzebna, odezwała się cicho księżna, której pilno było opowiadać historię nikomu jeszcze nieznaną. Niech was Bóg błogosławi *ma chérie!* zostawiam was szczęściu waszemu, okupionemu tak drogo. *Adieu! Monsieur Thomas.*

I zarzuciwszy koronkowy szalik na fryzurę, księżna jak ptaszek lekko zbiegła po wschodach do karety, a woźnicy krzyknęła wsiadając:

— Do Starościnej Małagoskiej!

Wiedziała, że tam najwięcej osób zastanie i sensacyjną swą powieścią poruszy miasto całe. Od starościnej chciała wpaść na chwileczkę do pani Krakowskiej a może do hetmanowej.

— *O! la merveilleuse historie!* powtarzała niespokojnie wyglądając oknem, kiedy się nareszcie ganek Starościnej ukaże.

CZEŚĆ DRUGA.

Nazajutrz w istocie historyja o ex-Wojewodzinie obiegała całe miasto, ale tak dziwnie ufarbowana przez figlarną księżną Karolinę, że nikt spełna nie wiedział czego się trzymać.—Jednym na ucho mówiła, że Starosta wpadł z puginałem, a mąż ex-Wojewodzinęj ranił go szpadą. Drugim, że Starostę związano i odesłano do straży, gdzie go dopiero marszałek uwolnił. Komuś trzeciemu zaręczała, że pałac był zamknięty i że brat z protestem po drabinie wszedł oknem. Niezliczonemi upstrzona wariantami powieść zabawiała wszystkich, zaniesiono ją do zamku. Tu wiadzano, że dawny protegowany księcia ex-Podkomorzego był bohaterem tego dramatu. Wszyscy co go nie widzieli, ciekawi byli oglądać tego śmiałego zdobywcę pięćdziesiętletniego serca. Litowano się i śmiano z Wojewodziny.

Starosta, który dosyć śmieszoną odegrał rolę, nazajutrz się nie pokazywał—odebrał tylko zaproszenie od Koniuszego Kickiego do zamku, gdyż król życzył sobie z nim mówić. Sam, udając chorego, posłał z ekskuzą przyjaciela kawalera de Maisonneuve, którego król lubił bardzo, bo pięknie mu wieczorami czytywał i talent do teatrów amatorskich miał wielki.

Gdy Maisonneuve przyszedł wieczorem na zamek i oświadczył, że jest pełnomocnikiem Starosty, król go wziął na bok i pokazał mu list ex-Wojewodziny, która go błagała o pośrednictwo i zabezpieczenie mężowi jej życia zagrożonego przez brata.

—*Mon cher Chevalier*,—rzekł król—powiedz mu, ażeby

się nic narażał na śmieszność i na nieprzyjemności. Chciał ocalić honor rodziny—ale gdy raz się już stało, nie powinien go narażać, kompromitując własną siostrę.

Powiedz mu że go proszę i zaklinam—aby żadnych kroków nie czynił, wymóż na nim słowo.

Pełnomocnik chciał przekonać króla, że małżeństwo było nieważne—ale Stanisław August zamknął mu usta.

—Dla niego one powinno być dziś ważne.

—*Il faut faire bonne mine à mauvais jeu.*

Król tak jakoś potrafił przekonać Maisonneuve'a, iż podjął się ukołysać Starostę i przyprowadzić go do Łazienek, aby sam dał żądane słowo.

— Przyjdźcie z nim na obiad jutro. Powiedz, że go proszę, i że wymówki nie ma.

Nazajutrz w kawalerskim swym maltańskim mundurze, stawił się pan Starosta. Wylał się z żałami na siostrę—nie doprowadziło to do niczego—król go złagodził i słowo na nim wymógł, o czem zaraz napisał *à Madame la Comtesse de Chelmowska*.

Koperta ta była jakby nadaniem tytułu mężowi ex-Wojewodziny; schowano ją jako dokument.

Starosta ze swojej strony list także napisał z wymówkami, ale znośny, w końcu dopominając się pobieżnie ucynioną mu obietnicą tysiąca dukatów na drogę.—Zaniósł je tegoż wieczora stary sługa, bez odpowiedzi żadnej, bo pani Chelmowska była jeszcze rozgniewaną na brata i zarzekła się, że go nigdy w życiu na oczy widzieć nie chce.

Gdy stary kamerdyner wszedł z zielonym woreczkiem w rękę do pokoju Starosty, miał oczy czerwone, a twarz jakby zdjętego z krzyża. Zgarbiony, blady, włókl się milczący, położył worek na stole—i rzekł.

—Wszystko skończone! wszystko skończone! Patrz pan, patrz pan!!

—Ani widzieć już, ani słyszeć nie chce—odparł Starosta—oszalało babsko, i narobiło wstydu nam, a sobie nie-

szczęścia — niech teraz pokutuje. Bo, że nastąpi pokuta i że ten...

Nie dokończył Starosta.

— Mówże, co? jak?

— A! rozpada się pani nad nim, a to z pozwoleniem pańskim, bydlę. Już tak się rozsiada po kanapach i krzyczy a rozkazuje, jakby się chamem nie rodził.

Pasya porywa, ale znosić trzeba.

— Kochają się bardzo? — rozśmiał się złośliwie.

Splunął kamerdyner ze zgrozą.

— Przepadło wszystko!! — dodał kawaler — ostatni to tysiączek mi przyniósłeś; puści ten jegomość co jest i czego nie ma; daj Boże by na starość chleba starej nie zabrakło. Nie było sposobu uratować — wola Boża. Ja jutro jadę do Włoch, żeby na to nie patrzeć, bo nie mogę za siebie ręczyć, choć królowi dałem słowo. Jakbym się spotkał z tym... co mi się do rodziny wdari — zbójca, dłoń by nie wytrzymała, nosiłby moje pięć palców na małej swej twarzy.

Nie zazdroszczę waszeczki — dodał zwracając się do starego — że na te amory obrzydliwe patrzeć jesteś zmuszony. Siostry mi czasem żal, a no i Bóg nie uratuje, gdy kto sam się ratować nie chce.

Mówiono o tym wypadku w Warszawie, dopóki nie przyszła inna nowość tej wyrugować. Księżna Karolina zajęła się teatrem amatorskim i karlicą jakąś, którą stroiła i woziła z sobą; inni zaprzątnięci byli sprawami sejmowymi, pani ex-Wojewodzina zapomnianą została. Nie pokazywała się też w mieście, i znany jej ekwipaż nawet prawie się nie przesunął w ulicach. Ten i ów wspomniawszy o niej z przekąsem, mówił o miodowych miesiącach. Brama wiodąca do pałacu była zamknięta, okna pozapuszczane storami, służba tylko wychodziła na miasto. Stary kamerdyner ledwie czasem zajrzał do siostry.

— Cóż tam u was słyszać? pytała szydersko Karusia.

—A nie—ramionami ruszając mówił stary. Widocznie ochoty do opowiadania nie miał.

Parę miesięcy upłynęło tak, a na lato większa część towarzystwa się rozjechała. Warszawa stała się puścieszą. Kilka razy powóz pani Chełmowskiej przesuwał się znowno po Krakowskiem Przedmieściu. Widziano w nim wystrojoną dawną piękność samą jedną, albo samego jednego młodego mężczyznę, rozpartego wygodnie, rozłożonego na poduszkach, ubranego wykwintnie, i dumnie spoglądającego z góry na przechodniów.

Dobkowi często na myśl towarzysza szkolny przychodził, lecz ani, wiedział gdzie go szukać, ani go mógł spotkać. Jego życie nie zmieniło się wcale, tyle tylko, że od pp. Raławiczów, polecony przez jednego ze swych protektorów, przeszedł na nieco lepsze miejsce do prezydenta miasta Dekerta. Tu nie miał dzieci do dozorowania, bo Dekert się był powtórnie ożenił niedawno, ale wiele do czynienia w sprawie miast, około której pracowano właśnie. Dobek wyszukiwał dokumentów i historycznych dowodów, zbierał materiały, redagował noty i był w swoim żywiole. Miasta koronne składały się na kosztą przygotowawcze, lepiej więc był płatny, a pracę miał swobodniejszą. Po całych dniach siadywał w Bibliotece Załuskich, przy Daniłowiczowskiej ulicy lub w Archiwach. Choć wiadano w ogóle, że coś się ze strony miasta gotuje, choć były naraady i Dekert często konferował z ks. Kołłątajem—plan działania był okryty tajemnicą i przed owem wystąpieniem miast zbiorowem, nikt nie wiedział co i jak się gotowało. Dobek był skromnym i cichym człowiekiem i wszyscy bardzo z jego pracy byli zadowoleni.—Obiecywano mu jakąś nagrodę i dalszą krescycytwę, gdy się pisanie memoriałów w sprawie miast ukończy.

Stosunkowo więc i Florek rad był ze swego losu. W domu Dekerta życie było bardzo wygodne, mieszkanie porządne, na książki jego nikt się nie gniewał, mógł je znośić ile mu się podobało i znaczną część czasu miał na wła-

sną potrzebę. — Pieniędzy wprawdzie brakło mu jeszcze, miewał ich nie wiele, chodził zawsze w wigoniowym surducie i butach, które czasem zostawiały wiele do życzenia, mianowicie ze strony podeszew, ale—komuż czegoś nie braknie?

Pracując nad historią miast, Dobek podkrywał różne ciekawe zakąty dziejowe, w których nikt nie bywał, dogadzał fantazyom puszczać się w poszukiwania, innego nie przynoszące pożytku nad to, że go o czemś oświecały. Gdyby z kim było można porównać Florka, to chyba ze sławnym autorem dykcyonarza Baylem. Miał pasyę dochodzenia prawdy, nienasyconą ciekawość.

O sobie i losie własnym nie myślał prawie, tak go to polowanie za wiadomościami zajmowało.

Czasem dla rozrywki napisał wierszyk jaki, o którego los się nie troszczył, który puścił w kurs i śmiał się, gdy go potem Trębeckiemu lub Węgierskiemu, Książninowi a nawet Krasickiemu przypisywano. Natchnienie wiało nań ze stron wielce różnych—bywał satyrykiem, gdy mu się zrobiło smutno, pisywał elegie, próbował potrosze wszystkiego. Jak najmniej myślał o wyzyskiwaniu tych owoców muzy. Były one potrzebą jego ducha i jak dojrzałe owoce spadały z drzewa, a często spadłszy, jak owoce, pogniły u pnia jego.

Albertrandi pytał go czasami — co z sobą myśli? czy ma jakie na przyszłość plany?—A! będzie na to czas! odpowiadał Dobek; — gdy nie stanie roboty, wówczas się człowiek za nią obejrzy.

Jednego dnia, wyszedłszy od ks. Janockiego, Florek głodny kupił sobie owoców i siadł niedaleko bramy, książki położywszy na kolanach, aby się trochę posilić, gdy zaturkotało i poczwórny powóz bardzo świetny, zatrzymał się przed ogrodem. Służący otworzył drzwiczki, i mężczyzna ubrany bardzo modnie, strzepując chusteczką pył z żabotów i sukni, wysiadł powoli na lasce ze złotą gałką się spierając. — Z miny i chodu poznać zaraz było można jakiegoś

wielkiego pana. Kazał służbie zatrzymać się z powozem, a sam wszedł do ogrodu pod cieniste aleje. Postępował nader powoli, widocznie nie mając nic pilniejszego do czynienia, jakby znudzony. Ubiór jego był nader wykwintny, suknia aksamitna ciemno niebieska, podszyta białym atłasem, kamizelka jedwabiami haftowana, u rąk mankiety koronkowe, peruczka paryzka, trzewiki ze sprzączkami stalowymi brylantowanymi. Chusteczką, którą pył spędził z sukni, chłodził się jak wachlarzem, a laskę włożywszy pod pachę, rękę drugą włożył swobodnie w kieszeń od kamizoli, u której cały pęk kosztownych dewizek na złotym, diamentami sadzonym (było to modą) kołysał się łańcuszku. Roztargniony zdala przypatrywał mu się Dobek, siedzący nieco na uboczu, tak że przechodzący widzieć go nie mógł, gdy z alei, nadzwyczaj szybkim krokiem, wyszedł stary już mężczyzna, dosyć wyglądający pocieszenie. Pańską miał postać, głowę do góry zadartą, nankinowe ubranie i żółte trzewiki. Chociaż twarz pełna marszczków była, widocznie rad był udawać młodego. Spostrzegłszy naprzeciw siebie powoli wlokącego się jegomości, stary nagle stanął i wykrzyknął.

— *Ma foi!* co widzę.

Młody głowę podniósł, zmieszał się nieco i niemal posądzić go było można, iż się chce cofnąć, zarumienił się. Dobek, pomimo znacznej zmiany jaka zaszła w twarzy Chełmowskiego, poznał go. On to był. Naprzeciw niego szedł w swym zwykłym stroju książę ex-Podkomorzy. Chełmowski zdumniał, wybladł, kwas jakiś osiadł we wszystkich ryśach jego fizyognomii.

— Fiu! fiu! zawołał książę patrząc nań, jakżeś mi waszczę spaniał. Anibym go poznał!!

I zbliżył się do niego.

— Kłaniam się asindziejowi.

Chełmowski od niechcienia się skłonił nie odpowiadając.

— Ozeniłeś się słysząc ze starą babą! mówił książę—

widzisz! to niezdrowa rzecz. Ja szukam towarzystwa młodych i pomimo lat moich, *ma foi*, nieźle wyglądam — a ty jak... jak śledź, cha, cha!

Tomko jeszcze się nie zebrał na odpowiedź, usta mu się tylko wykrzywiały dziwacznie.

— A wiersze piszesz? hm? cha! cha! Pogroził mu na nosie.

— W. Ks. Moć byłeś niesprawiedliwym względem mnie, przebaknął poeta.

— A tak! teraz wiem—to ten łotr szambelan Węgierski, który uciekł. Byłbym mu dał, rzekł podnosząc szpicrut, dobrze zrobił że się wyniósł, przepraszam waści—ale—widzisz, nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło! Ja waćpana świata poznać dałem, i pochwyciłeś ciepłą wdówkę. Byłeś hołyszem, a teraz koło ciebie pańsko. Winieś mi jeszcze podziękować.

— M. książę, ja to co mam, winienem sobie, zdaje mi się.

Książę prychnął.—A tak, temu żeś asindziej młody, a to stara, extra stara baba. Ale ja ją znam, lata bym ci mógł policzyć. Gruby lik! a jeśli ci z tem dobrze—co komu do tego?

Począł śmiać się i dobywszy tabakiereczki poczęstował go hiszpanką.

Chelmowski odmówił.

— Źle robisz, że nie zażywasz, gdy ci potem co śmierdzieć będzie, resursu nie ma, a tak, uciekłbyś się do tabakierki.

Patrzył nań, od stóp do głów go książę oglądał.

— A wiesz asindziej—że wcale jesteś dobrze ubrany. Masz gust—rzekł przypatrując się. Fiu! fiu! jakie koronki. Gdzie kupowałeś guziczki? Prawda? w angielskim magazynie! Patrzcie! i łańcuszek brylantowy. *Ma parole*, jak baba stroi firleje. Cha! cha!

Podniósł oczy ku niemu.—A mimo to wyglądasz smutnie.

Książę obszedł go do koła, w rękę ujął aksamit, poklepał go po ramieniu i nie żegnając poszedł dalej, sam do siebie śmiejąc się i mówiąc coś. Chełmowski stał skłopotany, twarz z rumianej zrobiła się bladą, jakiś czas ciężko mu się było z miejsca ruszyć—potem podniósł głowę chcąc iść dalej, gdy oczy jego mimowolnie padły na Dobka, który z za drzewa ciekawie się scenie przypatrywał i przysłuchiwał.

Chełmowski poznał go od razu, bo Florek był z tych ludzi, którym życie spokojne nie pozwala tak szybko się zmieniać, zawahał się zrazu jak się zdaje, czy się ma z nim przywitać, czy udać, że go nie widzi i iść dalej, obejrzał się wprzód do koła i podstąpił ku ławce.

— A to wy Florku.

Dobek wstał, zabrał książki i zbliżył się do niego.

— To ja, ale was, jakże mam dziś nazywać? poznać by mi było trudno!

Na pytanie odpowiedzi nie było prędko, myślał Chełmowski.

— Zapytujesz jak mnie masz nazywać? Mnie teraz nazywają wszyscy hrabią Chełmowskim.

Dobkowi wszystkie nerwy twarzy zadrgały — Chełmowski nie zmięszany kończył z wielką powagą.—W istocie, chociaż ojciec mój umarł w ubóstwie, ale się z papierów okazuje, iż do tego tytułu mieliśmy prawo. Zresztą król też mi ten tytuł potwierdził pisząc do mojej żony. Więc, możesz mnie także nazywać hrabią.

— A! dobrze — zawołał Dobek—to wygodnie—a cóż hrabia porabia.

— Ja? zaczął bąkać Tomko—mój drogi, ja do roboty nie mam prócz używania życia. Dostyc mi się nudzi. Czytam trochę, ale głupstwa same piszą, czytać nie ma co, trochę czasem co dyktuję—wierszami A ty?

— Ja? w książkach siedzę! odparł Dobek.

— A wiesz co—rzekł stojąc Chełmowski—ja—jabym ci może dał robotę i—rozumie się zapłaciłbym. Ty papla

nie jesteś. Ja mam pomysły, (uderzył się w czoło), mam dobre czasem pomysły, tylko trochę jestem leniwy. Ja myślę pisać poemat Wiedeńska wyprawa, o Sobieskim, powiem ci, mógłbyś mi pomódz, toby ci się opłaciło.

Chelmowski mówiąc to głos zniżył i w oczy patrzył Dobkowi.

— Powiadam ci, mówił dalej—mam pomysły!! a pisałibyśmy razem, jabym to wydrukował.

— Czemuż nie, rzekł Dobek—gotowym do usług.

— Masz miejsce.

— I zajęcie, ale parę godzin na dzień mogę ci poświęcić.

— Ja teraz jestem w stanie zapłacić nieźle.—Widzisz—dodał z cicha.—Król wystawił Sobieskiemu pomnik w Łazienkach? rozumiesz. Zadeedykowałbym królowi, i Julka mówi, że już ona w tem, iżbym dostał Ś. Stanisława.

Ręką wskazał piersi.—Rozumiesz.

— Doskonale, rzekł uśmiechając się Dobek, który pomyślał w duchu — jabym napisał a on by krzyż i gwiazdę otrzymał. Dalipan toby było niezmiernie zabawne.

— Bo ja—mam pomysły! powtórzył Chelmowski— o! ja mam czasem wielkie pomysły.

— Niemala to jednak rzecz poemat taki, odezwał się Dobek przybierając ton poważny,—trzeba wiele czytać, przygotować się, nauczyć.

— Rozumie się te tam fatałaszkę, szczegóły, ty byś dla mnie pozbierał, jabym ogólny zarys dał, no i wiersze. Wyglądzenie by do ciebie należało.

Myśl ta widocznie go zapalała.

— Przyjmujesz Florek — spytał — dyskrecya naturalnie, największa—rozumiesz. Ja po obiedzie drzemać nie mogę, bo mnie głowa boli, a Julka potrzebuje się parę godzin przespać—moglibyśmy popracować razem. Przychodziłbyś codzień, a jak jabym czasu nie miał, no, toby się dzień potrafił. Dam ci pięć dukatów na miesiąc.

Dobek się rozśmiał.—Targować się nie będę — zawołał—dla samej osobliwości pomogę ci.

— Kiedy zaczniemy?

— Choćby dziś.

— Masz czas?

— Mam.

— Ale ja ciebie w mojej hrabiowskiej karecie nie mogę wieść do pałacu. Ludzie by zobaczyli, ty byś w twoim wigoniowym surducie wydawał się śmiesznie. Przyjdź do mnie, do pałacu, wiesz gdzie mój pałac?

Wskazał ręką i powiedział ulicę.—Za godzinę cię tam czekam.

— Za parę godzin, poprawił Dobek, inaczej nie mogę.

— Dobrze za parę, przygotowuję się.

Skinieniem głowy zęgnął dawnego towarzysza, gdy spojrzawszy w aleję, pobladał biedny hrabia świeżo kreowany.—Był to dzień spotkań. Chciał się rzucić w bok — lecz ścieżki żadnej nie było—uciekać wstyd. Został w miejscu jak przykuty.

Aleją szło dwóch w polskim stroju panów, gruby, ociężały, sapiący pan Podstoli, dawna znajomość nasza i sędzia Wyrzykowski. Miejski elegant w całym blasku zwracał oczy ich ciekawe. Zrazu nie poznali go. Podstoli oczy przecierał, aż łokciem trącił Wyrzykowskiego.

— A słowo się stało ciałem—zawołał—sędzio — widzisz ty tego basałyka?

— Widzę, albo co?

— I nie poznajesz! Ale ja bo się może mylę. Nie—nie mylę. Jak mi Bóg miły, nie mylę.

Pochwycił z całych sił grubemi palcami Wyrzykowskiego za rękę.—Serce moje, patrz że—to ten.

— Wiem kogo myślicie—ten. ale nie mogę sobie nazwiska przypomnieć.

— I ja też! zawołał Podstoli—ale dosyć ze ten, bodaj go—to ten. Asindziej wiesz, ten!! Trzysta go mordowało, patrzże co z niego zrobiła stolica.

Wyrzykowski podszedł żywiej i ukłonił mu się. Chełmowski stał sztywny i zimny.

— Pan sobie nas nie przypomina? zachluchtal sędzia, nie?

— A! i owszem, tak—odparł Tomko—tak, gdym incognito był zmuszony pod obcym nazwiskiem do Warszawy jechać, a panowie byli łaskawi...

Podstoli zbliżywszy się coś marmotał, patrzył na frak i potajemnie wziął za połę oglądając aksamit i podszewkę.

— Djabli go nie wzięli! mruknął.

— Widzę—rzekł sędzia z przekąsem—że się incognito skończyło. Cóż pan porabia.

— A! mieszkam z żoną moją, panią hrabiną — w naszym pałacu.

Nastąpiło milczenie, jak po wystrzale działowym, tylko echo niesło pałac i hrabinę po wnętrzach słuchaczów. Podstoli słuchał i ślupiał, sędziemu się zbierało na uśmiech.

— Ożeniłeś się pan! zawołał.

— Tak jest! odparł zimno Chełmowski. Był to dawny projekt naszej rodziny.

— A więc witam kosmatą ręką! dodał Wyrzykowski.

Skłonił się od niechcenia Chełmowski, i nie chcąc być egzaminowany dokładniej, natychmiast pożegnał dawnych znajomych, którzy pozostali w alei, nie mogąc z miejsca się ruszyć.

Oddalił się, jak przystało na wielkiego pana — z wolna i poważnie w głąb ogrodu, nie oglądając się za siebie.

— Słyszałeś? zawołał Podstoli.

— Słyszałem.

— A co? a co? niech mnie jasny piorun ubije — niech do domu nie dojadę, bodajem skisł — jeżeli najmniejsze miałem posądzenie, gdym go, jako chudopachołka podwoził na koźle, że to taka bestya czubata. Ale któż go mógł posądzić o to? kto? Byłbym go podle siebie posadził. Słyszysz? No proszę! mieszka w pałacu i hrabia. A niechże go wilcy, moci dzieju.

— Ale to fireyk jakiś i kłamca! rzekł Wyrzykowski.

— Jak może być? Nigdy w świecie, oponował Podstoli. Samozwaństwo takie łatwoby się wydało. Co asin-dziej myślisz.

— Myślę, że sobie z nas żartował.

— Nie—mówił to z całą powagą, a zresztą gorąco po-czął Podstoli—maciałem mu fraka, prawdziwy aksamit, gro-detururowa czy atlasowa podszewka jedwabna; wysztafirowa-ny jak lalka.

— Co to dowodzi? zawołał Wyrzykowski — oni tu wszyscy zbyt kownicy stroją się za ostatni grosz.—W domu czasem nie ma co jeść, a chodzi jak pan. Ja ich znam.

Zwolna zaczęli sprzeczać się iść ku bramie, gdy dru-gą ulicą wyminawszy ich i wyprzedziwszy Chełmowski, zbliżył się ku wyjściu, skinął na ludzi i zaszła czterokonna kareta, ze świecidlami na koniach.

Podstoli aż uszczypnął Wyrzykowskiego.

— To on, pośpieszmy, zobaczymy konie. Jak Boga jedyne go kocham. Co za konie, a chomąty, patrz—Wyrzy-kosiu, chomąty! Szelma! A liberya. Patrz, siada. Jak mi zbawienie drogie.

No—kiedy tak, to hrabia—widzisz. Widzisz, miałem rację.

Nie wiem co Chełmowskiemu przyszło do głowy, bo w chwili gdy miał do powozu sięść, odwrócił się jeszcze ku nadchodzącym—z ukłonem. Podstoli, choć grubemi noga-mi ledwie ruszał, zdyszany się przybliżył, i chwycił za rękę Chełmowskiego.

— Mój mości dobrodzieju — panie hrabio — rzekł—o przebaczenie go proszę. Nie mogłem wiedzieć z kim miałem honor. Żebyś mi pan hrabia, tego kozła, przy Jacku nie miał za złe. Tomko zamruczał coś niewyraźnie.

— Któż mógł wiedzieć, mój mości dobrodzieju — jam nie prorok.

Chełmowski już siadał i kareta ruszyła. Podstoli i sę-dzia stali.

— Kiedy już o tem mowa — rzekł Wyrzykowski — przyznaj mi się szczerze mój Podstoli — wiele Jacek naówczas dostał z tych stu przyobiecanych, co to odlewane być miały.

Podstoli oddał usta i machnął rękami.

— Et—dałbyś pokój — co o tem mówić! Gdzie tego juchę bić było, kiedy musi robić koło stajni. Byłby mi się położył. Darowałem do pierwszego razu. Teraz mi w drodze worek z owsem przepił i powiada że mu go ukradziono—i za powrotem—jakem żyw dostanie. Ale nie więcej nad dwadzieścia pięt — bo to się wsypie od jednego razu i chodzić może dla tego. O! teraz tom się zaprzysiągł, na co mam najświętszego, takiego łajdactwa przebaczyć nie mogę—na sumieniu bym miał.

I zmieniając rozmowę—dodał wskazując za odchodzącym powozem.

— No—i my we dwu wieźliśmy oto tego hrabiego, nie o tem nie wiedząc. Historya! jak Pana Boga mego kocham, nikt wierzyć nie zechce.

Dobek dawno był już opuścił ogród Saski. Nie przyrzekł się też swójemu dawnemu towarzyszowi za godzinę i miał powody ważne. Biedny chłopak, choć nie elegant i w butach podejrzanych—był zakochany.

Stało się to w najdziwniejszy sposób w świecie. Siedział często w Saskim ogrodzie. Jednego razu, gdy myślał o chronologii i kobiety mu zupełnie zdawały się obojętne, dziewczątka lat może piętnastu, podlotek — pocieszenie jakoś ustrojone, wcale nie ładne, ale świeże, zwawe bardzo, w białym czepeczku, w czarnym fartuszk, w trzewieczkach na korkach, śmiało i trzpioczące się wbiegło w ulicę, w której siedział. Wzięło się pod boki, rozpatrywało, główkę jak ptaszę z gniazda, to w lewo obracało, to w prawo, oczkami strzygło swawolnie, uśmiechało się—zdawało się czegoś szukać i nie móżdż sobie dać rady. O kilka kroków słyssał jak zaczęła dziewczeczka parę osób, które ją pominęły, nie dając odpowiedzi. Brzmiała jej mowa jakby obca.

I twarzyczka też była jakaś nie naszego kroju. — Nie piękna a miła, nosek zadarty, usta pół otwarte, przez które ciągle prążek białych ząbków, jakby w nieustannym uśmiechu przeglądał, pyszczek miała różowy, włosy obfite kasztanowate, nóżkę maluską, i rączęta jak dwa pulchne placuszki. Że się kręciła niespokojnie — ściągnęło to uwagę chronologa. Zapomniał na chwilkę o Manettonie.

I ona też, jakby z desperacyi podbiegła ku niemu, stanęła, popatrzyła — i niby się przekonawszy, że to nie to czego szuka, chciała już furknąć nazad, gdy — jakimś dziwnem natchnieniem (nie umiał sobie wytłumaczyć dla czego), Dobek spytał ją po francuzku:

— *Que cherchez vous, Mademoiselle?*

— *Ah! c'est ça!* w ręce uderzając i obcasem wpadając nań, odparła dziewczeczka. Z nikim się tu rozmówić nie można. Mój dobry panie? ja jestem obca, jak ja tu znajdę ten pawilon, gdzie czekoladę i cukierki sprzedają.

Florek nadzwyczaj uczynny — cieniem, ulicą poprowadził ją do pawilonu. Idąc się zaraz dobrze poznali. Na prędce opowiedziała mu Luizetta całą swoją historję, że była szwajcarką, że ją wszyscy krewni odumarli, że jak palec została sierotą, i że liłościwa, złota, dobra księżna Karolina de Nassau, wzięła ją w opiekę, że u niej sobie szyje, haftuje i że jej bardzo dobrze. Przyznała się, że miasta nie zna, bo jej wychodzić nie wolno, ale że zakład zrobiła z towarzyszkami, iż się, nie umiejac języka, dopyta do pawilonu i cukierków przyniesie.

Bardzo ją to radowało, że zakład wygra, ale się strasznie obawiała spóźnić, bo musiała wracać póki księżna nie przyjedzie, inaczej by okropną dostała burę. Kto wie — może gorzej, gdyż księżna dobra jak anioł bywała szparka i gwałtowna okrutnie, czego zawsze potem żałowała. Dziewczę szczebiotało. — Dobek słuchał, a ta piosnka słów, jakoś mu nadzwyczaj mile brzmiała w uchu i szła aż do piersi, aż do serca. Dziewczę miało przy tym zadartym nosku i śmiejącej się buzi — oczki dziwne, siwe, niby takie pospolite jak

u wszystkich, a takie drapieżne, że tego w kogo się wpily poruszały do głębi. Dobkowi było niezmiernie przyjemnie ten wzrok łapać, ale razem i niepokój to w nim obudzało. Nietylko, że ją zaprowadził do pawilonu, ale czekał na wracającą i znowu, w obawie aby nie zabłądziła—odprowadzał nazad, aż pod pałac księżnej. — A gdy dziewczę go filuterynym pożegnało uśmiechem, gdy mu znikło z oczów, zrobiło mu się tak smutno, tak tęskno, iż do Manettona nie było sposobu powrócić. Wciąż te usteczka otwarte, nosek zadarty, pyszeczek różowy, i szare oczki niepocziwe, miał przed sobą.

— Ot—tom głupi! rzekł do siebie—ot, tom kapitalnie głupi! Czyż takiemu kłocowi jak ja się kochać. Tfu!!

Łajał się bez miłosierdzia—a nie pomogło to nic a nic. Nie wiedzieć jakim sposobem, gdziekolwiek teraz szedł, droga mu koniecznie wypadła pod samą oficynę pałacu księżnej de Nassau. I nigdy nie mógł pójść drugą stroną ulicy—zawsze to kałuża, to kamień, to drzewo zmuszało go pod same okna się cisnąć—któregoś dnia w oknie zobaczył różowy pyszeczek i uklonił mu się. Ukłon mu oddano, ale niewiadomo co to znaczyło—pogrożono mu na nosie.

Nie może znowu nawet uczoney! i spokojny człowiek znieść tego, ażeby mu kto na nosie groził i nie wytłumaczył się za co i dla czego? Dobek dostał się do oficyny na korytarz, i tam otrzymał wyjaśnienie.

— Za co mnie panna Luizetta groziła?

— Al! bo jakże można dwa razy na dzień chodzić pod oknami i ciągle oczyma tam czegoś szukać.

— Ale ja panny Luizetty szukałem.

— Dla czego?

— Bo mi bardzo miło na nią patrzeć.

Nastąpiło milczenie — dziewczę spojrzało na niego wzrokiem strasznie przejmującym.

— Cóż to ma znaczyć? spytała.

— Ja sam nie wiem. — Od czasu jakem miał przyjemność ją spotkać, bardzo mi do niej tęskno.

Popatrzyła na niego.

— Ale proszę ja pana, więc cóż? bo jeżeli pan się myśli kochać, ja uprzedzam, że się tego boję. Dopiero na Ś-go Ludwika zacznę rok piętnasty—słowo panu daję — nie kochałam się nigdy, nigdy. — Mogę na to przysiąc i to wiem, bom to jeszcze słyszała w Szwajcaryi i tu — że to się zawsze kończy bardzo niedobrze. Więc po cóż mamy się kochać?

— Ale kiedy się kochaniu oprzeć nie można.

— To, ja nie wiem, ja nie wiem — odezwiała się Luizetta. Ja inaczej bym nie potrafiła się kochać—*et faire l'amour*—tylko raz, na wieki, na całuteńkie życie. Widzi pan! a z was żaden, żaden—to rzecz dowiedziona—nie umie być stałym.

Z otwartością południowego strefy dziecięcia, bo trochę krwi włoskiej płynęło w żyłach Luizetty — wypowiadała się tak przed nim. Była to uwertura dramatu. Trzebaż mówić o tem, że Dobek odtąd szukał sposobów widywania się z Luizettą i że z tego wyniknął stosunek... miłość—przyjaźń — przywiązanie, nazwijcie to jak chcecie — które oboje uszczęśliwiała a czasem czyniło nieszczęśliwymi. Dobek pracował jak dawniej, lecz z większą do życia i pracy ochotą—choć nie pojmował jakby się to skończyć mogło! Ani on, ani ona nie myśleli o małżeństwie—szło tylko o to, aby się widywać i zostać sobie wiernymi. Luizetta obrała go sobie za brata—on ją nazywał siostrą. Stara to forma, odwieczna dziecinnych miłostek. Czasem i jej strach było, żeby księżnę Karolinę nie napadła nagle ochota jechać, albo na Podole do dóbr, albo do Petersburga do męża, albo do Francyi, ot tak sobie, — on też drżał, żeby mu nie zabrakło pretekstu bawienia w Warszawie.

Wszystko co zarabiał dzieliło się od czasu jak poznał Luizettę na dwie połowy—na książki i na łakocie, a podarki dla niej. Dziewczę lubiło słodczyce i cacka, a cieszyło się niemi jak dziecic. Ani on do niej się nie stroił, ani ona do niego—nie znajdowali potrzeby kokietować się—tak ja-

koś naturalnie się sobie kochali, iż im to na myśl nie przychodziło, a było im z sobą bardzo dobrze.

Tego dnia Dobek obiecał był przynieść jakąś książczynę Luizecie i z ogrodu wprost pobiegł do oficyn pałacowych. Na znak dany ku oknu wybiegło dziewczę żywo, rączkę wyciągnęło wołając—nie mam czasu! nie mam czasu! Dobek chciał choć w palce pocałować, dostał klapsa i Luizetta śmiejąc się znikła.

— Jutro! rzuciła mu przeze drzwi — z tą obietnicą poszedł rozmarzony do pałacu hrabstwa Chełmowskich.

Widać, że tu musiały być wydane rozkazy, aby go wpuszczono, gdyż kamerdyner w milczeniu, pokazał mu wschody boczne, i, nie zadając sobie pracy przeprowadzania go, nauczył że na pierwszym piętrze, ma szukać drzwi w prawo.

Znalazł je z łatwością Dobek, i zaledwie za klamkę poruszył, otworzyły mu się z drugiej strony — maleńki murynek po wschodniemu ubrany trzymał wartę w progu.

Ten sam drugie podwoje do apartamentu hrabiego otworzył w milczeniu.

Pokoje były urządzone staraniem pani, aby w nich najukochańszy małżonek mógł swych gości (jeżeli by się trafili) przyjmować.—Przepych był tak wielki jak miłość ex-Wojewodzinej i równie jaskrawy. Świeciło to od bronzów, zwierciadeł i jedwabów. Na kanapie leżał w stroju domowym pan Chełmowski, a u nóg jego strojna, wysznurowana siedziała żona, która go, o ile możliwości, nie opuszczała na chwilę. To *tête à tête*, przerwane wejściem Dobka, który nieśmiało się zatrzymał w progu, wywołało lekką chmurkę na czoło pani. Odpowiedziwszy skinieniem głowy na pokorny ukłon Dobka, powstała natychmiast, szepnęła coś na ucho małżonkowi, pocałowała go w czoło i wyszła.

Tomko wstał powoli.

Razem wyszli do drugiego pokoju, gdzie wspaniałe biuro w stylu Ludwika XV-go, opatrzone w najwykwintniejsze przyrządy do pisania, oczekiwało na poetę.

Obok stał fotel który zajął, wskazawszy u biura miejsce Dobkowi.

— Otóż widzisz—rzekł — ja powoli już całe poema w głowie układam.

Będzie w tureckim obozie. Niewolnica polska, a w wojsku jej kochanek? Rozumiesz? Spotkanie, gdy obóz rozbijają i ślub.

Prawda, że pomysł szczęśliwy.

— Cóż więcej? zapytał Dobek.

— A! otóż widzisz, więcej—to ty powinienes mi podać. Musi być dwanaście pieśni, bo widzę, że prawie zawsze bywa dwanaście. Na początku zawsze jest:

Śpiewam tego a tego, albo to a to.

Więc jakże?

Dobek się rozśmiał.

— Napisałeś już co?

— Ale jeszcze nie, mówię ci. Naprzód ty mi skomponuj imiona. Kochanka na przykład.

Wigoniowy surdut śmiał się coraz mocniej i zerwał się z krzesła.—Daj ty mi pokój! Obmyśl, ulóż, a naówczas, ja ci pomogę.

Chełmowski się zachmurzył.

— Ja na ciebie rachowałem.

Rozmyślił się Florek i ze studenczką weselością—odezwał się.—No — szukajmy imienia dla kochanki.

Chełmowski poszedł po kalendarz.

— Nie godzi się, będzie pospolite! imie bohaterki ukuć trzeba, na urząd. Tandetnego wzięść nie możemy.

— Pewnie że nie, jakie starożytne.

— Ale rzecz za Sobieskiego.

— Cóż to szkodzi.

Zaczęli szukać imienia. Między Aurelią a Sempronią—długo się chwiało, pozostał spór nierozstrzygnięty. Nazwisko bohatera nieskończenie trudniej przyszło zdobywać.

Chełmowski miał ten tylko dobry przymiot, że się nie spierał uparcie i rad był wszystko złożyć na współprac-

wnika.—Udawał, że kooperuje i pomaga, leżał w krześle, nogę na nogę założywszy i ziewał.

— Ale bo, wiesz co—odezwał się w końcu — my tak do niczego nie dojdziemy i to będzie nudne. Dałem ci pomysły, rzecz jak zrobiona, ty napisz, ja zapłacę i potem sobie z tego wykończę, przekształcę, już zostaw to mnie. Co chcesz?

— Dwanaście pieśni!

— Tak i żeby nieladajakie, rozumiesz.

Dobek znowu śmiać się zaczął.

— To doskonałe! zawołał.

Zaczęły się przypuszczenia ile to będzie czasu kosztować.

— Niech cię лихо—przerwał Dobek zapominając, że miał do czynienia nie z synem Kalefaktora, ale ze świeżym jak z igły hrabią.—Tobie to ma dać krzyż, reputację et caetera. Zapłać że mi dobrze.

— Naprzykład.

Flerek puścił wodze imaginacyi, znaczniejszej summy nie mógł nawet wymyśleć nad pięćdziesiąt dukatów.

— A! to drogo! krzyknął Chełmowski, to okropnie drogo—mnie jeszcze będzie druk kosztować.

— Jak chcesz—rzekł Dobek.

— Ja jeszcze będę to przepisywał—chcę mówić—przerabiał.

— Jak chcesz—powtórzył dawny towarzysz—ja czasu nie mam, mnie to też zabierze noc niejedną.

— Żebyś przynajmniej nie zepsuł mojego pomysłu.

— Pisz sam—rzekł Dobek.

Chełmowski się skrzywił.—Ale bo — jesteś dziś przemierźnie nudny, nie można z tobą dojść do rzeczy.

Flerek chwycił za swoją czapeczkę.

— Czekajże, czekaj, proszę cię, zobaczymy.

Targ się rozpoczął — ale nie trwał długo, Dobek się utrzymał przy swoim, a że myśl coraz więcej rozgrzewała

poetę, obiecał dziesięć dukatów dodatku, jeżeli poemat będzie bardzo ładny.

Na dobiecie targu, posłał Chełmowski po butelkę wina.

Wnosił je drugimi drzwiami murzynek, gdy tuż za nim zjawiła się niespokojna małżonka.

— Wiesz, moja duszko — odezwiała się do Tomka, że ci wino szkodzi, przychodzę dopilnować, aby niewięcej nad kieliszek... bo potem głowa boli.

Florek, który teraz w pełnijszym świetle, miał szczęście oglądać hrabinę—stał zaniemiał z zdziwienia. Pani Chełmowska pomimo największego starania o zachowanie wdzięków,— od niejakiego czasu niezmiennie się posuwała. Oprócz innych oznak dojrzałości, przybyło jej lekkie drżenie mimowolne głowy, niedodające wdzięku. Z tem wszystkiem uśmiech miał zakrój dziewiczy i naiwny, wszystkie ruchy obmyślane były na odmłodzenie.

Dobek się zapatrzył nieco nawet natarczywie i niegrzecznie, a jeszcze mniej właściwie — westchnął. Podano mu wino i to go ocaliło.

Hrabina zagadnęła przybyłego i zaczęła go, jako poinformowaną o poemacie, prosić aby temu biedaczkowi Tomkowi starał się pracę ułatwić.

— Bo on się tem myśleniem zamęcza, mój panie, mówiła szczebiotliwie.—Ale prawda, co to za jeniusz mojego męża, te pomysły! Zawsze ma pomysły. Ja się mu nie mogę wydziwić—zkaż się te pomysły biorą.

I pogłaskała go po głowie.

— Ja bardzo panu będę wdzięczną, za jego pomoc. Dosyć ażeby on rzucił myśli, a pan..... Bo jemu to siedzenie szkodzi i ta praca.

Chełmowski się nie odzywał wcale, a Dobkowi tak było jakoś przykro, patrzeć na małżeńską szczęśliwość swego towarzysza, iż co najprędzej wina dopijał, aby się uwolnić.

Podziękował za drugi kieliszek.

Gdy się pożegnał, Chełmowski, dla większej pewności, wyszedł za nim do przedpokoju i tu mu wcisnął zadatek.

Lżej odetchnął, gdy się za bramą pałacową znalazł Florck, popatrzał na smutny gmach... i rzekł w duchu.

— A niech cię — z twojem szczęściem? Ależ to baba!!

I śmiał się i smucił i myślał, jak też to losy dziwnie ludźmi miotają i wyprawiają z niemi dziwy? Historya dostarczała mu przykładów takich niespodzianek, szczególnie na Wschodzie, lecz w XVIII-ym w. wśród tej prozy dni powszednich, syn Kalefaktora na aksamitach i w brzozy oprawy!... Śmiał się Dobek i ramionami zrywał. — Czuł się tak jak był ze swemi butami i biedą nieskończenie szczęśliwszym i nigdyby był nie pomieniał swojego losu i oczek, które mu się śmiały, na te zaczerwienione powieki wybielonej pani, które, jak głowa, drżały znużone życiem. Wzdrygnął się.

Szedł dalej powoli, gdy z tyłu napędził go powóz wiozący państwo oboje. Pierwszy to raz ex-Wojewodzina pokazywała się na świat z mężem, rada pochwalić jego młodością. Nieszczęśliwy Chełmowski na pokaz wystawiony, miał oblicze chmurne i kwaśne. Słudzy na koźle drwili, wskazując ku wnętrzu powozu.

Pierwsza wizyta była do księżnej Karoliny de Nassau.

Gdy karetka zatrzymała się przed pałacem, i hrabia wyskoczył aby podać rękę żonie — los — przypadek zrzucił, że Luizetta wybiegła ze drzwi, spojrzała na tę parę, w ręce piasnęła, prychnęła i uciekła.

Nikt tego nie uważał, tylko Chełmowski postrzegł zgrabną dziewczę, a figurka jej i świeża twarzyczka, i oczki kolące, utkwily mu w pamięci.

Kontrast zaledwie rozkwitającego pączka z obliczem starej pani, jeszcze go uczynił świeższym, wdzięczniejszym, śliczniejszym, obok matrony, która mu swemi czułościami nie dawała spoczynku. Ukradkiem powiódł za nią oczyma.

A że nie patrzył pod nogi, o mało nie upadł na wschod-

ku, co byłoby za sobą pociągnęło hrabinę, która krzyknęła z przestachu po francuzku.

A Luizetta zasłaniając usta dłonią—uciekła.

Jednego wieczora na zamku — gdzie już oddawna czwartkowych obiadów nie bywało — zebrało się towarzystwo, w którem miłośnicy literatury w znaczniejszej się liczbie znaleźli. — Ks. Biskup Naruszewicz, Albertrandi, Trębecki, Łojko, Niemcewicz, którego talent młodzieńczy już się poznawać dawał, ks. Adam generał Ziem Podolskich, Mostowski, starsi i młodszy... zasługi i nadzieje. — Król, acz czem innem zajęty, łatwo się zawsze dawał sztuką i literaturą odciągnąć od trosk codziennych. Na stole były świeżo posprowadżane książki francuzkie, chociaż te coraz teraz mniej w kołach zachowawczych znajdowały admiratorów. Z zachwytem rzucono się na przedświt jakiejś nowej ery, której nie przewidywano następstw koniecznych. Z nieubłaganą logiką rzucone nasiona myśli rozwijały się w groźne skutki, owładwały całym społeczeństwem, groziły obaleniem istniejącego porządku. Ci co najzarliwsi byli wielbicielami Voltair'a, Rousseau, Diderot'a, Dalamberta, cofali się teraz z przerażeniem, widząc do czego prowadziły wygłaszane przez nich zasady.

Na zamku też dawne uwielbienie dla koryfeuszów ostygło bardzo. W początkach zdawało się, że idee nowe prześlizną się po powierzchni, jak modna narzutka nakrywając strój staroświecki, teraz widocznem było, że się nie obok nich ostać nie mogło całem.

Domowa literatura epoki, w czasie sejmu tego była, acz zlagodzonym odbiciem, cohem wibracyi na zachodzie. Rozpoczął ją potężny głos Staszica, z wielką gwałtownością i radykalizmem, domagający się nowej podstawy społecznej—dobrobytu ludu. Od tej pory, mniej więcej powołani, wykształceni i nieprzygotowani, co chwila się odzywali o reformy wołając. Komu brakło trybuny, z którejby

się mógł odezwać, drukował na bibule u Grölla, kilkanaście stronic i miotał je jak zagiew między tłumy. Nigdy tyle świstków, pamfletów, rozprawek, projektów nie wydały drukarskie prasy, jak w tej chwili i nigdy tyle dowcipnych poezyj, satyr i bajek nie krążyło w odpisach, nigdy tyle nieznanymi talentów nie objawiło się na raz.

Król niemal wszystko przerzucać był zmuszony, lub kazał sobie z tego zdawać sprawę. Niektóre gwałtowne wystąpienia do myślenia dawały.

Stara falanga literatów jak Naruszewicz, Trębecki, Krasicki, milczała teraz, przekrzyczano ją i zagłuszono. Kiedy niekiedy tylko pan Szambelan (Trębecki) potężnym swym głosem, ozwał się w obronie króla i jego sprawy.

Dowcipny i łatwością niezmierną obdarzony wychowaniec księcia jenerała Ziem Podolskich, Niemcewicz był jednym z najczynniejszych w tej chwili. Pomagał Bogusławskiemu w teatrze, Mostowskiemu w gazecie, Ignacemu Potockiemu w prawodawczych projektach — a bajki jego lataly po salonach, razem ze złośliwymi ucinkami, które gęsto sypał na nieprzyjaciół.

Pomiędzy kobietami, które się tego dnia na zamku znajdowały, była i księżna de Nassau. Znano ją z tego, że wprawdzie niezmiernie zabawnie opowiadała, ale... ale jej relacyom, nigdy dać wiary nie było można. Mówiono coś, wypadkiem o Chocimskiej wojnie Krasickiego.

— Bardzo to piękny poemat — rzekł król, a nikt pewnie nie jest gorętszym ks. Biskupa wielbicielem nademnie, lecz jak Henryadzie Voltair'a, tak i Wojnie naszej tytułu Epopei przyznać trudno.

— Ha! przerwał ponuro Trębecki, niby to Epos można stworzyć, gdy się zechce. Mnie się zdaje, że to nie może być robotą jednego człowieka. Wprzód lud przygotowuje na to ciasto, a gdy je dobrze umieci, poeta z niego dopiero bulki lepi i chleb piecze.

Dodać należy, iż niezawsze Chronos czy Saturnus do-

brze w piecu napalili, raz się bulki na węgiel spieką, to z zalkcem wyjdą...

I urwał.

— Arcysłuszną uwagę — szambelana, zawołał król. Homer wziął z ust ludu epopeję. — Eneida kunsztowniejszem jest dziełem, ale — w sens pana Trębeckiego mówiąc, — Illiada na rodzinnym kwasie pieczona, a Eneis na drożdżach, całe to co innego.

Naruszewicz głowę skłonił.

— Illias — karmić może wszelki lud Boży, gdy bułeczka Virgiliuszowa dla delikatnych jest podniebień zrobioną — dorzucił cicho. Wielka prawda.

W tem z siedzenia żwawo i porywczco podniosła się księżna Karolina, biegnąc ku królowi.

— A ja W. Ks. Mości i wszem w obec tu przytomnym, a każdemu z osobna zwiastuję, że będziemy mieli Epopeję. Nie wiem, zapewne pieczoną na drożdżach, ale doskonałą. I dygnęła.

— Któż to nam ją da? grubo ironicznie ozwał się Trębecki — ciekawym bardzo.

— Zupełnie nieznany geniusz, na którym się jedna tylko ex-Wojewodzina poznała — a! mylę się — przepraszam, i książę ex-Podkomorzy.

Usłyszawszy swój tytuł stary książę, który coś szeptał na ucho pani Krakowskiej, porwał się i przybiegł ze swą ruchliwością młodzieńczą.

— O mnie mowa? co? co?

Księżna Karolina rozśmiała się.

— Nigdy nie powtarzam co raz mówiłam, jeśli książę nie słuchał, tem gorzej.

— Lecz zkądże się mu zebrało na Epopeję? spytał król.

— Ja myślę, odparła księżna nie zważając na przyśłuchującego się i usiłującego odgadnąć sens rozmowy starego ex-Podkomorzego — ja myślę, że go miłość natchnęła. Kochający, kochany!

Ręce księżna podniosła do góry i zaczęła się śmiać, śmiać, aż musiała odejść ku kanapce.

— Księżna sobie z nas żartuje? odezwiała się siostrzenica króla pani Mnischowa.

— Ale nie a nie! Mówię szczerą prawdę, co sejm gotuje, i co ks. Piatoli z p. Ignacym i ks. Kollątajem robią—nie wiem, ale że mąż ex-Wojewodziny kuje epopeję w pieśniach dwunastu, za to zaręczyć mogę.

Słuchacze spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

— O ile z poprzednich dzieł tego jegomości wnosić można—odezwał się Trębecki—będzie to Epopeja na funkcji do korzennych sklepów, a nie dla naszych uszów przeznaczona.

— Cóż za przedmiot? Nie wie księżna? spytał zaciekawiony Niemcewicz trochę ironicznie.

— Jakżebym ja nie wiedziała? ja? ja co wiem wszystko.

— Tak, nawet to co nie było nigdy i nie będzie—mruknął Trębecki cicho.

— Więc?

Oczy i uszy zwróciły się ku księżnie Karolinie. — Cicho się stało w salonie.

— Tytuł poematu, *Janina*.

— Janina?? cóż to kobieta? szeptały panie.

— Domyślam się, że o Janie III-im pod jego herbem mowa—rzekł król. Przedmiot wspaniały, heroiczny, oswobodzenie Wiednia!!

Trębecki głową kręcił.

— Dowiedziona rzecz, że się najnicudolniejszym zachciewa tego, na co się najzdolniejsi porywać nie śmieją. Ale—to nieuk! to hebes.

Milczeli wszyscy — gdy to mówił Trębecki, i potem nikt się odzywać nie śmiał.

— Ciekawą nam pani rzecz prawil — szepnął król.—Spodziewam się, że to nie mystyfikacya.

— A! nie—zawołała księżna. Ex-Wojewodzina unyśli nie mi się z tem przyjeżdżała chwalić. Wprawdzie na jej sądzie niewiele polegać można, lecz ona jest w zachwyceciu po odczycaniu pierwszej pieśni.

Rozmowa o tym bajecznym poemacie rozpoczęła się żywa bardzo. Nikt bardzo księżnie Karolinie wierzyć nie chciał; sceptycznie się uśmiechano. Starzy szczególnie i ci co widzieli Chełmowskiego, gdy był na zamku, a z twarzy o zdolnościach sądzili—wcale o poemacie mówić sobie nie dawali. Miano to za sensacyjną plotkę pani de Nassau.

Gdy się przytomni goście pobierali w gromadki, król zbliżył się do księżnej.

— Bardzoś mnie pani zaintrygowała swoim poematem — odezwał się — zwłaszcza, że jego przedmiotem jest mój ulubiony bohater Jan III-ci. Niewiele tuszę o wartości rzeczy—lecz któż odgadnie pod jak niepozorną czasem powierzchnością ukrywa się skarb najcenniejszy? Któż wie! Uczyniła byś mi księżna wielką przyjemność, gdybyś swojej przyjaciółki męża, nakłoniła. aby niekiedy wieczorem, w Łazienkach, *en petit comité*, coś z tego przeczytał?

— Kiedy W. Kr. Mość rozkażesz! chętnie! odparła Nassau.

— Otóż co do dnia—księżna wie—ja teraz panem mojego czasu nie zawsze jestem. Dzień naznaczę, dam znać.

— A ja go przygotowuję.

— *Infiniment obligé!* rzekł król wzdychając. Proszę się nie dziwić, że sobie szukam rozrywki—mam do niej niejakić prawo.

— Jak największe, potwierdziła księżna i odchodząc na miejsce—szepnęła do siebie.—*Le tour est joué!*

W istocie ex-Wojewodzina uprosiła była przyjaciółkę o to, aby wcześniej rozgłos nadała poematowi jej męża—i to się tak szczęśliwie udało.

Król tego wieczora. łagodną uczynił wymówkę posłowi inflanckiemu za jego bajkę o Kretach, mówiono potem o jakiejs komedyi nowej, którą się grać przygotowywano, a pa-

ni de Nassau weześnie się z zamku wysliznęła. Wieczory też tu nigdy nie trwały do późna, bo król przed jedenastą usnwał się do swych pokojów, dla dyktowania korespondencyi i dziennika.

Nazajutrz pilno było księżnie pojechać do swej przyjaciółki tak, że ją zastała jeszcze do ukazania się na świat nieprzygotowaną. Służące zajęte były restauracją wdzięków. Napróżno księżna domagała się przypuszczenia do przybytku tajemniczego, w którym się to odbywało, nie otwarto go przed nią aż ex-Wojewodzina zupełnie gotową nie była, wytynkowaną na nowo, upudrowaną i przystrojoną.

— Mój aniele drogi—odezwała się witając otwartemi rękami — stokrotnie cię przepraszam — daruj mi, przebaczyć? Ty wiesz, my nieszczęśliwie potrzebujemy tylu starań, aby wdzięk jakiś utrzymać. A ja dziś, mając tak młodego, ślicznego męża, który mnie tak kocha, tak kocha! muszę mu się podobać i być zawsze *sous les armes*.

— Niepotrzebne obawy! śmiejąc się i przyglądając wyfiokowanej staruszce poczęła ks. Karolina. Pani mi jesteś zawsze piękną, śliczną.

Wojewodzina spojrzała w zwierciadło.

— Tak, moja droga, —jestem dosyć dobrze zachowaną! A jednak, lękam się—ah! obawiam się okrutnie, bo go Kocham. Z każdym dniem przywiązuję się więcej, a on.

— A on? spytała ciekawie księżna.

Gospodyni zmięszała się — znać wygadawszy mimowolnie.

— Cóż on? co on?

— A! nie! nie! On jest zawsze dla mnie czułym, lecz pilnować się muszę.—Westchnęła. Lękam się jakiego bałamuctwa.

— On nigdzie nie bywa, trzeba go zająć w domu.

— Tak, właśnie zachęcam go do poezyi, do której taki talent, taki ma jeniusz.

— *À propos*, ja właśnie z dobrą przychodzę nowiną!

Słuchaj! Już o poemacie rozgadałam, rozbębniłam jak mogłam tylko. Wszyscy, ale król szczególnie, nadzwyczaj ciekawy. Obiecał dać dzień, ażeby *en petit comité* mógł posłyszeć ten utwór twojego męża.

Ex-Wojewodzina rzuciła się zachwycona na szyję księżnej Karoliny.

— Dobrodziecko moja! co za szczęście! a! lecę — powiem mu! Kiedy?

Dzień będzie naznaczony. Przygotujcie go.

To powiedziawszy i unikając podziękowań, zawsze śpiesząca się pani, zakręciła, pożegnała i już do powozu biegła, przeprowadzana przez gospodynię, która wprost potem do pokojów męża, nie zważając na wschody, ile sił stało, pośpieszyła z dobrą nowiną, Księżna jechała do domu. Była to na nieszczęście godzina właśnie, gdy Dobek, który rachował na to, gdy pani nie było w domu, widywać się był zwykł z Luizettą. — Ponieważ na korytarzu przeszkadzano ich rozmowie, dziewczę korzystało z odjazdu pani i zaprowadziło Florka dla swobodniejszego pogawędzenia, do przedpokoju pałacowego. Tu—tak się dobrze zagadali, zamysłili, że się niepostrzegli wcale, aż drzwi otwarły się z trzaskiem i księżna Karolina wpadła.

Dobek klęczał na jedno kolano przed Luizettą i trzymał jej rękę. Dziewczę śmiejąc się patrzyło mu w oczy. Na widok surowej opiekunki, której twarz okryła się rumieńcem gniewu, i której gwałtowność знаło dziewczę, krzyknęła Luizetta i o mało nie padła.

Zc zinarszczoną brwią, jak straszliwy sędzia, wpadła księżna de Nassau. Nikt nad nią dla fraucymeru surowszym być nie mógł.—Wiedziała o tem sierota i struchlała.

Fantastyczna we wszystkim księżna, miała swe złe i dobre godziny—zdarzyło się właśnie, iż na pierwszą trafili nieszczęśliwi kochankowie. Dobek stał jak winowajca, życząc sobie żywcem zapaść się w ziemię.

Mileząc księżna podstąpiła ku nim.

-- Nie pytam kto waćpan jesteś, rzekła — widzę z po-

wierzchowności żeś wcale nie z dystyngwowanego świata. Jak waćpan śmiałeś za tą dziewczyną wkładać się do mojego domu?

Zwróciła się do niej.

— Jak ty śmiałaś tu kogoś wprowadzić? Ty, coś mi winna wszystko, której dałam przytułek, której losem zajęć się chciałam, sądząc, że poczciwie się będziesz prowadzić. Wczesnie zaczęłaś waćpanna.

Dobek się chciał odezwać.

— Milcz waćpan — krzyknęła księżna, tu nie ma wymówki żadnej, nie ma żadnego tłumaczenia. — Kochasz się w tej dziewczynie, weź że ją sobie, ja jej ani znać, ani widzieć nie chcę. Dziesięciu minut nie dam jej zostać pod moim dachem. Jak stoi niech z waćpanem rusza. Rozumiesz waćpanna. Nawet do oficyn po rzeczy, nie masz prawa wejść, tylko z tym panem zaraz precz z mojego domu — precz! precz.

Luizetta płakała, nie zmiękczyło to bynajmniej srogiej pani, której znać szło o to, aby dać przykład surowy fraucymerowi.

Dobek zawstydzony był zrazu i przełękły, potem oburzony. Nie wiedział wprawdzie wcale jak sobie da radę z dziewczęciem, ani gdzie ją umieścić, ani z czego żyć będą, ale podał jej rękę i rzekł.

— Chodźmy więc.

Księżna popatrzała gniewna; Luizetta wciąż chciała jeszcze przybliżyć się do niej, upaść do nóg — a pani uciekała w głąb pokoju.

— Mój wyrok jest nieodwołalny. Proszę abyś waćpanna ani zachodziła do oficyny, ani się żegnała z nikim — i uwolniła mnie od swej przytomności, precz! precz.

— Tylko do wieczora, tylko parę godzin, ja się wybiorę, ja do Szwajcaryi powrócę — łkało biedne dziewczę. O! moja pani! ja jestem niewinną! zlituj się nademną. Dobek miał ją wyprowadzić, gdy księżnę głos łkający poruszył, odwróciła się.

— Dobrze — rzekła — pozwałam zostać do wieczora, z nikim nie mówić, iść na górę, upakować się, wybrać i bez pożegnania ze mną, idź waćpanna gdzie chcesz, gdzie oczy poniosą, ja widzieć i znać jej nie chcę.

Gdy księżna znikła, Dobek się starał uspokoić dziewczę, zaręczył jej że do wieczora znajdzie dla niej schronienie przy jakiej rodzinie, że jej nie opuści, że życie gotów stracić, by naprawić błąd swój. Luizetta płakała gorzko.

Wprawdzie mogło się jej, w inną złą godzinę trafić zupełnie to samo za rozerwaną koronkę lub coś nie pomyśli księżnej wykonanego—ale i ona i Dobek nieszczęście przypisywali swej nieopatrności.

Płacząc wbiegło dziewczę na górę pakować się do drogi w nieznany, szeroki, straszny świat. Florek przeprowadził ją uspokajając aż do drzwi, ale gdy rękę chciał wziąć do pocałowania, wyrwała i drzwi zatrzasnęła za sobą, nie odezawszy się słowa.

Jak szalony wyleciał biedny chłopiec wprost do swojego protektora Dekerta. Ten czem innem miał zaprzętniętą głowę i w całej tej historii widział tylko płochą dziewczynę, która ze spokojnego człowieka czyniła sobie igraszkę, rzucając mu się na głowę. Z niezmierną trudnością przyszło Dobkowi, poprzysięgając, zaręczając, modląc się, przekonać Prezydenta, iż Luizetta godną była jego opieki.

— Do mojego domu za nic w świecie wziąć jej nie znając nie mogę, a przyznam się waćpanu że szkoła z której wychodzi, od ks. de Nassau niebardzo ją zaleca. Pomogę mu do umieszczenia jej gdzieindziej, a jeśli się to do wieczora nie da zrobić, niech na gorze przenocuje. Jutro znajdziemy coś—musimy.

— Ale ja się z nią ożenię! to moja narieczona! zawołał Dobek.

— Nie śpiesz się—proszę cię—nie śpiesz się — odparł Dekert poważnie.—Ożenisz się gdy zechcesz. Nie przeczę, i nie mam do tego prawa. Należy się jednak wprzód rozmyśleć.

I stary uśmiechał się z gorączki pocziwego młodzieńca, który łez miał pełne oczy.

— Ja jadę do miasta—dodał Dekert — poszukam domu, gdzieby pod surową i pilną opieką mogła waćpana narzeczona pozostać. Wy, panie Floryanie, pracujcie niewychodząc około memoryału i spuście się na mnie, moglibyście znaleźć coś stosowniejszego. Żal mi was.

Gdy Dekert wyjechał, Dobek po raz pierwszy w życiu, nie czując ani sił ani ochoty do pracy, złamany padł na łóżko i ciągle lży czując na powiekach, został tak w niemem jakimś osłupieniu. Pragnął śmierci — tak sobie miał do wyrzucenia los biednej dziewczynki.

— Popełniłem zbrodnię! mówił do siebie—dla spędzenia kilku chwil przyjemnych, poświęciłem los niewinnej istoty.

W istocie w całym tym stosunku, który się zaczął i skończył na pocałowaniu ręki — nie było nic zdrożnego. Kara przechodziła przewinienie, lecz na to nie było ratunku. Popędliwa księżna popełniła niesprawiedliwość, na którą skarżyć się nie było komu.

Leżał tak Dobek, gdy szybki chód usłyszał w korytarzu. Był pewien, że ktoś przechodzi tylko, bo u niego nikt prawie nie bywał i nie miał interesów, gdy drzwi się otwarły gwałtownie i najniespodziewańszy gość się w nich ukazał—Chelmowski.

Oczom swym wierzyć nie chciał Dobek, ów hrabia co nigdzie nie wyjeżdżał, z odwiedzinami u niego? Wstał powoli, lecz, nim się przywitali przybyły postrzegł zapłakane oczy i znięszaną twarz towarzysza szkolnego.

— Co tobie jest.

— Co mi jest?—jestem nieszczęśliwy! jestem najnieszczęśliwszy z ludzi, jestem występny, brzydzę się sobą—światem, wszystkim.

— Cóż to jest? co ci się stało?

Dobek nie odpowiedział nic, odwrócił się do ściany, mimo męstwa swego i energii płakał.

Nie na rękę to było panu Chelmuwskiemu, który ani w odwiedzin, ani dla pocieszenia go przybył, ale za bardzo pilnym interesem. Dobek był mu w tej chwili potrzebniejszy niż kiedykolwiek.

— Ale, mój Florku—rzekł protekcyonalnie—ja—jak ci się domyśleć łatwo, nie przybyłem tu z wizytą, mam do ciebie interes. Czasu, czasu mi brak, pilno. Interes największej wagi.

— Daj mi pokój z sobą, ze swemi interesami, ze wszystkim—nie chcę o niczem słyszeć, niezdolny jestem do niczego—daj mi pokój.

Oburzyło Chelmuwskiego tak bezwzględne postępowanie z nim, od którego się już odzwyczaił pieszczoch, bo w domu przed nim, począwszy od żony, na twarz padali wszyscy.

— Ale, mój panie, odezwał się surowo, my mamy z sobą umowę, jesteś jej obowiązany dotrzymać, ja chcę....

Dobek ręką dał mu znak, aby sobie szedł gdzie chciał; a bez Dobka przepadł poemat i wszelkie na nim ugruntowane nadzieje. Chelmuwski widząc, że z tego tonu nic nie zrobi, począł łagodniej.

— Florek! na miłość Boga! powiedzże mi co ci jest! Na wszystko w świecie jest jakaś rada, ja ci mogę być pomocnym, ale ty mnie nie opuszczaj. Mów — przecież byliśmy kolegami, widzę, że się z tobą coś okropnego stało, jeżeli mogę—dopomogę ci.

— Ty, ani w świecie nikt, pomódz mi nie może.

Po długich domaganiach się Chelmuwskiego, naostatek Florek opowiedział historię swoją.

— Słuchaj, rzekł po namyśle nowy hrabia—mojej żonie tak samo idzie jak mnie, aby tę *Janinę* doprowadzić do końca. Jeżeli dla twojej spokojności potrzeba twej narzeczonej przytulku—ja uproszę żony, aby ją wzięła do siebie. Daję ci słowo, zrobi to — dla poematu. Wprawdzie w domu młodych dziewcząt nie lubi, i same stare, okropne trzyma, ale—sądzę, że dla ciebie, na jakiś czas uczyni wyjątek.

— W takim razie, składając ręce zawołał Florek—
daję ci słowo, zaprzędam się wam duszą i ciałem! Piszę dla
ciebie, służę—pokoje ci będę zamiatał.

— Ale tu chwili nie ma do stracenia—rzekł Chełmowski.—Król ma nas zaprosić do Łazienek na czytanie. Trzeba żeby choć jedna pieśń była gotowa. Ja już jej przera-
biać nie będę, zawsze pomysły są moje.

— Wszystko twoje! przerwał Dobek.

— Tak, dobrze—lecz ja jeszcze muszę się nauczyć czy-
tać, i....

— Jedź i proś żony—na miłość Bożą—jedź—a zrobię
co zechcesz! wołał Dobek.

— Jadę i za godzinę ci dam znać. Odwieziesz swą
narzeczoną do nas, a my musimy z sobą mieć konferencyę.

To mówiąc hrabia wyszedł, a Dobek wielkimi krokami zaczął się po pokoju przechadzać.

Nadzieja ratunku błyskała przed jego oczyma. Gotów
był do największych poświęceń.

Niezmiernie długą wydała mu się ta godzina oczeki-
wania. Chełmowskiemu też nie przyszło łatwo uprosić żo-
nę, aby dała przytułek młodemu dziewczęciu. — Obawiała
się tej świeżej twarzyczki w domu, tej pokusy. Niedosyć
była pewną męża, którego miłość stanowiła jej życie. Dała
się jednak uprosić, zawarowawszy sobie, aby dziewczę zo-
stawało pod ścisłym nadzorem starej ochmistrzyni pani Żo-
łudkowej. Chełmowski się zgadzał na wszystko, szło mu
o Dobka i poemat. Napisał kartkę i wysłał ją do dawnego
kolegi.

Uszczęśliwiony chłopak, nie czekając już na Dekerta,
chwytając pierwszy ratunek jaki mu się nastręczył, pobiegł
nając fiakra i zajechał z nim przed oficynę księżnej.

Luizettę znalazł z oczyma czerwonymi, nieplaczącą
już, lecz milczącą i gniewną. Nieszczęście swe przypisywa-
ła nie sobie ale kochankowi, powzięła ku niemu rodzaj
wstrętu i nienawiści. Gdy jej rozpowiedział gdzie ma być
umieszczoną, przyjęła to obojętnie, prawie nie mówiąc sło-

wa, rzeczy zabrać kazała i wyszła z nim. W powozie odsunęła się nie dając mu przybliżyć do siebie, patrzyła przez okno, nie mówiła słowa, niepodobna ją było przebłagać. Napróżno zaklinał Dobek. Dziewczę gniewne dojechało do pałacu, wysiadło milczące, nie pożegnało nawet biedaka i natychmiast uciekło na górę z panią Żołudkową, która na przeciw niemu wyszła.

Chociaż poematem zajęty, Chełmowski był trochę ciekawy i urządził się tak, ażeby przechodzącą narzeczoną kolegi zobaczyć. Poznał w niej łatwo tego trzpiota, którego widział wchodząc na wschody do pałacu księżnej.

Śliczna buzia rumiana, uczyniła na nim wrażenie.

— Jak się to dziwnie składa! zawołał w duchu!! Przedziwnie!! Ex-Wojewodzina kazała też sobie zaprezentować Luizettę, aby jej dać naukę moralną. Nauczyła ją, że nie powinna się nastroczać na widok młodych ludzi, że ma zostać wierną swojemu narzeczonemu, sprawować się statecznie, a naówczas może być pewną jej protekcyi.

Miło jej było, że dziewczę tak ładnie mówi po francuzku,—zyskało mu to nawet pewien szacunek u całego dworu. Pani Żołudkowa wzięła Luizettę pod szczególną opiekę.

Tymczasem w kancelaryi pana Chełmowskiego gorąco się zajmowano Janiną. Dobek już był, nie zadając sobie zbytniego wysiłku i pracy wypalił, kilkaset wierszy. Pieśń pierwsza była gotową i parę epizodów do dalszych.

Chełmowski, który miał zrazu ochotę przerabiać, żeby temu nadać jakąś cechę własną, pomiarkowawszy się odstąpił od tego zamiaru. Chciał się tylko nauczyć deklamacyi, a i z tem dosyć szło ciężko. Dobek czując to co napisał, czytał dobitnie i dobrze, Tomko się jąkał i znać było, iż rzecz mu była obcą. Powtórzyli parę razy. Sam autor zrobił kilka poprawek, Chełmowski czytał, uczył się. Przesiedzieli tak do wieczora.

Być bardzo może, iż pan hrabia nie dosyć uwagi przykładał do poematu, mimowolnie bowiem po głowie chodziła mu dziewczyna ta, i pozbyć się jej nie mógł. Taką, bo mu

się wydawała ładną, świeżą jagódką! Umówiono się aby Dobek przybył nazajutrz i gdy tylko będzie mógł, dla dalszego wykończania poematu.

Nietrzeba go teraz było zachęcać nawet, gdyż Luizetta ciągnęła. Spodziewał się przebłagać ją nareszcie, a potrzebował pomówić z nią o przyszłości.

Nazajutrz, gdy się zjawił u drzwi pani Żołudkowej, Luizetta kazała mu powiedzieć, że chora jest i widzieć się z nim nie może. W istocie zaszła w jej usposobieniu dla Florka, którego lubiła, zmiana dziwna—miłość nagle obróciła się w nienawiść. Dobek znowu był najjaśniejszym z ludzi, dopóki całując ręce starej Ochmistrzyni, nie wybłągał aby go do Luizetty wpuściła. Dziewczę go przyjęło surowo, wyrzutami strasznemi, on do nóg jej się rzucił, płakał, prosił i nareszcie zmiękczyć potrafił. Nastąpiła zgoda. I lorkowi twarz się wypogodziła. Po kilku też dniach Luizetta odzyskała swą wesołość i trzpiotowatość. W tym domu, gdzie same stare były kobiety, smutne, znudzone, przybycie tego dzwonka i uśmiechu, ożywiło wszystkich, nawet ex-Wojewodzina, poważna, podejrzliwa, nie lubiąca młodych, zaczęła się przyzwyczajać do Luizetty, i, gdy męża nie było, wołała ją do siebie dla rozmowy. Kilka razy Chęłmowski ją zastał u żony, lecz na dany znak dziewczę natychmiast uciekało.

Wszystko więc składało się jak najpiękniej, lecz—obietnica zaproszenia do Łazienek dla czytania poematu—której dotrzymania wyglądano z taką ciekawością — znać została zapomniana. Nie dawano wiedzieć o dniu naznaczonym.

Ex-Wojewodzina jeździła dwa razy do ks. de Nassau, ale ta już była tak zajęta muzyką nowej opery, iż o wszystkim dla niej zapominała.

Król też do zbytku miał na głowie, aby go poemat mógł tak bardzo obchodzić.—Zapomniał o nim jak o wielu innych, wczoraj najgoręcej upragnionych rzeczach.

Dawało to czas wykończania Janiny, której mało nie

sześć pieśni stało gotowych. Dobek dodawał epizody, plan zmieniał, zajmował się tem gorąco i niemal tyle go obchodziła Janina co Luizetta. Zrazu lekce sobie ważył zadanie, dopiero głębiej sięgnąwszy w epokę, czytając dziejopisów, grzebiąc się w aktach, znajdując coraz jakiś brylant do osadzenia w tym wieńcu, pokochał pracę którą zaprzedał nim dokonał.

Nie szło mu o to, czyj będzie poemat ale jakim się on stworzy. Cieszył się, że Chełmowski, zawsze naiwnie przekonany, iż pomysły były jego, nie już nie zmieniał i nie psuł.

Pierwsza pieśń szła mu bardzo ciężko, potem nabral wprawy, wdrożył się i wiersz płynął swobodniej. Wczytywał się w Trębeckiego, w dawnych poetów, w tłumaczenie Tassa przez Kochanowskiego, i wyrobił sobie styl, z którego prawie był zadowolniony. Stawał się dziecinnym i deklamując ustępy, unosił się wołając:—To piękne, a Chełmowski odpowiadał naiwnie:

— W istocie ten pomysł mi się udał, i ja z tego kontent jestem.

Prawie znośnie nauczył się już czytać pierwszej pieśni Chełmowski i obawiać zaczynał, aby nie zapomniał, a z Łazienek posła jak nie było tak nie było.

Sława poematu jednakże przez różne osoby rozchodziła się po mieście, i na Chełmowskiego spoglądano z tem zajęciem, z jakim się patrzy na istotę zagadkową, w której głębinach coś ukrytego dla świata niedostępnego, tajemniczego się mieści.

Takimi dla zdala patrzących wydają się wieszczce;—ogół radby się zbliżył do tych ubłogosławionych, zdaje się każdemu, iż zajrzy w ten przybytek, z którego wylatują pieśni złotoskrzydłe. Jakże często zdumienie opanowuje tego co z drzeniem przystępował do kapłana, a znalazł w nim,—najpospolitszego w świecie brata po słabości i grzechu. Bo poeta jest nim w tych kilku godzinach namaszczenia, gdy duch zstępuje nań, gdy mu mówić każe, gdy przez

niego się odzywa, często tak iż on sam nie wie co rzekł idła czego. A gdy przejdą te chwile ekstazy, narzędzie ducha, owa trąba przez którą słyhać było głos z góry, staje się niemą. I mieszkają w niej często wróble i snują sieci pająki i wiatr lata po niej a jęczy.

Na Chelmskiego, który Bogu był winien ducha, jak się wyraża mowa nasza, patrzano tak z podbudzoną ciekawością, pokazywano go sobie palcami.

— Był to ten co pisał poemat.

Wysmienicie czasem żyć można lat kilkadziesiąt na takiej reputacyi i z tego kapitału pobierać procent niewielki, niekiedy znaczniejszy niżby go istotna praca przyniosła. Wypowiedziany człowiek podpada krytyce, a krytyka jest nietylko zawsze możliwą, lecz zawsze być może zabójczą, dosyć jest by się przysiadła z jednej strony i przymrużyła jedno oko,—człowiek zaś *przy nadziei*, wzbudza uszanowanie jak zamknięta skrzynia, w której mieścić się może skarb, równie jak stare galgany.

Tajemnicy Chelmskiego nikt nie był świadom, nawet żona się jej nie domyślała, Dobek nie mówił o tem nigdy nikomu, ex-Wojewodzina miała go za sekretarza i obchodziła się z nim jak z biednym protegowanym.

Ciągnęło się to tak tygodnie, przeciągnęło miesiące. Król z letniego mieszkania wyjechał do zamku, jeździł do Kozienic, a o zaproszeniu słyhać nie było. Luizetta siedziała pod opieką pani Żołudkowej, lecz teraz coraz częściej przechodziła do pokojów. Starą panią opuściła jakoś zazdrość i nieufność, zdało jej się, że mąż nadto namiętnie do niej jest przywiązany, aby nawet spojrzal na tę dziewczyninę, podlotka, w której (zdało jej się), nie było znowu nic tak bardzo osobliwego.—Luizetta umiała się jej zręcznie przypodobać, przypochlebić, zabawić. — Śmieszyła ją konceptami, udawała przed nią z doskonałą mimiką rozmaite osoby. Miała do tego talent osobliwy, była urodzoną aktorką.

Miłość Dobka, teraz gdy się mógł do niej zbliżyć swoim
Kawal Literata.

hodniej, stawala się z każdym dniem głębszą, silniejszą, gwałtowniejszą. Trochę mu nawet szkodziła w pracy, w której się zaniedbywał.

Dziewczę ze swej strony, kokietując go i pomiatając nim zuchwale, więcej się z niego śmiało, niż okazywało przywiązania. — W miarę jak się tu czuła pewniejszą na dworze ex-Wojewodzinie i rozpatrywała w bardzo podrzędnej roli, jaką odegrywał w świecie jej narzeczony — ostrygała dla niego. Mówili jej to wszyscy, począwszy od ex-Wojewodzinie, że z jej twarzyczką i sprytem, daleko lepszy los zrobić może. Trafiało to do przekonania dziewczyny.

Chelmowski nadzwyczaj ostrożnie, zdaleka, lecz z niesłychaną pożytecznością spoglądał na podlotka. Zbliżał się ostrożnie, kolując, powoli. Przed żoną udawał nawet czasem, że w niej wielkie znajduje wady. Cieszyło to starą panią. Krytykował jej mniemaną jak mówił piękność. To ją zupełnie uspokoiło. Znajdował, że zbyt była rozrzepała i niezgrabna.

Ex-Wojewodzinie szło o to niesłuchanie, ażeby jej mąż nauczył się po francuzku; pomimo wstrętu jego do pracy, wymogła na nim że brał lekcyje tego języka. W wielkiej tajemnicy przychodził codzień L'abbé Renaud, który był sekretarzem przy pani Podolskiej i zamknięty na klucz z Chelmowskim, męczył go francuszczyzną. Szło niezmiernie trudno, aby go zmusić do mówienia, ex-Wojewodzina sama po francuzku po całych dniach rozmawiała, poprawiała go, a nareszcie przyszło jej na myśl dla ożywienia konwersacyi, kazać luiizeeie przychodzić do stołu. Niekiedy po obiedzie nawet parę godzin zostawała i szczebiotała. Ex-Wojewodzina postrzegła, że przy tej nauczycielce postępy były znakomite. Miała jakiś dar szczególny jasnego, pojętnego tłumaczenia się, które Chelmowski natychmiast chwytal.

— Nieszacowana dziewczyna — mówiła stara pani.

— Gdyby nie była tak brzydką — dodawał Chelmowski.

Nie możemy zaręczyć czy myślał to co mówił, z boku bowiem patrzący, jak stary kamerdyner, który miał niezmiernie trafne oko, chwytał jakieś wejrzenia niezmiernie śmiałe, uśmiechy podejrżane, oznaki jakby pewnego porozumienia pomiędzy nauczycielką a uczniem.

Stara pani była tak zaślepiona, iż się tego wcale nie domyślała, a pewna miłości swojego Tomcia, aniaby była mogła przypuścić nawet, że ją pokątnie zdradzić myśli.

Dobek równie był spokojny o narzeczoną, która im więcej go tyranizowała, tem okrutniej się w niej kochał. Marzył już o zgłoszeniu się do rodziny, o wydzierżawieniu jej pomocą kawałka ziemi, i założeniu Edenu na mazowieckich piaskach. Szczęście w chatce, pod słomą, uśmiechało mu się. W jednej izdebce byłyby książki, w drugiej oni. Do koła gaje szumiące, łąki szmaragdowe, rzeka wstęgą płynąca niebieską.

Gdy czasem z marzeń się tych spowiadał przed nią, Luizetta odpowiadała mu, że ona by na wsi wyżyć nie mogła, że potrzebuje miasta, jego wrzawy i ruchu, teatru, elegancyi. To go smucilo—lecz, któż wie? możeby mógł dostać tu miejsce bibliotekarza albo archiwisty? Dekert przyrzekał mu się go postarać.

Ex Wojewodzina pojechała znówu do księżnej Karoliny przypomnieć jej raz jeszcze czytanie poematu. Księżna była na wyjeździe gdzieś za granicę, a o królu opowiadała dziwy.

— Czems jest okrutnie zajęty, nikt nie wie co to jest, powiadam ci, po nocach z głuchoniemym Wilczewskim, który przed nim świece niesie, wychodzi gdzieś przez korytarze i siedzi czasem do jasnego ranka.—Że nie do żadnej metressy—to pewna, ale coś oni machinują. Piatoli, Ignacy Potocki, Stanisław, Kollątaj. Kto ich tam wie, szepczą, bilety piszą. Sprowadzają ludzi, miewają narady.

Masonerya! odczuwała się ex-Wojewodzina.

Kto to może wiedzieć! chyba jaka nowa, bo w Wiel

kiej Łoży, król oddawna jest W. Mistrzem. Musi to być inny. Teraz im poemata nie w głowie

— Biedny mój Tomcio, jak się tem zmartwił! nie mówię już o sobie. Co się napracował, szeptała ex-Wojewodzina, — całe dni, wieczory, czasem część nocy przesiadywał nad temi papierami i ucząc się deklamować. A! co to za człowiek! moja księżno! co to za człowiek! co to za jeniusz! jakie zdolności. Wystaw sobie, gdyśmy się pobrali przed kilku miesiącami, ponieważ rodzice zubożeli, wychowanie jego było też zaniedbane, wstydziłam się tego niezmiernie, że nie umiał po francuzku... *je ne sais pas* — to konieczne. Uprosiłam księdza Renaud, zaczął mu dawać lekcje. mówiłam z nim suna potroszę, teraz mi jeszcze szwajcarka, którą przez listosć do domu wzięłam, pomogła trochę i już mówi wcale znośnie.

— Jaką żeście to szwajcarkę wzięli do niego? śmiejąc się zapytała księżna.

— Ale nie do niego! moja droga! nie do niego. Daliśmy jej przytułek! Nie wiem, która tu z wielkich pań naszych odprawiła ją, ma iść za męża.

— Cóż to? czy nie Luizetta? zapytała nagle księżna.

— A ty z kąd wiesz?

— Bom ja ją — jak mówisz odprawiła. a raczej odpędziła. Dziewczyna lat piętnaście a już miała romans z jakimś studentem czy co, i dawała mu *rendz-vous* w moim przedpokoju.

Księżna ex-Wojewodzina głową potrząsała.

— *Chère Caroline!* ale bo ty jesteś surową do zbytku. Jak można ludziom to mieć za złe co nasze własne szczyście stanowi. Niech się sobie kochają i romansują jak chcą. ja w to nigdy nie wgłędam. A! co mi to szkodzi.

— Tak! tak, ale Luizetta dziecko, proszę cię. i taka balamutka, że mi niemal cały dwór swoją minką niewinną za sobą ciągnęła. Starzy, młodzi. wszyscy się w niej kochali, a tak umiała najozięblejszych rozplomienić. To niebezpieczna dziewczyna. Zaczęła w czternastym roku.

Stara pani zamyśliła się

— Ale ona ~~ma~~ mąż wychodzi!

— Wyдай ją co najprędzej i pozbądź się z domu, bo moja droga — za nic nie ręczę.

Zerwała się biedna pani bardzo zaniepokojona i prędko posłała księżnę, zamyśloną, smutną wracając do domu. Tu znalazł męża nad poematem, murzynka u progu i nie było by podejrzenia jakieś usprawiedliwić mogło. Jednakże tego dnia, niby przez zapomnienie Luizetty nie kazała przynieść stołu.

Czekała i wyglądała czy się mąż o to nie upomni. Pan Chłomowski zdawał się nie uważać wcale. To ją pocieszyło. Po obiedzie napomknęła coś o tem, że ją księżna Karolina przestrzegła, iż dziewczyna wielka białutka. Chłomowski z powagą przyznał, że bardzo to być mogło, że dziewczyna zwawie i rezolutnie do zbytku, i że dla tego spokojnemu Florckowi wcale nie z nią żenić nie życzył.

Tak nadzwyczaj rozsądne i chłodne rzeczy pojęcie, zupełnie uspokoiło ex-Wojewodzinę, która, co się tyczyło małżeństwa, była odmiennego zdania, i gotowa była jak najwięcej ich kojarzyć.

— Nie było tuziota, jak Karusia, siostra mojego staroego, pocziwego Wierzbickiego, a proszę cię, co to za żona, jaka gospodyni! co za nieoszacowana kobieta.

Na tem skończyła się rozmowa, gdyż Tomko został przy swym i utrzymywał, że była dla zbyt spokój i naukę kochającego Dobka — partyą niestosowną.

A gdy po obiedzie państwo się rozeszli, i dano znać, że Florck czeka w kancelaryi, hrabia wyszedł do niego ręce powkładawszy w kieszenie, z miną protektorską, witając go kinieniem głowy.

— Myślałem, rzekł, o moim poemacie. Żebyś mi trzecią pieśń przeczytał, nie mogę przypomnieć sobie dobrze, jak my to tam obróciliśmy, to błogosławieństwo w Krakowie. tego starusza księdza.

Dobek pobiegł do papierów. począł czytać ten ustęp.

który sam włożył i sam napisał. Chełmowski stał, głową potrząsając.

— Tak, rzekł, będzie nieźle, tylko ja to jeszcze nieco ogladzę.

Prawdziwy autor poematu wiedział już z doświadczenia, że ta ogląda mu nie grozi, i że się na odkazywanie kończyć zwykło. Nie powiedział więc nic.

— A cóż? Twoje ożenienie? zapytał po chwili Tomko.

Westchnął Dobek.—Niestety! zależy ono od miejsca, które się otrzymać spodziewam. Luizetta na wsi się zapieć nie chce, a w Warszawie o chleb dosyć trudno. Boleję nad tem, tembardziej, że państwu ciężar taki narzuciłem.

— A! hrabina—rzekł Chełmowski, wcale się na to nie skarży, rada jest z Luizetty, o to się nie macie co frasować. Chciałem ci tylko uczynić przyjacielską uwagę. Czy ty masz niezmiennie postanowienie ożenienia się z Luizettą?

— Ja? zdziwiony spytał Dobek—ale ja bez niej bym żyć nie mógł? Ja ją szalenie kocham.

— Dla czego pytasz mnie o to? dodał niespokojnie Dobek.

— Bo ci życzę dobrze—odparł Tomko—a to, żona nie dla ciebie.

— Jeszeze raz dla czego?

— Hm — począł Chełmowski — ona do ubóstwa, do pracy, do cichego kątku stworzoną nie jest, a ty jej więcej nie dać nie możesz, nad serce i razowy chleba kawalek.

— Bądź spokojny—rozśmiał się Dobek, zdaje mi się, że ma przywiązanie dla mnie — to jej osłodzi byt, jaki nam Pan Bóg da. Obiecują mi miejsce profesora, nędzy nie dozna.

Chełmowski popatrzył na przyjaciela i zagadał o czem innem.

Nadeszła zima a z nią ruch większy i zabawy w mie-

ście; napływ ze wsi obywateli, reduty, wieczory, bale. — O poemacie hrabiego Chełmowskiego mowa była wszędzie. Król tylko jeden, zdawało się, że o nim zapomniał. Choć raz rozstanie z ks. ex-Podkomorzym było niezbyt przyjacielskie, a spotkanie w Saskim ogrodzie nie wiele obiecujące, Chełmowski, któremu szło o reputację i — o Ś. Stanisława, wymyślił sobie, iż mógłby księcia ex-Podkomorzego uprosić, aby poemat u niego był czytany. Pomysł ten trochę dziwny na pozór, przypadkiem tylko był trafny i szczęśliwy. Stary książę tak bardzo pragnął odegrać jakąś rolę, zająć sobą opinię, dać mówić o sobie, iż wszelką po temu, bodaj najniezręczniejszą chwycił sposobność.

Jeżeli król przyjmował jakiego dystyngowanego cudzoziemca na dworze, nie wytrzymał książę, choćby grosza przy duszy nie miał, żeby go też nie zaprosił, i nie wystąpił. — Brakło mu środków, bo dawno co miał straciwszy, żył z łaski brata, ale jako starszy umiał królowi narzucić się. Wymódz — jeśli nie gotowy grosz, o który i na dworze było ciężko, to weksel, za który się brało trzydzieści za sto.

Naradziwszy się z żoną, błyszczącym swym ekwipażem, z lokajami dwoma pojechał hrabia Chełmowski na Szulec. Kareta zjednała mu przyjęcie. Został starego z dwoma młodemi kobietami znowu, ale te natychmiast ustąpiły. Ex-Podkomorzy, który się może kogo innego spodziewał, zobaczywszy dawnego poetę nadwornego zrobił minę kwaśną i dumną.

— Mości książę — odezwał się witając go Chełmowski — nie zapomniałem o tem, że m winien W. Ks. Mości pierwsze moje wystąpienie w Warszawie; radbym dziś, gdy się mój talent poetycki, jak mi się zdaje, *znakomicie* rozwinął, pod opieką księcia dać go poznać światu.

— A! jakimże sposobem? spytał książę, bo jeżeli o pieniądze chodzi — jak Boga kocham, gorzej świętego tu reckiego, goły jestem.

— Wcale nie o to idzie — zawołał Chełmowski. Król i Mości sam był ciekawym poematu, który napisałem o Ja-

nie Sobieskim, miało być czytanie jego w Lazienkach, ale do skutku nie przyszło. A gdybyś książę do siebie literatów zaprosił.

— Doskonała myśl. Puszczę wody! Oświecę salę podziemną, na galerji stanie muzyka. Feta literacka!! doskonała myśl. Kobiety jak wieniec kwiatów, poczęł zapalając się książę. Dobrze... obiecuję—przysięgam, dam wieczór i bal.

— Mości książę —przerwał Chełmowski—możeby stosowniej było w mniejszem kółku.

— A? co ty mnie będziesz uczył! Jak największe, sto osób na kolacyi. Każę ci zrobić estradę, czerwonym suknem obitą. Wstąpisz na nią uroczyście, pięknie, a jak się dobrze spiszesz, kobiety cię kwiatami obrzucą...

Zatarł ręce stary.—Sproszę całą dyplomacyę, Engeströma, Lucchesiniego, Stackelberg nie zechce być, to darmo, ale może stary Essen, może Hailes.

— Ci po większej części po polsku nie umięją,—wtrącił Chełmowski.

— Cóż to ma do tego? deklamacyą piękną ich oczarujesz! domyślą się o co chodzi, a na wieczór dam ostrygi. Książę ex-Podkomorzy tak okrutnie wziął to do serca, iż o Chełmowskim prawie zapomniawszy, poczęł dzwonić na marszałka dworu i krząć się już około przygotowań.

Nie było tu co robić dłużej—cel był wprawdzie osiągnięty może nie w ten sposób, jak się pan hrabia spodziewał, lecz poemat, bądź co bądź, miał się dać poznać światu.

Chciał przy pożegnaniu coś dodać Chełmowski, książę mu mówić nie dozwolił.

— Dosyć... mądrej głowie—dość na słowie — *sufficient*, nie mi nie mów, ja do tego, do urządzania, do inwencji, do niespodzianek jestem jedyny. Biorę wszystko na siebie. O dniu naznaczonym dam znać. — I prawie za drzwi go wypchnął.

Jednakże uradowany i dumny, że mu się tak powiodło, powrócił Chełmowski do domu, gdzie się zaraz przed

żoną pochwalił, iż książę myśl jego tak wziął do serca. Ex-Wojewodzina zajęta była teraz ubraniem swojego małżonka, które chciała mieć jak najwytworniejszem. Posłano po francuza, dla narady.

Nadchodzący wieczorem Dobek zastał nowinę szczęśliwą, że poemat poddany być miał pod sąd największych znawców i smakoszków. Wieleby był zaist⁺ dał, aby i on się tam gdzie w kątku mógł znajdować, chociaż lękał się, aby nieudolna, mozolnie wyuczona deklamacya nie zaszkodziła jego dziełu.

W rozmaitych przypuszczeniach i domysłach, upłynęło dni parę. Nie mówiono o niczem tylko o przyszłej lekturze.

Jednego wieczora, jak zwykle ex-Wojewodzina odbywała siestę w swoim pokoju, która jej była dla ukołysania nerwów potrzebną, gdy otwierając drzwi nadzwyczaj ostrożnie, na palcach weszła stara Żołudkowa do pani. Nie była to jeszcze do przebudzenia godzina, wniście miało coś tajemniczego, na twarzy starej ochmistrzyni malował się napróżno hamowany gniew i rozjątrzenie.

Przystąpiła ostrożnie do swej pani, popatrzyła na sen jej spokojny, jakby go jej żal przerywać było, ale znać zmuszona zlekka pociągnęła ją za suknię. Stara pani sen miała bardzo czujny, otworzyła zaraz oczy, zdziwiona trochę i zobaczyła Żołudkową palec trzymającą na ustach.

Zrozumiała, że idzie o coś ważnego.

— A co? moja droga?

Stara zbliżyła się prawie do ucha.

— Moja pani najukochańsza, niech pani tylko tego bardzo do serca nie bierze i stara się być spokojną. Już bym na sumieniu miała, gdybym to tała dłużej. Wahałam się, nie chciałam, ale się nie godziło. Oburza się dusza na taką niewdzięczność.

Ex-Wojewodzina otworzyła oczy przestraszone, zaczęła drzeć, chwyciła za rękę Żołudkową — Mów, mów, co się stało.

— Obserwowałam to od dawna, że pan hrabia miał

sekretnie konszachty z Luizettą, szeptali, schodzili się, niby przypadkowo. Dziewczyna djabła cały. Jak tylko pani pójdzie po obiedzie spać, oni się regularnie schodzili roman-sować. Ostrożni byli, ale ja ich podpatrzyłam. Niech pa-ni idzie za mną, a przekona się własnymi oczyma.

Ze spokojnego snu wyrwana, w którym ją może o' ra-zy szczęścia kołysały, stara pani zerwała się jak lwica gnie-wna. Nie mówiąc słowa, chwyciła rękę Żołudkowej i ści-snęła ją tak, iż mało z bólu nie krzyknęła. Oczy starej pa-lily się z gniewu. Szła szybko, jakby się lękała, ażeby jej nie uciekła zemsta, którą zapalała.

Na palcach, po cichu, wyprowadziła ją stara Żołudko-wa w korytarz. Gabinet Chelnowskiego miał sekretne z dawnych czasów drzwiczki w ścianie, od których klucz był u Żołudkowej; otworzyła je nadzwyczaj zręcznie i ostro-die. Gabinet od saloniku dzieliły drzwi szklane, zasło-nięte wewnątrz zieloną firanką. Podniosła ją nieco stara i ujrzała w pokoju męża na kanapie, siedzącego winowajcę, który objawszy w pół Luizettę bardzo czule, czemu się wca-le nie broniła, szeptal jej coś do ucha. Obie jejmoście za-trzymały oddech, aby rozmowę pochwycić. Chwilę jednak stały, nim wyraźniejszą być poczęła.

Luizetta wyrwała się.

— Puść mnie— wołała— a nuż ten stary szpieg się cze-go domyśli.

— Nie odważy się nic powiedzieć.

— Albo pani się obudzi.

— Gdzie tam, moja starowina ma sen po obiedzie sma-czny, a ona mi tak wierzy, że gdyby jej nawet co doniesio-no, ja się potrafię wyklamać.

Chciał ją pocałować, Luizetta się trochę odsunęła, spoj-rzała mu w oczy i rzekła głośniej.

— Ale cóż z tego wszystkiego będzie? Tak pozostać nie może. Dobek chce się żenić.

— Nie powinien iść za Dobką— zawołał Chelnowski— ja ci daję słowo, jak moja stara oczy zamknie, ja się z tobą

ożenie. Ona mi wszystko i tak zapisać musi, będziemy bogaci. Dobek nie ma nic.

— A nuż -a nuż się to wyda.

— O! o! ja jej oczy zamydlę! bądź spokojna.

I ścisnąć ją począł.

Szeptali śmiejąc się jeszcze, gdy nagle drzwi od gabinetu, z kął się nie spodziewali nikogo, otworzyły się z trzaskiem i ex-Wojewodzina weszła jak trup blada, trzęsąca się, straszna, wyciągnęła rękę i głosem piszczącym, nienaturalnym, w którym namiętność grała niewysłowiona — krzyknęła:

— Precz kądaki z mego domu, precz! precz!

Zerwał się Chełmowski, chcąc podbiec ku niej i tłumaczyć się; ręką jak żelazo wyprężoną, utrzymała go zdaleka.

— Ani chwili dłużej, won! albo stangretom batogami za bramę wygnać każe. Idź, nędzniku, jakeś przyszedł, jak stoisz, a podziękuj, że cię do koszuli nie każe odrzeć.

To powiedziawszy, zawróciła się do gabinetu i chwyciła za dzwonek. Stary kamerdyner biegł już po wscho-dach.

— Tego pana—wskazała na męża - wyprowadzić ztąd natychmiast za bramę! Noga tu jego postać nie ma prawa.

Zawróciła się i wyszła.

Którędy wybiegła Luizetta, nikt nie postrzegł, lecz znikła, wysliznąwszy się nieznacznie—Chełmowski stał, jak piorunem rażony; chciał potem podbiec za żoną—ale w korytarzu wstrzymał go kamerdyner, i ex-Wojewodzina odwróciwszy się, dodała.

— Ani mi na oczy! nie chcę widzieć!

— Niech pan wychodzi—zawołał, zmieniając zwykły głos swój stary kamerdyner—słyszał pan rozkaz, ja tu znam tylko panią moją—proszę iść—na to nie ma sposobu, dobro-wolnie, albo zawołam służby.

Chełmowski, zawsze bardzo praktyczny, zaledwie miał czas chwycić z biurka swój zapas pieniężny, czemu się nie

śmiano sprzeciwiać, porwał za kapelusz i laskę i pomiesza-
ny, zburzony, nie wiedząc co poczynić, zbiegł ze wchodów.
W domu już wieść się rozeszła, że coś się stało między pa-
nią a panem, na dole stojący lokaje zmierzyli go oczyma
szyderskimi, szepejąc i śmiejąc się. Przestraszony wygna-
niec znalazł się za bramą rajną i—tu dopiero odetchnął.

Wiedział bardzo dobrze, iż cały dwór mu był nieprzy-
jazny—obawiał się w pierwszej chwili, bodaj jakiej napaści
nawet.

Co tu począć? Nie wiedział jak i gdzie się obrócić.
Stał za murem, gdy ujrzał nadchodzącego Dobka, który ni-
czego się nie domyślając, powitał go weselo.

— A cóż to hrabia tu robisz? czy tu czekasz na
ekwipaż?

— Nie, szczególna okoliczność — zaczął starając się
ochłonąć Chelmowski, po raz pierwszy przyszło do małego
nieporozumienia pomiędzy mną a żoną moją. Jest dziecin-
nie zazdrosna, chcę ją skarcić — umyślnie udałem, że dom
opuszczam. Wiem, że będą gonić za mną. Chcę jej dać
naukę. Nudzi mnie swoim przywiązaniem ta baba.

Dobek w oczy mu popatrzał.—Czyś oszalał? zapytał—
co ci jest? Przecież jej winienesz wszystko. Nie bądźże...
z pozwoleniem lekkomyślnym, wracaj, padnij do nóg, prze-
proś i nie dawaj powodu do scen podobnych.

O cóż—o kogo poszło?

Zawahał się Chelmowski.—Dzieciństwo! rzekł. — Żar-
tem zaczęliśmy dziczyznę z garderoby, nie było o co robić
mi sceny. Wiem, że tam teraz rozpacza i łyżę leje, ale—za-
służyła na skarcenie.

I kroków kilka postąpił ku miastu.

Dobek go chwycił za obie ręce. — Człowiecze — zawo-
łał—wróć się, żyć, prosię.

— Za nic w świecie, dziś — a jutro, zobaczymy! rzekł
Chelmowski.

W tej chwili konny posłaniec wybiegł z bramy pała-
cowej—łatwo się było domyśleć, że podoktora, Chelmowski

zawahał się nieco — mój Dobek, rzekł, czekaj tu na mnie, nie wchodź — ja spróbuję.

Dawny kolega pozostał w miejscu — oczekując co z tego będzie, a Chelmowski, który miał klucz od furtki ogrodowej, obiegł na drugą stronę, wiedząc, że go tu służba nie dopuści, wsunął się do ogrodu, małemi bocznemi schodkami na górę i szczęściem, nie postrzeżony, dostał się do pokoiów ex-Wojewodzinej.

Nieszczęśliwa staruszka leżała w nerwowych spazmach, łkając i śmiejąc się na łóżku, otoczona kobietami, które jej ręce związywały, poily, obcierały; Żołudkowa kierowała wszystkim. W progu zaraz chciała go wstrzymać, lecz odepchnął ją i pobiegł do łóżka.

Gdy stanął przed napół obłąkaną staruszką, krzyknęła okropnie, zasłaniając sobie oczy, paroksyzm się powiększył, kobiety ją otoczyły, zdawała się omdlewać.

— Precz z nim! wyprowadzić go! Zdrajca! wołała głosem niewyraźnym walcząc z omdleniem, zrywając się i padając.

— Ja przecież jestem mężem i mam moje prawa — począł Chelmowski, mnie jak lokaja wypędzić nie można. Posłuchaj pani.

— Nic słyszeć nie chcę, precz z moich oczów.

Chelmowski stał, kobiety go za ręce chwyciły, bronił się. To szamotanie się trwało chwilę, jedna ze sług pobiegła po kamerdynera.

Ukazał się w progu z miną surową i groźną.

— Pan słyszał rozkaz pani.

— Ja tu tak samo panem jestem jak i ona — odparł Chelmowski — jestem jej mężem. Nie odstąpię ztąd, póki z nią się nie rozmówię.

Zdaje się, że te dwa głosy rozbudziły nieco omdlałą, podniosła się z łóżka i szepnęła Żołudkowej. — Niech wszyscy wyjdą, ty tylko zostań, niech mówi co ma do powiedzenia.

Spełniono rozkaz pani. Ex-Wojewodzina, której lzy

zmyły z twarzy róż i białidło, okropnie zmieniona, poczwarna niemal, trzęsąca się — z wargą obwisłą, wzrokiem furi patrzala na męża, — Chelmowski stał przed nią jak winowajca.

— Nie będę się uniewinniał — rzekł — chociaż to był ligiel tylko, na który umyślnie namówilem szwajcarkę. wiedząc, że mnie pani Żołudkowa zdenuncjuje.

Żołudkowa ręce załamała rozpaczliwie, głową rzucając na wszystkie strony — nie śmiała się odezwać.

— Jeżeli pani chcesz zerwać ten węzeł któregoś sobie sama życzyła, dobrze, ale nie trzeba się podawać w pośnienie całemu światu. Ja na rozwód nie pozwolę.

W tej chwili Żołudkowa, która się do drzwi rzuciła, pędem wybiegła i natychmiast wróciła niosąc pęk listów, który swej pani rzuciła na kolana.

— Niech pani zobaczy czyja to ręka i co tam stoi.

Wojewodzinę na nowo napadły spazmy i poczęła wołać: — Precz z moich oczów — precz! precz.

Chelmowski chciał coś mówić jeszcze, gdy z pomocą starego kamerdynera, dwie silne baby chwyciły go pod ręce i niemal wyniosły za drzwi, które zaraz na klucz zamknęto. Drugiemu wchodził właśnie doktor. W całym domu panował zamęt, Chelmowski korzystając z niego, pędem powrócił do dawnego mieszkania, co mógł w niem kosztowniejszego zgarnąć na przódce: klejnociki, pieniądze, zegarki, pierścienie i łupem tym obarczony, tylnemi wschodkami przez ogród, dostał się z powrotem w ulicę.

Tu zdala postrzegłszy Dobkę, który z Luizettą żywo rozprawiał, nie chcąc się narazić na wymówki jego, na nową scenę, bocznemi ścieżkami udał się ku miastu.

Luizecie, jak się łatwo domyśleć, powiodło się nie-skończenie lepiej niż jej współnikowi. — Potrafiła Dobkowi dowieść, poprząszyć mu, że była niewinną, że padła ofiarą, że Chelmowski napastował ją, nie dawał pokoju, że ona go odpychała, niecierpiała, nienawidziła. Dobek święcie uwierzył wszystkiemu, płakał nad nią, całował jej rączki,

rozczułał się, odgrażał na niecnego zdrajcę, i — myślał co pocznie teraz ze swym skarbem. Nie było innego sposobu tylko się wprosić pod gościnny dach Dekerta.

Luizetta poprzysięgała mu ze strachu przez całą drogę, że jego jednego zawsze kochała, że z nim pójdzie na koniec świata. Dobek nigdy może nie był tak szczęśliwym jak w tej chwili, gdy powinien był być najniezszczęśliwszym. Zaprzysięgał tylko, że poemat spali i łotrowi temu nie da z niego ani jednego wiersza.

Chełmowski wpadł nieprzytomny pod Białego Orla na Tłumackie, szukając sobie tymczasowego pomieszkania, gdy nos w nos spotkał się z powoli o kiju wlokącym się Podstolim.

Nieszczęśliwy proces znowu go był ściągnął do Warszawy, a że dwa razy okradziony został na Marywilu, umieścił się tym razem w oberży, która była renomowaną.

Podstoli nie od razu poznał Chełmowskiego, lecz ze mu szło bardzo o stosunki, a ostatnio widział go w poczwórnej karecie i wielkie miał wyobrażenie o jego konneksjach w Warszawie—zaledwie fizyognomię pochwyił, zatrzymał zdejmując konfederatkę.

— Jaśnie Wielmożnego hrabiego!.. do nóżek się ścielę. Chełmowski stanął jak słup.

— Pan hrabia sobie może mnie nie przypomina, Podstoli—ten który to miał szczęście, na koźle, w extra ordynaryjnym wypadku. podwozić go do Warszawki.

Jakże zdrowieczko hrabiego? O! jak się niewymownie cieszę.

Ironia losu w chwili upadku podsuwała mu tego dworaka, który starając się przypochlebić, zdawał z niego szydzić.

Ośłupienie brał Podstoli za dumę--i mówił dalej, uśmiechając się zalotnie.

— Bardzom szczęśliwy ze spotkania, a hrabia tu, w oberży co?

— Szukam przyjaciela.

— To pewnie księcia S., który slyszałem. że tu stoi. Na pierwszym piętrze, drzwi na prawo. Godny magnat! znam go, ale—zdaleka. A ja tu, mościeszju, panie hrabio, znowu z tym procesem. Mogę powiedzieć, że kompletnie we wszystkim *infaustus*. Nic mi się nie wiedzie. Droga. powiadam hrabiemu, caluteńka w nieprzewidzianych kazusach. Już to temu dobroć moja winna i rozpuszczeni ludzie—ale teraz—basta—dosyć—poznają mnie gdy do domu powrócę.

Chelmowski stał jak na rozżarzonych węglach — Podstoli go nie puszczał.

— Ale może czas zabieram?

Sklonił się tylko obżałowany.

— Tak mile mi to spotkanie. Czekam właśnie na Wyrzykowskiego, którego hrabia znasz. Ma przybyć dla porady w moim procesie. Godny co się zowie człowiek *jurisprudens*, jakich ze świecą szukać. Jeszcze go nie ma... lada chwila...

Chelmowski ruszył się.

— Submittuję się — zakończył Podstoli.

Tak się przecie uwolnił od niego i do wskazanego wbiegłszy mieszkania, zamknął na klucz, potrzebując rozmyśleć nad swem położeniem. Nadto mało miał w życiu doświadczenia, aby się sam na siebie mógł spuścić.

Przyszło mu na myśl, iż powinien się być poradzić prawnika. Ex-Wojewodzina, która, jak wszyscy u nas prawie posiadacze dóbr, uwikłaną była w kilka procesów, miała plenipotentą w Warszawie. Tego z widzenia znał Chelmowski, bo niekiedy do palacu przychodził. Pamiętał mieszkanie jego przy Bielańskiej. Zwał się Mecenas Horoszek. Norblin go wyrysował w swych typach. Długi, wysoki, z podgołoną głową, prosto się trzymający jak tyka, ręce za pasem; miał szkaradny zwyczaj, przy zbyt szybkiej mowie ciągłego spluwania, ale czynił to kunsztownie i pluł o trzy łokcie. Cyniczny był trochę, wesół, zresztą niezły człowiek.

Zmierzchało już, gdy przyniesione rzeczy zamknawszy skrzętnie do biurka i pokój zaryglowawszy, nie tracąc czasu Chelmowski pobiegł na Bielańską. Wpuszczono go bez trudności, mecenas w okularach studyował jakieś dokumenta. Postrzegłszy znanego męża swej klientki, pośpieszył ku niemu.

— *Servus*, pana hrabiego.

Traktował go nieco zlekka, choć grzecznie. — Czy interes jaki sprowadza?

Obejrzał się Chelmowski.

— Tak jest, rzekł z cicha — po radę przychodzę do waćpana dobrodzieja.

Prawnik go zmierzył bystro oczyma, splunął w bok ze świstem i podał krzesło.

— Czem służyć mogę?

Chelmowski zaraz na wstępie się splątał, chciał na w pół tylko coś powiedzieć, czegoś niedospowiadać się.— Widzi pan mecenas, okoliczność—fałszywe i delikatne położenie, ja z całem zaufaniem, jak do konfesyonału. Przykry wypadek, nieporozumienie z żoną.

— A! przerwał znowu spluwając Horoszek — więc— *ante omnia*, proszę bez ambagów, prosto z mostu, jak i co to jest.

— Kobieta zazdrosna, wiadomo, przywidzenia ma.

— Kochany hrabio o fakta, o fakta proszę i — jasno, *clara pacta*, inaczej nie.

Pokołowawszy nieco, Chelmowski przez zęby przece-dził mniej więcej o co chodziło, i jak go wypędzono.—Ależ ja, proszę pana mecenasa — jako mąż wypędzonym być nie mogę.

— Hm! rzekł mecenas — prawo panu daje rekurs do trybunałów, ale jeżeli siłą drzwi przed nosem zamkną, to co? Masz waćpan jakie zapisy?

— Dotąd nie było czasu.

— Tak—to były miodowe miesiące — dodał mecenas, lecz coś rychło miód się w ocet obrócił.

Zamyślił się i splunął aż dwa razy.

— Czegóż hrabia żądasz? reintegracyi do stołu i łóżka? He? nieprawdaż.

— Poszukuję praw moich.

— A jeżeli ex-Wojewodzina żyć nie zechce i zażąda rozwodu, dowodząc, że *in flagranti delicto* byłeś asindziej pochwycony.

— Ale co mi pan radzi?

— Co ja radzę? rzekł mecenas — hm? trudna rada! Chyba zdać się na łaskę i niełaskę. Ja jestem plenipotentem pani, panu więc, jako dziś jej adwersarzowi, nie mogę radzić nawet.

— Bądź waćpan pośrednikiem!

— We własnej sprawie! splunął Horoszek. Sprawa JW. ex-Wojewodziny jest jakby moją własną. Nie mogę.

— Rzeczy wszakże tak zostać nie mogą! zawołał Chełmowski.

— Owszem, ona może waćpana morzyć głodem... nie żądać rozwodu, nie dać mu ani halerza, i puścić go *per non sum*, czyli ściślej biorąc — *per non est*, dodał Horoszek złośliwie mu się przypatrując.

Chełmowski głowę spuścił, mecenas swoją podgoloną kręcił znacząco.

— Pozwól bo, łaskawco — panie hrabio — rzekł ciszej — pozwól sobie powiedzieć, kto bo coś podobnego robi? He?

Pod dachem matrymonialnym amory, w biały dzień, i nikogo na straży?

Dać się tak zejść jak zając w kapuście, niewiedzieć, że starość jest podejrzliwą a miłość zazdrośną — a passya mściwą i nieublaganą. Imprudencya niesłychana.

Lecz, wiesz asindziej co — *homo sum*, ludzkie to sprawy, nie żebym kompassyi nad nim nie miał. Jutro pojedę do ex-Wojewodziny, jakby *ex-re* interesu o dziesięćcinę z Horbowa, tam się czegoś dowiem i doniosę.

Gdzieżeś pan założył obóz?

— Na Tłumackiem.

Mecenas wstał, splunął i dał do zrozumienia, że się czas pożegnać, a Chelmowski do izdebki powrócił. Jeść mu się chciało, nie śmiał zejść na dół do restauracy i na głośno się spać położył. Ale sny miał niespokojne. Wążył i rozważał jak się to skończyć może, czy go ex-Wojewodziną przypuści do łask znowu, czy zostanie tak nieprześląganą jak była w pierwszej chwili? Zdawało mu się, wnosząc z jej przywiązania, iż serce jej zmięknie, odezwie się miłość i wszystko zapomniane zostanie.

Zrana mocno zasnąwszy jeszcze chrapał, gdy stukanie do drzwi go zbudziło, głos jakiś, którego zrazu nie poznał, domagał się gwałtownie puszczenia. Pobiegł do drzwi za ledwie się okrywszy. Stał w nich Dobek, który się do niego dopytał.

Gdy drzwi się otworzyły, nie przestąpił nawet progu.

— Przychodzę ci powiedzieć dwa słowa tylko, zawołał ponuro—że jesteś nikczemny i podły. Rzucam ci w twarz tym policzkiem, bo ręki sobie walać nie chcę. Strzeż się mnie. Jestem spokojnym mólem, w szable ani na pistolety bić się nie umiem, ale jeśli się ośmielisz znaleźć na mojej drodze—zduszę cię i zgniotę—jak psa.

Nim Chelmowski miał czas odpowiedzieć, Dobek się odwrócił i poszedł. Szczęściem dla poczęstowanego, ludzie posłyszawszy hałas w korytarzu, dopiero nadbiegli, gdy wszystko już było skończone. Chelmowski skarżył się im, że go jakiś szaleniec napadł w spiżniczki i hałasu narobił.

Lecz Dobka już nie było — a nikt gonić za nim nie śmiał. Spodziewając się przybycia Horoszka, Tomko przesiedział, odziewszy się, cały dzień w oknie. Gdy przyszło do ubierania, postrzegł dopiero, iż wziął trochę pieniędzy i klejnociki, ale koszuli nie miał.—Kilka miesięcy wygódek dały mu nałogi wykwentne. Ileż to już rzeczy brakło? Postrzegł dopiero co stracił.

— Ale baba zatęskni! rzekł w duchu, to nie może być —prosić mnie jeszcze będą.

Dobrze z południa nadszedł Horoszek.

Minę miał poważną bardzo i zasepioną, nieśpieszno mu było mówić. Czapkę zdjął, ręce za pas założył, stanął naprzeciw okna, patrzył długo w szyby, jakby zapomniał z czem przyszedł, parę razy splunął, westchnął.

— Coś chciałem mówić! ozwał się, a! tak! ex-Wojewodzinej widzieć nie mogłem. Inni tam konsyliarze potrzebniejsi w tej chwili odemnie. Dwóch doktorów przez całą noc ją nie odstępowało. Wysłano sztafetę po brata. Zrana ksiądz był, spowiadała się i przyjęła Sakramenta.

Chełmowski pobladł. Horoszek na niego popatrzał z flegmą człowieka, na którym ludzkie cierpienia zbyt wielkie wrażenia czynić nie zwykły.

— Nie mówiąc złego słowa—kiepska sprawa — moci-dzieju, panie hrabio, niedobrze—nie. Baba czyli ex-Wojewodzina gęgnąć może. Brat człowiek którego o miłą życząc objeżdżać, trzeba inaczej o sobie myśleć.

Milczał Tomko, nie mówiąc słowa, zadumany, zbity, upokorzony.

— Wprawdzie, są *miracula*, — może ona wyjść z choroby — słyszę Lafontaine nie desperuje — lecz wiek! gniew! wątroba. Hm! hm!

Nie dokończył, biorąc za czapkę i pragnąc się wynosić.

— Pan mecenas nie zechcesz mnie opuścić! rzekł wreszcie Tomko.

— Opuścić, mój moci dobrodzieju—panie hrabio—może tylko ten, który trzymał—ja zaś nie miałem honoru. Interesu nie ma, cóż ja tu poradzę.

I wyszedł.

Został tedy nasz pseudo-literat w położeniu, może rozpaczliwszem niż był dostawszy się po raz pierwszy do Warszawy. Naówczas skromne dosyć miał nadzieje i żadnych nałogów—teraz spadał z wyżyn, własną winą i leżał w kałuży. Zamknawszy drzwi, wziął się do obrachunku funduszków. Składały się one z dwóch worecz ków, w których po obliczeniu było czerwonych złotych około stu. Oprócz tego miał dwa zegarki, z których jeden kameryzo-

wany, z emaliowaną kopertą i wyobrażeniem ołtarza, na którym paliła się ofiara miłości. Był to dar jejmości dobrodziejki. — Pierścioneł zaręczynny z brylantem soliterem, niewiadomej wartości. — *Item*, z topazem brylantami otoczonym; *item* z ametystem w perelki oblamowanym; *item*, piórko złote do zębów, ołówek w złoto oprawny, szpilka ze szmaragdem wyobrażającym żuka czyli skarabeusza, dwiesprzączki do trzewików srebrne, z kamykami, niewiadomej wartości.

Był to cały majątek pana Chelnowskiego.

W stosunku do tego z czem przyszedł tu, wielki jeszcze,—obok nadziei, bardzo mały.

Głód, acz bardzo smutnego, zmusił Tomka zniżyć na dół. Była to naówczas najpierwsza z restauracyj w mieście, tak jak gospoda jedna z najporządniejszych, z którą tylko oberża pani kapitanowej, przy Miodowej ulicy, rywalizować mogła. Od rana do wieczora stoły były obsadzone gęsto, obywatelstwem ze wsi przybyłym, cudzoziemcami, kawalerami *de bona fortuna*, wojskowemi i t. p. Niektórzy siedzieli po dwadzieścia cztery godziny obstawieni próżnemi od burgunda flaszkami, inni grali na stoliczkach osobnych. Wrzawa zwykle panowała okrutna. Śmiechu też było pełno i humory po większej części wyśmienite, jeżeli zwada, która się prędko za drzwi wynosiła, nie zachmurzyła horyzontu, o którego pogodę niemiec gospodarz pilno się starał.—Chelnowski, który mało się w świecie ocierał, nieśmiało, nachmurzony, wcisnął się pomiędzy ludzi. Przyszło mu na myśl, iż znaleźć może Podstolego, lecz ten, jakkolwiek mieszkiał pod Orłem, nie jadał tu—było mu za drogo. Szedł na flaki do Marywili. Rozglądając się zrazu, nie spotkawszy żadnej znajomej twarzy, uspokoił się nieco Chelnowski, poszukał sobie miejsca, — a że wszystkie stoliki zajęte były, przy jednym zobaczywszy tyłem siedzącego szlacheica osamotnionego, przysiadł się do niego.

W tej chwili od talerza szlacheic podniósł głowę, spoj-

rzał na Chelmskiego i obadwa osłupieli — patrząc na siebie. Tomko bladł, a szlachcic się czerwienił.

Był to ten sam pan Podkomorzy, który znalazłszy u córki swej Doroty listy Chelmskiego, na furze od gnojny wyprawił go na trakt i rzucić chłopu kazał u karczmy. Podkomorzy nie był pewien, czy mu się podobieństwo nie przydało, bo dawny bakałarz jego synów, wyglądał mu za nadto paradnie;—co się tyczy Chelmskiego, ten najmniej wątpliwości nie miał. Siedział przy jednym stole z nieprzyjacielem swym i byłby porwał się tej chwili z tego nie-
szczęsnego miejsca, gdyby go to osłupienie, w które widok jego wprowadził, sił nie pozbawiło.

Podkomorzy jadł właśnie barszcz i z wásów mu ka-
pało, tak się zapomniał, nie wiedząc też co pocznie. Przy-
siedzenie się do niego, wyglądało na harde wyzwanie do
harcu. Oba milczący długo patrzyliby sobie w oczy, gdyby
Podstoli, który po flakach na Marywilu, zachodził zwykle do
restauracyi, dla pogawędzenia, nie wsunął się w tej chwili
i dojrzawszy Chelmskiego, nie pośpieszył ku niemu z gło-
śnem:

— Jakże zdrowieczko hrabiego??

Podkomorzy się odwrócił i poznali się.

— A! to ty?

— Jak się masz. Ścisnęli się serdecznie.

— Słuchaj, rzucił w ucho Podkomorzy sąsiadowi,—ki
djabeł?—ty go hrabisz, a to szelma ten wisus co był u mnie
bakałarzem.

— Ten sam—szepnął Podstoli—a no i hrabia i czter-
ma końmi jeździ i u króla bywa, cyt!

Podkomorzy zmógł, spojrział. — Nie wiedział, gdyby
się przypomniał, jak będzie przyjętym. Mruknął na wszel-
ki wypadek.—Ja się też asindziejowi przypominam.

Chelmski się sklonił.

— Co było a nie jest, to nie pisać w regestr, mocibo-
dzieju! dodał Podkomorzy.

Zaczęli rozmowę z Podstolim.

— Jakże twój proces?

— A no nie! stoi! Wyrzykowskiego oczekuję jaka konia dżdzu! Żle mi idzie. Muszę konsylium jurisperitorum złożyć. A pan Podkomorzy, czy też z interesem?

— Nie—ja chłopców odwozłem, jednego do kadetów, drugiego do klasztoru do Pijarów. W domu ich nie mogę trzymać. Rozwydrzą mi się ze szczętem.

Spojrzał ku Chelmowskiemu, ten zaczynał coś jeść, ale mu jakoś do gardła nie szło.

— Panu się tu powiodło? jeżeli wolno wiedzieć—odezwał się Podkomorzy—jakiuże to sposobem?

— Stosuuki familijne.

— Ożenił się wspaniale—wtrącił Podstoli z ex-Wojewodziną.

— A! a! wybąknął Podkomorzy.—Proszę! proszę! Nie miej że mi asindziej za złe prędkości mojej—dodał — bośmy się rozstali trochę szorstko. Po ludziach to chodzi. Nie umiałem asindziejza ocenić.—Nie miej mi za złe, proszę.

Chelmowski się kłaniał i mruczał coś niewyraźnie. Podkomorzy chcąc do szczętu zatrzeć wspomnienie owego niefortunnego *rozstania*, mrugnął na chłopca i kazał od razu przynieść nie jedną, ale dwie burgunda flasze, rozrachował bowiem, że na trzech jedna, to chyba żarty. Przed Chelmowskim postawiono kieliszek.

— Nie odmówisz mi, panie hrabio, rzekł Podkomorzy, abyś z nami wypił na zgodę i — powszechnej pomyślności.

Chelmowski się skłonił, choć mu w duszy było kwaśno.—Pomyślał sobie tylko:—Żeby on wiedział na co ja znowu zszedłem!

Ale z tem nie było najmniejszej potrzeby wygadywania się i, jak mówi przysłowie, chwalenia się, że kobyła zdechła. — Podstoli i Podkomorzy dobrawszy się do kieliszków poweseleli oba. Po pierwszym zaraz duch w nich wstąpił.

Wino przedziwne! mówił skąpy Podstoli — trzeba

tym niedowiarkom cudzoziemcom oddać sprawiedliwość, że dobre rzeczy robić umieją.

Podkomorzy też okolo szkła chodził czysto Humor za drugim kieliszkiem tak się stał różowym jak wino.

— Ja tu w tej austeryi stanąłem, rzekł Podkomorzy. Nie mogę powiedzieć, kuchnia niezła, wino dobre, ale nas zdarli. Przybyliśiny ja, dwóch moich chłopców, jejmość i moja córka, trzy izdebiny małe, a co oni sobie pieniędzy za każdy dzień płacić każą, to strach! Jaki to być musi szalony zarobek.

Wspomnienie o Podkomorzynie a szczególnie o Podkomorzance, do której Chelmowski owe inkryminowane listy pisywał, uczyniło wrażenie na nim. Przypomniła mu się dojrzała owa panienka, która tak nań była łaskawą i jego poczye oceniać umiała. — Gdybym też się tu z nią spotkał! rzekł w duchu.

Człek był, mimo swojego usposobienia poetycznego, nadzwyczaj praktyczny. O Luizecie, jako o deserze, który dobry był, póki obiad miał zapewniony — nie myślał już wcale. Lada chwila podstawy życia mogło zabraknąć, a Podkomorzanka po matce miała wcale nieczły folwark, na którym tylko dożywocie ojcu przysługiwało.

Nie dano mu dokończyć kombinacyi, wyzywając do kielichów — i Chelmowski w końcu się powoli rozruszał, utrzymując w tonie pańskim, choć czuł, że do niego nie miał prawa. Rozpowiedział Podkomorzemu o królu, o dworze, o ks. ex-Podkomorzym, o wyższych dostojnikach, o których się wiele nasłuchał, i nie tylko zabawił szlachtę, ale jej ogromne dał wyobrażenie o swych stosunkach w stolicy. Gdy druga butelka była ku końcowi, z wielką godnością, spojrzawszy na zegarek kameryzowany, podniósł się aby odejść. — Podkomorzy z Podstolim poprosili go jeszcze o obejrzenie zegarka, który z wielką oglądali ciekawością, i Chelmowski odszedł, zostawiając ich nad niedopitemi kieliszkami gwarzących.

Z rozmowy dowiedział się, że Podkomorzy jeszcze co

najmniej parę dni pozostaje w Warszawie, miał więc nadzieję spotkania się, choćby gdzie na wschodach z Podkomorzanką. Stał już w progu, mając wychodzić z pod Orła, gdy spostrzegł z pośpicchem wielkim zbliżającego się ku gospodzie starego kamerdynera ex-Wojewodzinej. Błada jego twarz, nadzwyczaj szybki chód, kazały się domyślać, iż przybywał za jakimś interesem.—Serce uderzyło Chelmo-owskiemu.—Aha! po mnie! a co? nie mówiłem!!

W istocie, pomieszany, zbiedzony kamerdyner zbliżył się wprost ku niemu, i jakby z musu tylko przywitawszy go, rzekł głosem zmienionym:

— Pani ex-Wojewodzina kazała pana prosić dosiebie.

— Jak się ma moja żona? odzyskując swą dumę odparł biorąc się w boki Tomko.

— Po ostatniem pomazaniu, mój panie! głową potrząsając szepnął kamerdyner i ręką machnął z rozpaczą. Nie ma żadnej nadziei!

— Jakto? zapytał Chelmoowski.

Kamerdyner nie chciał odpowiadać, zawrócił się.— Ko nie stoją za dziedzicem, siadaj pan.

W milczeniu poszli, Chelmoowski zajął miejsce w powozie lekkim, który po niego przysłano, kamerdyner, nie pytając o pozwolenie, przysiadł mu się poufale do boku. Pojechali nie mówiąc słowa.

Okolo pałacu widać było ruch nadzwyczajny, służące, dziewczęta biegały do oficyny, w ganku kręciła się służba, dwa powozy w gotowości stały przed wschodkami, kamerdyner wysiadł pierwszy, Chelmoowski szedł za nim. W pół salonu Żołudkowa z załamanemi rękami ich spotkała, zanosząc się od płaczu.

Kamerdyner pośpieszył.—A cóż?

— Skończone wszystko, nie ma jej, nie ma naszej dobrej pani, skończyła przed chwilą. Umarła!

Tomko stanął jak wkuty, nie śmiał podnieść oczów, nikt na niego nie patrzył, nikt na niego nie nważał, był tu już obcym, natrętnym.—Potracano go biegnąc—każdy my-

ślał o sobie. Spojrzał na kamerdynera, który padł na krzesło, zasłonił sobie rękami twarz i płakał. Czuł, że tu dłużej nie mógł pozostać. Żołudkowa z za łez postrzegłszy go stojącego, zawołała impetycznie.

— Idź pan gdzie chcesz, tu dla niego nie ma miejsca; pokoje będą pieczętować póki Starosta nie nadjedzie. Za ochmistrzynią i inni w pokoju znajdujący się, z mściwym jakimś wyrazem poczęli wołać:

— Idź pan—niech pan wychodzi!

Z głową spuszczoną, ostatniej pozbawiony nadziei, Chelmowski wyszedł powoli. Jakkolwiek niewiele czucia miał, ani przywiązania do ex-Wojewodziny, ścisnęło mu się serce tą grozą śmierci, która na każdym czyni wrażenie. Był więc sam znowu i żaden węzeł nie łączył go z tym światem do którego się wcisnął. Nie ulegało wątpliwości, iż Starosta i rodzice nieboszczki znać go nie zechcą i żadnych mu praw nie przyznają.

Dzwony po bliższych kościołach, do których na podzwonne posłano zaraz, odzywały się żalobnie, gdy zbiedzony wdowiec poszedł do Horoszka.

Mecenas wstał, okulary podnosząc na czoło, i splunął na początek.

— Wiesz pan, żona moja nie żyje.

— Hę y!! zawołał mecenas ręce podnosząc — kiedyż skończyła?

— Przed godziną może.

— A ja tu! a mnie znać nie dają! a tam kassa, papiery, dokumenta, które strzedz moim obowiązkiem! ruszył się Horoszek.

— Jakież jest moje położenie? zapytał Chelmowski.

Horoszek czapkę już mający na głowie, przypatrzył mu się.

— Słowo w słowo takie jak było, gdyś waćpan wchodził raz pierwszy do palacu.

— A moje prawa?

— Jakie? masz jedno asindziej, płakać nad tem żeś się do jej śmierci przyczynił, więcej żadnego.

— Ale to co było moją własnością.

Horoszek się rozgniewał, zczerwieniał i buchnął.

— Ciało nieboszczki nie ostygło, a waćpan o tem mówić już śmiesz! a to *horrendum!*—Nie dopytuj, życzę, co waszecina było własnością, aby ci nie odebrano tego co masz na grzbiecie.

Porywczó dodał:—Do nóg, do nóg.

I pokazał na drzwi, sam szukając laski aby wyniść co najprędzej.

Nie pozostawało Chelmuwskiemu tylko się też wynosić. Poszedł pod Orla i zamknął się w swej izdebce.



Wiadomość o śmierci ex-Wojewodzinej natychmiast się rozeszła po mieście. Znikła była trochę wielkiemu światu z oczów nieboszczka od czasu swojego za mąż pójścia, nie wiadano o pożyciu nic, wieść o zgonie niespodziana zdumiała. Nieboszczka miała przez rodzinę swą i męża wielu krewnych, wielu dawniej przyjaciół i adoratorów, powtarzano sobie spotykając się w ulicy:

— Wiesz, ex-Wojewodzina, co to się była wydała za tego młodzika jakiegoś, umarła nagle.

— Co to było?

— Niewiadomo! zapewne jak u starych najczęściej—apopleksya.

— Kiedy pogrzeb?

— Niewiadomo. Czekać będą pewnie na brata, pana Starostę.

— A któż po niej bierze?

— I to niewiadomo!

— Zostawiła testament?

— Wątpią wszyscy co ją znali, nazbyt się śmierci obawiała.

— Słicznie wyjdzie ów mąż, jeżeli dyspozycyi żadnej nie ma.

Nazajutrz już przez ludzi, przez Horoszkę, przez ks. Ignacego stanowczo wiadano, że testamentu żadnego nie było, że znaczniejsza część majątku wracała do familii, a na reszcie brat miał zapisy. Rachowano, że przy największym pośpiechu, Starosta ledwie mógł być za parę tygodni.

Tymczasem Horoszek się zajął wszystkiem, ciało exportowano prywa'nie do podziemnej kaplicy Ś-go Krzyża, a uroczysty pogrzeb miał się dopiero odbyć po przyjeździe Starosty. W pałacu opieczętowano pokoje, służbę rozpuszczono, została tylko Żołudkowa z jedną sługą i kamerdyner stary, który większą część dnia spędzał u siostry Cremoni. W parę dni po zgonie, ponieważ pułk kasztelana Ożarowskiego ściągnął do Warszawy i powszechną obudził ciekawość, zapomniano o tym wypadku. Chełmowskiego nigdzie widać nie było. Siedział w izdebce pod Orłem, nie mogąc się rozmyśleć co mu dalej począć wypadało, do kogo się udać—jak życiem pokierować. Nie myślał już wcale ani o nieboszczce, ani o winie własnej — nie gryzła go sumienie nierozbudzone, miał nowe plany na myśli. Podkomorzy z rodziną bawił dotąd w Warszawie, z powodu, że się czegoś niezdrowego objadł, a jak powiadał, wina po kapuście się napił, czy wody po węgorku—bo to jeszcze było nierozwiązane. To mu tak zaszkodziło, że na runianku i łacińskiej kuchni w łóżku leżał. Żona przy nim siedziała. Mogła więc a nawet musiała panna Podkomorzanka wychodzić często po coś z pokoju, i temu był winien Chełmowski, że się po raz pierwszy z nią na wschodach spotkał.

Zaczerwieniła się nadzwyczajnie i ledwie na ukłon odpowiadawszy, uciekła. Jeżeli Chełmowski jako bakalarz, w długiej szaraczkowej kapocie, był jej dosyć miłym, to teraz ubrany nowomodnie, odmłodzony niejako, wydał się jej daleko przystojniejszym.

Ale cóż po tem kiedy był żonaty?

Ojciec opowiadał całą historią jego żonie, z którą się

nawet popstrykali o to, że ona była tego nieporozumienia powodem, które spowodowało wydalenie hrabiego na furze od gnoju.

Nazajutrz odwiedzający Podkomorzego Podstoli, który jeszcze na Wyrzykowskiego oczekiwał, domógł mu, że żona tego hrabiego umarła, i że on był wdowcem; że się to stało nagle, dziwnie.

Usłyszawszy tę wiadomość Podkomorzanka mocno się zarumieniła, odwróciła się i zaczęła nalewać dla ojca rumianek z taką troskliwością jak nigdy — Podkomorzy sapnął i umilkł, zaledwie powiedziałszy: — Proszę! proszę! ktoby się był spodziewał gdyśmy razem obiad jedli.

Wyrzykowski nie nadjeżdżał, słabość Podkomorzego przedłużała się i pobyt jego w Warszawie. Chelmowski razy już kilka spotkał się na wschodach i korytarzu z panną Podkomorzanką i odnowił z nią znajomość. — Lecz panna była zimna i jakby urażona.

Jakkolwiek precz został wypędzony Chelmowski, nigdy się nie spodziewała, ażeby popełnił takie wiarołomstwo i drugiej ślubował. Powinien był na całe życie pozostać w bezżeństwie, tak w duchu utrzymywała Podkomorzanka, i nie mogła mu przebaczyć tej zbrodni. W tekstach świątowych stało czarno na białem, iż kochanek powinien był umrzeć z miłości. Nie było innego wyjścia.

Jednakże trzeci raz spotkawszy się z Chelmowskim, mówiła z nim dłużej i złożyło się tak, że ją w rękę pocałował.

Aż do łóżka chorego dochodziły wieści różne, które biegały po mieście, że małżeństwo owe żyło z sobą żyło, że ów młodzieniec balamut był i za dziewczętami biegał i że to o śmierć przyprawiło nieboszczkę. Podkomorzy temu nie wierzył. — Jakoś był teraz inaczej usposobionym i utrzymywał, że złe języki a zazdrość ludzka, komponują rzeczy niestworzone.

W ostatku i pan sędzia Wyrzykowski się przywłókł,

co było dla Podstolego szczególnie, wyrywającego się do domu i gospodarstwa, największą pociechą.

Zaraz pierwszego dnia, zaledwie tłumoki jego zniesiono, zetknęli się z Chelmowskim. Ten rad był, że kogoś znalazł przed kim się poskarżyć i kogo poradzić może. Wyrzykowski chciał też ciekawość zaspokoić, umówili się zejść wieczorem, gdy Podstoli spać pójdzie. Sędzia sam z fajką siadłszy na łóżku, kazał się Chelmowskiemu spowiadać szczerze. W naturze pseudo-poety było jednakże зараżać wszystko swą fantazyą poetyczną, malował prawdę dla każdego inaczej, nie mając poczucia, że kłamał. Historią też swoją ubarwił przed Wyrzykowskim tak, iż z niej wyszedł nieszczęśliwym i pokrzywdzonym srodze człowiekiem. Nie źle to było ułożone, choć gdzieś tam przez szpary inną prawdę mógł Wyrzykowski dojrzeć.

— *Summa summarum* tedy — odezwał się — zostałeś waszmość na łodzie — i znowu *liber baro*, któremu nie nie zawadza do poszukiwania szczęścia. Ja tu z familią nieboszczki nie widzę wyjścia żadnego, — upominać się o nie nie możesz, a gdyby nawet co ci należało, oni możni, ty jak palec, darmo wodę warzyć.

Cóż z sobą myślisz?

— Sam nie wiem, pogrzebu czekać będę, a potem... Coś się może trafi.

— To najgorzej, że z hrabskim tytułem, świeżo z karety wysiadłszy, trudniej się jeszcze do chleba dobrać, niż w dziurawych butach pieszakowi.

— Ależ moja poezya.

Rozśmiał się pan Wyrzykowski.

— Wszyscy o niej wiedzą, król, dwór.

Na to nie było już odpowiedzi.

Wyrzykowski, który dobrze znał Horoszkę, obiecał z nim pomówić w interesie Chelmowskiego — ale ja ich się domyślał, a jego znam — dodał — familia nieda ani kłapcia, a Horoszek gdyby co było do wzięcia, wołałby sobie przywłaszczyć.

Lecąc na łeb, na szyję, nareszcie i pan Starosta przybył, wprost do pałacu. Ucieszył się niezmiernie, iż tu już śladu Chelmowskiego nie zastał, bo miał zamiar go na ulicę wyrzucić, a wołał że się bez tego obeszło. Nie było nawet mowy o tem, ażeby się co dostać miało mężowi ex-Wojewodzinej, testamentu nie zostawiła, a Starosta mówił o tem, iż należałoby wytoczyć mu proces, o przywłaszczenie pewnych kosztowności, których w inwentarzu zabrakło. Horoszek mu tego odradził.

— Pal go diabli—niech mi się już tylko nie pokazuje na oczy—dodał Starosta. O wszystkim tem Chelmowski się dowiedział przez sędziego Wyrzykowskiego. Nie dano mu nawet znać o pogrzebie tej, która się żoną jego nazywała i dowiedział się o nim dopiero we dwa dni z gazety. Pogrzeb odbył się z uroczystością wielką i pompą nadzwyczajną, na którą nie żałował Starosta.

Ks. Ignacy wystąpił z exortą pogrzebową wymowną i piękną, w której, nie mogąc innych cnót podnosić, dobroczynność nieboszczki i jej najlepsze serce uwielbiał.

Z *curriculum vitae*, którego mowca dotknął zaledwie, wypuszczono zupełnie wspomnienie ostatniego za mąż pójścia, które rodzina za nieważne uważała.—Chelmowskiemu w tydzień później przez Horoszkę, jakby na szyderstwo odeślano — jego papiery, raptularze, wierszydła, na których marginesach, Starosta miał czas, zmienioną ręką, popisać najobelżywsze komentarze i szyderstwa.

Tak się skończył ten sen szczęścia i wielkości. Chelmowski nazajutrz poszedł do jubilerów precyzoza swe spieniężyć, nie zostawiając sobie nic, oprócz gorszego zegarka i jednego pierścionka. Sprzedawanie, gdy się potrzebuje, zawsze jest najtrudniejsze. Nikt naprzód nabywać nie chciał. Dawano potem cenę lichą, nie było się kogo o wartość rzeczy, na której właściciel się nie znał, poradzić, zbył więc wszystko za bezcen i obrachowawszy kasę, znalazł, że mu ona starczyła do przedsięwzięcia jakiegoś na prowincyi obrotu.

Podstoli i pan sędzia wybierali się do domów, Chełmowski nie śmiało zapytał Wyrzykowskiego, czyliby go podwieść nie chciał, na co sędzia się zgodził, acz dosyć chłodno. Podstoli, którego doszło to, że Chełmowski został na bruku i bez legatu, zrazu ostrył znacznie dla niego, potem przyszedł do przekonania, iż musiał potajemnie zachwycić kapitały. będąc człowiekiem ostrożnym. A że potrzebował gotówki i czyhał zawsze na żywca — postanowił wymacać młodzieńca, a nużby się na hypotekę dóbr zagarnąć nie dało jakiej sumki. Posądzając Wyrzykowskiego o podobne zamiary, Podstoli przed nim się nie wydawał z myślami, i przykro mu się zrobiło dowiedziawszy, że już miejsce na bryczec Chełmowski miał zamówione. Można go było rzeczywiście posądzić o coś podobnego, bo ze stanu swojego, położenia i planów dalszych, nie spowiadał się już wcale — milczący był i zamknięty. Sam pan Wyrzykowski idei tej, że tam coś mógł pochwycić, nie bardzo się oponował.

— Kto go tam wie! powiadał. — Od niego nikt się prawdy nie dowie.

Wyjazd się nieco przeciągnął. Chełmowski do podróży gotów oczekiwał. Jednego wieczora spotkali się z Podstolim na wschodach.

— Dobry wieczór — hrabiemu — dobry wieczór — co chciałem mówić. Cóż — Wyrzykowski pono zabiera go z Walszawy?

— Był tak grzecznym.

— Ale jabym był chętnie mu moją brykę ofiarował, rozumie się, we środku — obok mnie. Między nami mówiąc, daleko mniej trzęsie niż bryczyna Wyrzykowskiego. Słuszyłbym mu z całego serca.

— Bardzo dziękuję — odparł Chełmowski.

Podstoli postął, popatrzał, zagadał o pogodzie i — ja — koś z oczów Chełmowskiego wyczytał, że on taki musi mieć pieniądze.

— A gdybyś acan dobrodziej, panie hrabio — nim tam sobie co opatrzysz, chciał jakiś czas spokojnie spędzić

w ubogiej szlacheckiej chacie, gdzie się zawsze znajdzie barszezyk z rurą i sztukamięsa z kwiatkiem, czemu byś nie zajechał na czas do mnie? Przyjąłbym go otwartemi rękami. Cośby się obmyśliło, czy dzierżawka, czy kupno. O dzierżawę i kupno zagadnął umyślnie, na próbę — co też on powie? aby wymacać. Chelmowski nie zaparł się ani pierwszego ani drugiego.

— Otóż go mam! pomyślał Podstoli — pieniądze są, ho! ho! — Gdyby ich nie miał, zaraz by się odczwał, że o tem nie może myśleć.

— Niech no pan hrabia dobrze mój projekcik rozważy — a możeby nie było źle.

Z tem się pożegnali. Chelmowskiemu przyszło na pamięć, że od Podstolego do Podkomorstwa nie było daleko, a Podkomorzanka miała folwarezek. Na chwilę nawet nie pomyślał co się stało z Dobkiem i Luizettą.

Czuła ta para, po krótkiej rozmowie u bramy pałacowej, w której dziewczę całą winę zrzuciło na Chelmowskiego, poszła do miasta razem. Dobek wyrobił u Dekerta, że jego narzeczonej na kilka dni dozwolił mieszkania na drugim piętrze.

Tymczasem zajął się natychmiast zdobyciem, bodaj szturmem, jakiegokolwiek przyszłości. Kochał dziewczę i czuł się w obowiązku wynagrodzenia jej wszystkiego co dlań cierpiała. — Nie szło to łatwo, gdyż uczeni, którzy mu okazali życzliwość, wszysey nienależeli do stanu duchownego i nie rozumieli oddania się powołaniu temu inaczey, jak pod warunkiem celibatu.

— A tobie na licha żona? zawołał ksiądz Janoeki. Cheesz uczyć drugich a sam rozumu nie masz. Kulę sobie do nogi przywiążesz. Nigdy prawdziwym uczonym być nie możesz. Straconym jesteś na wieki.

Ks. Albertrandi popatrzał nań pykając fajkę, z ukosa, i ramionami ruszył.

— Otóż to wasza miłość praey, rzekł, której nie poświęcić nie umiecie. Nauka jest zazdrośną, tak! tak! — jej

trzeba życie dać, ona nie cierpi podziału, nie—nie! Ożenisz się — i co? Przyjdą dzieci, bo przyjdą — inaczej nie może być, *res angusta domi*, jejmości trzeba sukienki, gdzież ty będziesz miał spokojną głowę aby o historii myśleć, w domu mając jej aż nadto.

Dobek był przybitym.

Zbывали go wszyscy dalekiemi obietnicami, znajdując, że teraz nie czas. Dekert litościwy najwięcej czynił nadziei.

Luizetta też ze swej strony czasu nie traciła. Dziewczę było na podziw roztropne i przebiegłe; na Dobka nie rachowała nic—był jej tylko potrzebnym chwilowo, pókiby nie ułożyła inaczej swoich interesów. Nie rachowała na Chelmowskiego, bo wiedziała że on sam w przykrem znajdzie się położeniu.

Przez czas pobytu swojego u księżnej, u ex-Wojewodziny, porobiła różnych na przypadek znajomostek mnóstwo. Teraz musiała z nich korzystać.

— Biedę cierpieć, mówiła sobie, dla miłości jednego z tych balamutów, a tobym ehyba szaloną była!! Niedoczekanie ich. Żaden grosza przy duszy nie ma, a chcą by ich kochać o głodzie.

Miała kilku do wyboru, co się w niej wszysej szalenie kochali. A ona? ona śmiała się chętnie z każdym, oczkami strzelała — lecz żeby miała przepadać za którymkolwiek!! Albow ja głupia! mówiła sobie. Rozpatrywała się.

Z tych co najokrutniej się nią zajęli jeszcze u księżnej, najmniej pozorny był podobno najwięcej obiecującym.—Był to burgrabia pałacowy, człowiek niemłody, rodem niegdyś niemiec, gospodarny, zabiegliwy, o którym wiadano doskonale, że gdyby chciał, mógłby kamienicę kupić. Póki jednak dał się z burgrabstwa i rozrzutności księżnej Karoliny dochód ciągnąć, dla czego nie miał korzystać? Pan Karol Mencl miał tyle rozsądku, iż się do kamienicy nie kwapił. A był to mąż stateczny, poczynający odrobinę siwieć, na co odwar z włoskiego orzecha dziwnie pomagał, twarzy

koloru ziemi, ani białej, ani rumianej, ale czerstwej, postawy słusznej, rysów takich, iż ich ani brzydkiem się nazwać nie godziło, ani pięknem nie było warto.—Zimny na pozór, wstrzemięźliwy we wszystkim, surowy dla ludzi, Mencl dał się jednak Luizecie tak złapać, tak obalamucić, iż jej sto razy powtarzał, że gotów się z nią ożenić. Różnica lat była wielka, dziewczę sądziło, że kamienicę jaką (kamienicy chciała koniecznie) znajdzie w kieszeni młodszego i przystojniejszego.

Tymczasem przyszły takie nieszczęśliwe okoliczności. Chełmowski swą nieostrożnością ją zgubił.

O Dobku, który ją kochał szczerze, ani pomyślała. Zaraz drugiego dnia, wiedząc, że księżna Karolina już była wyjechała za granicę, poszła Luizetta przechadzać się w okolicy pałacu de Nassau. Wiedziała, że gdy ją Mencl zobaczy, nie wytrzyma i zaczepi.

Za pierwszą i drugą przechadzką nie udało go się jej spotkać, trzeci raz przechodząc, bardzo niby pospiesznie, dostrzegła go przed bramą, palącego fajkę z ręką w kieszeni. Miała go minąć, niby nie widząc, gdy pan Carl pozdrowił.

— Ah! krzyknęła przelękniona.

— Co tu pamenka robi?

— Widzi pan, idę.

— Dokądże?

— A! nie mam czasu!

Mencl zastąpił jej drogę.

Zaczął prosić i błagać, aby mu powiedziała co się z nią dzieje. Choć niełatwo, zgodziła się przed nim na swój los poskarżyć. Ludzie ją zradzali, prześladowała fatalność, była zdecydowaną powracać do rodziny w Szwajcaryi (której nie miała biedna). Przeklinała Warszawę. Mencl zaczął ją błagać i prosić, aby na chwileczkę zaszła.

— A to pięknie? dokąd? do waćpana? ja? do kawalera! Nigdy w świecie... Mogli się przejść po ogrodzie. Tak—to już było co innego. Luizetta zgodziła się pójść z nim na

małą przechadzkę. Menci zwykle burą twarz mający, aż się zarumienił z radości.

Tu dopiero nastąpiły zwierzenia, ubolewania, lamenty.—Mężczyźni, mówiła Luizetta, wszyscy byli zdrajcy, żadnemu z nich nigdy wierzyć nie było można. Gotową była wstąpić do klasztoru.

Z niezmierną trudnością, niezbyt wymowny Menci, potrafił ją nieco uspokoić i wymódził słowo, że Warszawy nie opuści. Powtórzył jej w końcu odprowadzając do bramy, że, jak dawniej tak teraz—gotów się z nią ożenić.

— Tak i zrobisz mnie waćpan burgrabiną, żeby ta nieznośna księżna, która mnie nie cierpi, codzień mnie karmiła impertynencyami swojemi. A co mi to za szczęście.

W bramie, już na wychodnem, taka się żwawa zawiązała rozmowa, iż w niej stali z kwadrans—w końcu Luizetta, której lzy stawały w oczach, bo miała słabość do Carla, co mu już (mimowoli) wyznała, gotową była się dla niego *poswiecić*, wymagała tylko ażeby kupił, choć małą kamieniczkę. Niechby sobie zresztą i został przy burgrabioście, jeżeli miał z niego dochody, ale dom swój mieć musieli.

Carl dał rękę, że dom kupi.

— Słowo.—Słowo.

Niemiec był tak szczęśliwy, tak szczęśliwy, że fajkę stłukł i całe tego nie spostrzegł, Luizettę pocałował, za co mu dała klapsa po nosie—i stanęło na tem, że dopóki zapowiedzi nie wyjdą, rzecz ma pozostać w największej tajemnicy.

Luizetta powróciła do domu Dekerta, zamknęła się na klucz, wieczorem nadbiegł Dobek smutny. Dała mu sobie przez litość służyć, nadskakiwać, ale była zamyśloną i pochmurną. Florek do późna mówił jej o swych nadziejach—nie przyznała mu się do niczego. Żal jej było biednego zakochanego.

— To dopiero będzie historia! mówiła w duchu—gdy się dowie.—Trudno ginąć dla jego pięknych oczów!... Et! co

tam, popłacze i zapomni! Czy to ja ich nie znam. Nic mu się nie stanie.

Gdy się pytał Dobek dokąd we dnie wychodziła — odpowiadała — to do kościoła, to do przyjaciółki, o żadnym Menclu wzmianki nie było.

Rwał włosy z głowy Dobek napróżno, płynąc przeciw wody i walcząc z ludzką obojętnością. Dekert obiecywał, ale czekać kazał — a Luizetta była codziennie w gorszym humorze. Wchodząc do niej, przybierał minę wesołą, a w duszy mu było czarno i tak smutno!!

Kilka tygodni upłynęło bez zmiany. Humor dziewczęcia poprawił się znacznie. Dobek, gdyby nie troska o przyszłość, całkiem by się czuł szczęśliwym. Cóż mu więcej było potrzeba nad tych kilka godzin przy niej spędzonych, zapatrzonych w jej oczy, jej głosem ożywionych. Przynosił z sobą książkę, czytał jej... rzucał ją by opowiadać i śnić o przyszłości.

Był tak pewnym jej! Na chwilę nie zwątpił, na myśl mu nie przyszła zdrada — Luizetta go kochała! on to czuł, niestety, bo tego pragnął!

Jednego dnia wyszedł z domu do biblioteki, dla poszukiwania czegoś do memoryału Dekerta, zabawił długo, wracając zapukał do Luizetty. — Jadała ona u siebie, on jej z najlepszej restauracyi kazał przynosić jedzenie, sam żył jak mógł. Tego dnia koszyk u drzwi stał z talerzami nie-
tkniętymi, Luizetty w domu nie było. Spojrzał przez dziurkę od klucza. W pokoiku nieład był wielki.

Służąca wchodziła na górę.

— A co pan tam tak zaglądasz — zapytała — a czy to pan nie wie? Toć pojechała jeszcze o dziesiątej ślub brać do kościoła i kartka na dole do pana jest.

Dobek o mało nie padł.

— Oszalała czy co! zawołał biegnąc na dół. — W istocie u stróża kartka była, kilka słów nagryzmołonych przedko, ażeby jej nie czekał i nie myślał o niej. Widząc, że

mu była ciężarem, postanowiła się—*poswiecić*. Wyszła za męża.

Dwa razy Dobek czytał i odczytywał tą odprawę tak okrutną, zimną, bezlitosną; zaciął usta, puściły mu się łzy, powiódł ręką po czole i jak pijany, o ściany się opierając, dowlóknął do swojego mieszkania. Tu dopiero runął na łóżko.

Wieczorem zastukano, służący od Dekerta znalazł go bezprzytomnym. Posłano po doktora, który nie pytając o nic krew puścił.—Życie powróciło, leez się niebezpieczna wywiązała choroba. W chwili, gdy prezydent najmoeniej go potrzebował,—ani jego, ani papierów, ani notatek znaleźć nie mógł. Dobek o niczem objaśnić nie umiał, pamięć utracił, sił mu brakło.

Przeciągnęła się echoroba długo i wycieńczyła biedaka, lecz z nią uszła namiętność, odpłynęły wspomnienia gorzkie, nadzieje życia znikły, zostały książki tylko.

Stan ten, którego przyczyna nikomu w domu nie była obcą, obudził litość i w pani Dekertowej, która się troskliwie zajmowała biednym męża sekretarzem. Nie zbywało mu na niczem w tym domu, ale on się tu czuł ciężarem. O miejsu, o posadzie, o przyszłości mowy już nie było. Do czego mu się to wszystko przydało? Nie potrzebował nic.—Gdy po raz pierwszy wstał z łóżka, trzęsąc się na nogach, sam siebie nie poznał w zwierciadelku. Szkielet to był, skóra a kości tylko. Rozśmiał się dziwnie. Włosy mu z głowy wypadły, zęby w ustach się ehwiały od leków. Położył się młodym, wstał starym i połamanym. Przez kilka dni jeszcze tylko po izdebce chodził, kładł się często, potem powłóknął się podziękować państwu Dekertom, a choć podróż była krótka, tak się zadychał i zakaszał, że długo mówić nie mógł. Przeszło to po chwili.

Patrzano nań z politowaniem, on się uśmiechał. Nadchodziła wiosna, a z wiosną przychodzą siły, zdrowie i życie.

W kilka dni mógł Dobek wychodzić o kijku, powoli,

odzież na nim wisiała jak worek. Stary surdut wigonio-
wy zapiąć się nie mógł, chybaby aż pod pachą.

Dobek pociągnął tak, spożywając często, na Długą uli-
cę do Pijarów. Tu znalazł przyjaźnego sobie księdza Onu-
frego w zielonej umbrelce na czole, także nie w zbyt wy-
śmienitem zdrowiu.

— A cóż ci to było? zapytał go Kopeczyński—co się
z tobą działo, że ci tyle czasu nie widział.

— Chorowałem—rzekł Dobek—ale to już przeszło.

Zbliżył się ks. Onufry, oczy od blasku zasłonił, ale
znać mało co i tak widział, bo przypatrzwszy mu się,
rzekł:

— E, nic ci nie będzie, wcale nie źle wyglądasz.

— Tylko mi trochę słabo.

— To przejdzie.

Zaczęła się uczona rozmowa, bo ks. Kopeczyński nową
pisał grammatykę. Potem o tem i owem, aż Dobek w rękę
go pocałowawszy, rzekł, że radby do nowicyatu do ks. Pi-
jarów wstąpił.

— A czemu nie! czemu nie! odparł stary grammatyk,
nam ludzi uczonych i pracowitych potrzeba, bo zakon nasz
teraz za dwóch pracować musi, gdy Jezuitów niestało. Roz-
myśl się tylko dobrze, aby ci sukienka nie zaciężyła, a po-
tem, Boga wezwawszy napomoc, wnijdź tu gdzie święty
spokój mieszka—*templa serena*.

Dobek wyszedł uradowany umówiwszy się, że mu ks.
Onufry drogę do nowicyatu miał utorować. W kilka dni
potem, zdziwił się niezmiernie Dekert, gdy mu Dobek zwia-
stował, iż myśli do zakonu wstąpić.

— Niechym nie miał przeciwko temu—rzekł, gdybyś
poczuł powołanie istotne, a nie czynił tego z bólu i zwątpie-
nia. Poprobuuj życia—jeśli ci zacięży, zawsze czas będzie
pójść spocząć za furtką klasztorną.

I tak go prosił a zatrzymywał, że Dobek uległ, odkła-
dając to co natychmiast miał uczynić, do kilku miesięcy.
Pomagał znów Dekertowi i pracował tem goręcej, że mu

przy trudzie słodkie zapomnienie przychodziło i spokój okrywał duszę.

Zdrowie tylko nie powracało, kaszlał, chwiał się na nogach i sił odzyskać nie mógł. O kiju chodził na Daniłowiczowską ulicę. Gdy po rękopism jakiś zaszedł pierwszy raz po chorobie do Albertrandiego, a ten, oczy przymrużywszy przypatrzył mu się i rozgadał o chorobie — rzekł:

— Dobrze ci tak — a po co ci się żenić zachciało i w niezdrowe wdawać amory. Dla uczonych to rzecz niestrawna. My ani pić do zbytku, ani jeść nadto, ani kochać się bynajmniej nie możemy, — lub z nas dyletanci będą, do stroju i do łoju na pozór, a w rzeczy do niczego.

Dobek nie zaprzeczał wcale — zamilkł. We dwa tygodnie potem po rogach ulic poprzybijano karty z czarnymi obwódkami, które zwiastowały obojętnej Warszawie, iż jakiś tam pan Floryan Dobek, filozofii magister, na świat lepszy się przeniósł.

Za trumną szli państwo Dekertowie, szedł Janocki, kilku ludzi nieznanomych, Albertrandi kondukt prowadził. Na grobie krzyża nie było komu postawić.

Cale inaczej łódką swą pokierował zdrów na ciele i na umyśle ex-mąż pani ex-Wojewodzinej. Wybrał się on w podróż z Warszawy na wózku pana sędziego Wyrzykowskiego, który do Podstolego miał wstąpić i dojechał aż na miejsce.

Nie spuszczał go z oka poczciwy Podstoli, który z każdą chwilą mocniejszego nabierał przekonania, iż Chełmowski zachwycił po nieboszce, albo mu ona ciepłą ręką dała — dosyć, że kapitał miał.

— Już ty sobie mów co chcesz! szeptał Wyrzykowskiemu — pieniądze są, jak Bóg żyw.

Ponieważ w Żabiej Wólce u Podstolego nocować było potrzeba, zniesiono wszystkie rzeczy i tu się dopiero przekonano, że gospodarz mógł mieć słuszość, gdyż Chełmow-

ski oddał mu do przechowania szkatułkę zamezystą, ciężką. —Bóg wie co tam w niej było. Wieczera była prosta, ale obfita i smaczna. Podstoli w domu oszczędny był, sam na sam z żoną obchodził się krupnikiem z półgęska, lecz dla gości z pod serca nie żałował. Zabito twardą niewypowiedzianą kurę i kaszka była z malinowym sokiem. Czegóż chcieć? Wino kwaskowate podano, ale czyste, nie fabrykowane, za co ręczył gospodarz—i zdrowe.

Nazajutrz wybierał się Chełmowski z sędzią, ale go tak molestował Podstoli, żeby sobie wypoczął, iż pozostał.

W sąsiedztwie były i posesyjki, i zastawy, i folwarczki na sprzedaż, okolica znajoma i ludzie dobrzy.

Od dnia do dnia, szkatulka zamezysta pozostawała w depozycie u Podstolego, który z niej oka nie spuszczał. Był jednak tak nieostrożny, iż się o niej wygadał przed Podkomorzym. Zresztą i bez tego wszystkiemu już wiadomo było, że Chełmowski dzierżawy lub kupna poszukiwał, ale kuty był i trudny.

Podstoli był za tem ażeby się nie spieszyć, a nawet, w jego przekonaniu, lepsza była lokata na cudzym majątku, niż branie kłopotu na głowę.

Chełmowski nie nie mówił. Nigdzie w świecie mu wygodniej być nie mogło jak u Podstolego. Sługom przykazano jak największe rozkazom gościa posłuszeństwo, a nie, to po sto batów każdemu odlewanych, bez remissyi, żeby który plackiem u nóg leżał!

Przyjechał do Żabiej Wólki pan Podkomorzy, i przywitał Chełmowskiego jak stary przyjaciel.

— Czemu bo asindziej, kiedy, panie hrabio, do nas nie zajrzysz—a toby się czy w maryasza zagrало, czy jaką godzinę przebajdurzyło przy kieliszku.

Podstoli był także za tem, aby się gość rozrywał, byle mu się nie wyrwał ze szkatułką.

Pojechali tedy do Podkomorzego, który ich przyjął serdecznie. Prawda, że panna Dorota nie zaraz wyszła i z ogromnemi rakami na twarzy, które nie rychło jej przeszły.

A była tego dnia dziwnie milcząca, a Podkomorzy, który dobrze to obserwował, uważał iż ani raz nie spojrzała nawet w tę stronę, gdzie młody wdowiec siedział. On też się do niej i nie zbliżał i jeden raz nie zagadał.

Sama pani Podkomorzyna, którą dawniej Chelmowski za nieprzyjaciółkę największą liczył, była dla niego wcale uprzejmą. Wszyscy go nazywali hrabią. Chelmowski rozpowiadał wiele takich rzeczy o królu i o dworze, o których nikt w świecie, oprócz niego wiedzieć nie mógł, niesłychanie ważnych i ciekawych, na przykład, że król nosił zegarek w guziku, że lubił tłustą baraniń, że wieczorem zawsze dla konkokeyi śliwki jadł; że gdy mu zrana włosy trefiono, sekretarz gazetę lejdejską czytał. Słowem mnóstwo takich rzeczy zajmujących, iż gdy usta tylko otworzył, w pokoju było jak mak siał. O pani Krakowskiej wiedział, iż była sekretnie posługoną staremu Wojewodzie Mokronowskiemu, który gdy umarł, pani Krakowska zemdlala — i że po obiedzie kładła się dla trawienia na kanapic, a dopóki czynności tej nie odbyła, nikomu do tego pokoju, choćby od króla z biletem, wchodzić nie było wolno. Różne podobne rzeczy opowiadał Chelmowski, a niekiedy puszczał się też w wielką politykę o Porcie Otomańskiej, aż słuchający głową kiwali.

Nie skończyło się bowiem na tej pierwszej wizycie, uprzejmie zapraszał Podkomorzy, nie wzdragał się Chelmowski, dla tego ażeby nie okazać rankoru. Stare dzieje dawno były zapomniane.

Wreszcie już przydługi pobyt u Podstolego subiekcyę czynił widać panu hrabiemu, gdyż kiedyniekiedy o wyjeździe mówił, a naówczas oboje państwo zaklinali go, aby ich dobrem sercem nie gardził, i choćby rok, choć dwa sobie, jak w domu, pozostał w Żabiej Wólce.

Tymczasem nie donosiwszy coś załoby do roku, Tomko zrzucił ją, bo na wsi na to nikt nie zważał.

Podstoli także był tego zdania, iż ją w sercu nosić potrzeba, a formy te dla oka ludzkiego najmniejszej nie mają

wagi. Nigdy może między Podkomorstwem a Podstolstwem ściślejszych stosunków jak teraz nie było.

Raz wreszcie Podkomorzy tak zjechał do Żabiej Wólki, iż sam na sam został z gospodarzem.

— Mój Podstoli—rzekł, wiem to, że jesteś szczerym moim i domu mojego przyjacielem. Otwartym z tobą będę. Docia mi się starzeje, nikt jakoś tak słuszny się nie trafia. Cobys ty powiedział, żebyśmy do niej hrabiego trochę po-degnali? hę? Co ty o nim trzymasz?

Podstoli chciał przerwać—ale Podkomorzy wstrzymując go:—Za pozwoleniem — mówił dalej—czy sądzicie że on ma trochę grosza? Człowiek mi się, zbliżka przypatrzywszy, dosyć podoba—stosunki w świecie ma, a na stosunkach wszystko.—Ręka rękę myje. Gdy u mnie był jako bakalarz, nie o jego procedencyi nie wiedziałem. Goły też był.—Dziś rzeczy stoją wcale inaczej. — Nie myślę się mu napraszać z Docią, bo ona sobie męża zawsze znajdzie—ale znówu dziewczyny wędzić nie chcę, a miała do niego inklinację.

Więc cóż?—zapytał Podkomorzy—jak ci się to zdaje?

Podstoli miał czas się rozmyśleć, co się tyczy szkatulki.

— Mój panie Podkomorzy—odezwał się bardzo cicho, mówimy otwarcie, nie tajmyż już nie. Ja przed tobą nie chcę nic kryć. — Bodajem wskroś ziemi poszedł i przepadł z kretesem. Byłem całe życie szczerym i otwartym, jestem i będę. Jak mnie widzisz tak mnie pisz. Wziąłem, uważacie—kochany Podkomorzy, tego człowieka do domu, aby go uratować, uchowaj Boże, od jakiego łotra coby z jego dobroduszości skorzystał. Oddał mi do schowania szkatulkę. Ciężka jest, i nie bez tego, żeby tam w niej coś nie było. Ja potrzebuję kapitaliku na Ś. Jan, to się przyznaję, ale bym go zaraz intabulował. U mnie grosz nikomu nie przepadnie. Mam do tego trochę prawa, bo go oto dobry kawał czasu sustentuję, karmię i opieram.

— Nie mam nic przeciw temu, ażeby ci pożyczył rzekł Podkomorzy—jak skoro oblig przed aktami zeznasz.

— A jakże! Bóg mi świadek! Krzywdy cudzej, Jezu Ty mój miłościwy, nigdy nie pożądałem, sierocego grosza nie wezmę na sumienie. Węć jeżeli wy nie jesteście przeciwni pożyczaniu, ja duszą i sercem sprzyjam projektowi wydania Podkomorzanki. Ale, kochany sąsiedzie — tu trzeba go zażyć z mańki, nie powinien się ani domyślać, że wy sobie tego życzyście. Trzeba to tak zrobić, abyście się mogli podrożyć. Godność Podkomorska w powiecie przecie pierwsza. Nie jest *procurator* i wdowiec, więc tu, tu, panie, trzeba się górami nosić.

— Oczywiście—rzekł Podkomorzy ściskając go — to jest rada przyjacielska i rozumna. Jednakże ani bardzo zrażać, ani do zbytku zwlekać nie chcę. Dziewczyzna mi schuie, moja żona z nią koty drze. Z tego to wynika, że lada pisarz prowentowy, lada kto może ją zbałamucić i świsnie mi z domu, i będzie despekt. Już wolę tego niż imiego. *Periculum in mora*, do trzydziestki się zbliża (szepnął cicho Podkomorzy).

— Jest racya—jest racya—odparł Podstoli — z temi dziewczętami utrapienie w domu, ciągle trzeba patrzeć jak oka w głowie. Ale zostawcie to mnie. Ja coś zrobię.

Tu się Podstoli zamyslił.

— Moja żona słabego zdrowia — jeżeli zachoruje, zaniemoże—Podkomorzanka przez dobre serce, za pozwoleniem rodzicielskiem mogłaby do nas na kilka dni przybyć do chorej. Tu będą mieli zręczność się widywać, ja myśl poddam, pośrednictwa się podejmę, asindziej się podrożysz, tandem pobłogosławicie. A kapitałik niech mi pożyczysz.

Podkomorzy uściskał go i westchnął.

— Jak tylko jejmość zaniemoże, choćby na głowę — dawajcie znać, ja Docię wyprawię.

Podstoli głową kiwnął.—Staęła umowa. Chelnowski się nie domyślał tak daleko posuniętych układów, ale i on na Podkomorzankę trochę rachował. Nie żeby miał

ku niej afekt osobliwy, bo nie była tak piękną ani pognętną, ale folwark miała własny, o którym wiele dobrego mówiono.

Podkomorzy wyjechał prędko. — Trzeciego zaraz dnia, Podstolina do stołu nie przyszła.

— Wielkie mam utrapienie, prawdziwy krzyż pański — rzekł Podstoli — ciągle mi jejność słabuje, a tu w domu samemu sobie rady nie dać, ani na służbę się spaścić.

Stękał cały dzień, i przy wieczerzy także, nazajutrz rano, zasłyszawszy o chorobie sąsiadki, przyjechała Podkomorzanka. Ojciec ją przysłał. Wieczorem chciała powracać, Podstoli ją zatrzymał. Chelmowski zimno i zdala chodził obawiał się ojca, mając na pamięci ową furę od gnoju. Wieczorem się złożyło, iż ich we dwoje w pokoju na długi czas zostawiono, bo Podstoli przy żonie siedział. Zaczęła się rozmowa, zrazu z ukosa, zdaleka. Panna Dorota na stoleczku podparta w okno patrzyła. Chelmowski krążył, zatrzymywał się przed nią, rzucał słowami, długo nie śmiał się przysiąść. Lecz, gdy się to sam na sam przeciągało, odważył się zbliżyć, mając na baczności aby do odskoczenia być gotowym, gdyby się kroki słyszeć dały.

Spytała panna o poezyc. Przypomniano zdala nie-szczęścia przeszłe—owe listy znalezione. Dorota utrzymywała, że on jej, jako żywo, nigdy nie kochał, że to było czyste udanie — że się potem ożenił i t. p. Chelmowski złożył wszystko na furę od gnoju i desperacyę. Utrzymywał, że się tak samo ożenił jakby się utopił, iż ooba ta była w wieku i potrzebowała opieki męskiej przeciw rodzinie, a o miłości tam żadnej nigdy mowy nie było. Dowodził, że serce gdy się raz da, już go się odebrać nie może. Potem nastąpiły westchnienia. Ostrożnie chciał Chelmowski za rękę wziąć, ale mu ją wyrwano, dopiero za drugim razem mógł ją pocałować.

— Ale cóż? taka miłość bez nadziei?

Panna Dorota szepnęła, że stała i trwała zawsze na nadzieję, byle „kochane było“.

Chelmowski zadekklamował jej:

„Nie bądź mi okrutną...”

Sluchała panna Dorota z uwagą wielką, i gdy Podstoli wszedł, zastał ich przy sobie siedzących, czego udał że nie widzi. Zatem rozczyli się wszyscy spać.—Nazajutrz ciągle się tak składało, że choć panna przybyła pilnować chorej i pomagać w gospodarstwie, Podstoli sam robił wszystko— a Tomko i panna Dorota spotykali się ciągle, to tu, to owdzie. Została panna na trzeci dzień jeszcze, bo Podstoli-nę ciągle głowa bolała. Cały długi wieczór przesiadzieli z sobą i Chelmowski, chociaż wahał się długo, zaofiarował pierścioneł. Podkomorzanka obawiała się go nosić na palcu, ale zaraz dobyła tasiemki i na niej powiesiła go sobie na szyi. Rzeczy zaszły daleko. Podstoli, gdy już Chelmowski rozebrany w koszuli u siebie siedział, wszedł do jego pokoju.

Odwiedziny to były niezwyuczajne, gdyż w tej porze nie przychodził prawie nigdy, chyba gdy nożyczek ostrych potrzebował, których u Chelmowskiego pożyczak. Tym razem szedł z rękami w kieszeniach, i widocznie w innym celu.

— Kochany panie Tomaszu—odezwał się—nie od rzeczy byłoby porozumieć się.

Tu chrząknął. Jakem uczciwy człek — bodajem się z miejsca tego nie ruszył, tak mi szczęście Boże w tem i drugim życiu—nie masz pan lepszego przyjaciela nademnie—nieba bym WPanu przychylił.

Uderzył się w piersi. — Mówmy szczerze — asindziej, panie hrabio, smalisz cholewki do Podkomorzanki.

— Ja?

— Mów, komu chcesz! nie ślepym! mnie nie oszukasz. Stare amory się odnowiły jak blizny. Nic dziwuję się—osoba mila, przystojna, pięknie zbudowana. oddaję jej sprawiedliwość—Gospodyni dobra, —czego chcieć. — Folwark do niej należący, po najdłuższem życiu ojca —Pereploty znam, znam doskonale, po dwieście morgów w każdą rękę; ląki

gruntowe przedziwne, las opałowy co się zowie, a i towarni się coś znajdzie. Młynek roczny. Dwór opuszczony, ale, jakby się poszył i pomazał... Sad owocowy, takie gatunki o jakie u Sapiehów było trudno. Tylko jedz, pij i popuszczaj pasa. Hę?

Spojrzał na Chelmowskiego, który stał nader ostrożnie, nie wydając się z uczuciami.

— Co asindziej na to — panie hrabio? Ze mną jak z przyjacielem—Bóg mnie skarż, bodajem trupem padł, nie zdradzę cię, co?

— Ani Podkomorzy ani Podkomorzyna nie zgodzą się na to.

— Zgodzą, ja w tem—rzekł Podstoli—muszą. Ja biorę rzecz całą na siebie; zapewnie będzie opór, będą fomfry, stękania, a no, ja mam moje sposoby—ho! ho! Gdy się przysiądę.

Spojrzał na Chelmowskiego.

— Zdasz się asindziej na mnie, rzekł, pójdę w dziewosłęby. Pierwsza rzecz jednak czyś panny pewien, tu sęk, jeżeli ci sprzyja...

Chelmowski zamyślił się mocno, czy mu wypadło z sekretu ją wydawać.

— Dawniej mi sprzyjała—rzekł.

— No—to i teraz, odparł Podstoli—dla czegożby nie! Dajesz mi waćpan umocowanie?

Skłonił się kawaler.—Z wdzięcznością, odpowiedział—ale proszę, abym znów na siebie gniewu nie ściągnął. Wolałbym rzeczy pozostawić jak są, niż narażać pannę Dorotę i siebie.

— Spuść się asindziej na mnie.

I Podstoli zakławszy się jeszcze okrutnie, wyszedł a w sieni zatarł ręce.

Podkomorzanka odjeżdżała, pożegnanie u ganku od ogrodu było czule i tak czule, że zobaczywszy knechika, który podglądał, Chelmowski się okrutnie zmieszał. — Po-

myślał tylko — co tam taki kuchta ma komu o tem rozpowiadać!

Trzeciego dnia był Podstoli u sąsiada, powrócił po ważny i wyznał, że zagaił zdaleka o tem, że Podkomorzyna była przeciwną, on niedecydowany, że naturalnie nie tak to łatwo pójdzie, ale on to zrobi.—Biorę na siebie, szelma jestem — ożenię cię.

Potem znówu przyjechał Podkomorzy, grali do puli w maryasza, gospodarz żartami coś zaczępił niby.—Ni to, ni owo odpowiedziano.

Na chwilę został Chelmowski sam z panem Podkomorzym, który go zagadnął czy się żenić nie myśli. — Hrabia zmydlił, obawiał się otwarcie wystąpić — Przyszło do kieliszków tego kwaskowatego wina, czystego i zdrowego. Podchmielili sobie trochę.

Na rachunek dobrej myśli, Podstoli począł wprost swatać Podkomorzankę z hrabią. Ojciec się śmiał.

— Niech że no się stara — zobaczymy.

— Słowo się rzekło! podchwycił Podstoli, wiesz asin-dziej czego się trzymać—a no, bierz się w kupę!

Tak z wielką polityką prowadzona nowa sprawa małżeńska. w przeciągu dwóch tygodni do pomyślnego końca doprowadzoną została.

Tu dopiero wiele się rzeczy wyjaśniło, gdy zaczęto o interesie mówić. Podkomorzy zeznał — bo kłamać nie chciał—jak powiadał, że na Pereplotach nie miał, jako żywo dożywocia, tylko słowną nieboszczki obietnicę, która, że się jej nagle zmarło, nie miała czasu przed Rejentem zeznać aktu, chociaż był po dziśdzień raptularz.

Oczywiście żądał Podkomorzy, aby go pokwitowano z administraeyi nie słuchając rachunku, ekscypował sobie gotowy grosz z szynków do najdłuższego życia, młyn na rzeczce, wolny wrąg do lasu i różne inne drobnostki. Gdy przyszło do tego co hrabia miał żonie zapisać, bo, jako wdowiec, powinien był wianek okupić — oświadczył się Chelmowski wspaniałomyślnie, iż—z powodu interesów familij-

nych niewyjaśnionych, nie może teraz dokładnie oprawy oznaczyć—lecz przed rejentem aktem urzędowym ofiaruje się żonie przekazać wszystko co ma i mieć będzie.

Zdawało się Podkomorzemu, że jakkolwiek zapis był enigmatyczny, więcej wymagać nie godziło się.

— Niech i tak będzie—rzekł.

Gdy po zamianie pierścionków przy proboszczu i formalnych zrękowinach, powrócili do domu z Podstolim, stary, mający zawsze na widoku ową szkatułkę, wieczorem, westchnąwszy nad tem, iż został ohydnie zawiedziony przez dłużników, odkrył przed Chełmowskim, iż jeżeli na Ś. Jan nie zapłaci summy 20,000 zł., lęka się tradycyi i eksmissyi. Ztąd assumpt wziął do szkatułki. Chełmowski mu wyznał, iż musi się w swoich interesach rozpatrzyć baczniej, rozliczyć i zażądał owej tajemniczzej puszki pandory, która natychmiast z pokoju sypialnego, gdzie w głowach pod łóżkiem stała, została przyniesioną.

Podstoli pożegnał gościa, zostawiając mu czas rozpatrzenia się w rachunkach. Ciekawość jednak zniewoliła go stanąć u szpary drzwi dzielących pokój gościnny od jadalnego, dla oczywistego przekonania się o tem co szkatulka zawierała. Dla tego, aby nie domyślał się tam jego przytomności Chełmowski, Podstoli buty zdjął i drzwi od sieni zostawił otwarte. Stał tu godzinę blisko, zaziębił się, i nie zobaczył nic, bo Chełmowski szkatułkę postawiwszy na stole, ani do niej zaglądał.

— Niech go wszyscy djabli porwą — zawołał, bosaka do zony wracając Podstoli, abym tylko choroby nie nabrał, bo nogi zastudziłem!!

Nazajutrz zażądał Chełmowski jechać do Podkomorze-go, nie mówiąc nic o szkatulce, ani o pożyczce. Podstole-go bolało gardło po wczorajszej straży boso, obwiązała mu je zona pończochą z lewej nogi i nie wychodził z pokoju, nie postrzegł więc, gdy gość szkatułkę zabrał do bryczki.

Do Podkomorze-go przyjechawszy, przyszły zięć zaraz na wstępie prosił go o przyjęcie w depozyt szkatułki.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Czy Podstolemu pożyczyleś co? żywo zagadnął Podkomorzy.

— Nie—dotąd nie.

— Dzięki Chrystusowi Panu! obawiałem się tego, zniżył głos gospodarz — byłoby przepadło. Toż to bankrut! pocziwy człek—ja go kocham—ale na pieniądze kat. Nie wiem gdzie on je dziewa. Tylko co nie widać jak go wypędzą i kredytorów połowa spadnie. Skąpy, sknera, a grosza nie ma. Szlachcica naokół ani jednego nie znajdziesz, komuby winien był, a żydów bierze na lichwę. Toś się gracko wywinął.

— Ale będzie zły! rzekł Chełmowski.

— Hm! a cóż robić? lepiej niech się złości, niżby grosz—krwawica—przepadać miała.

Uściskał Podkomorzy przyszłego zięcia, a szkatułkę zaraz zanieść kazał do szafy w sypialnym pokoju, gdzie ją na dole zamknęto.

Po wyjeździe Chełmowskiego, tknęło coś Podstolego i posłał żonę zobaczyć do jego pokoju czy szkatułka stała.

— Jako żywo, nie ma żadnej!

Podstoli w furę wpadł.

— A łajdak! a furfant! a złodziej! wisielec jakiś—patrz jak mi się ślicznie wywdzięczył za to że m go z błota wyciągnął. — Otóż to wdzięczność! Wziął szkatułkę! wykradł! ale zobaczmy, czy mu to na dobre wyjdzie! Wczoraj mi się przyrzekł rozpatrzyć—ślicznie się rozpatrzył. Ja znowu w kaszy się nie dam zjeść, jadę za nim, natychmiast.

— Ale gardło?—zawołała Podstolina.

— Co gardło! On mi to noża przyłożył do gardła — niecnota! Gardło, powiadasz, ja z pończochą zawiązaną pojadę, oni tam z pieniędzmi co zmachinują, oddadzą, schowają. To nie bez kozery, że szkatułkę zabrał.

Ale ty—jejmość! zakrzyczał, możeś jejmość nie dopatrzyła się, może szkatułka być, trzeba pod łóżkiem zobaczyć.

Pobiegła Podstolina—nie było nic—posłano do stajni konie zaprzęgać, Jacek był w karczmie.

Począł się Podstoli unosić. — Sto łóz! niech mi zaraz ekonom różek nagotuje. Zakazałem do karczmy chodzić. Chaimowi mówiłem, że go z bebechami wyrzucę precz, jeśli mi się waży dać kroplę gorzałki dworskiemu! Otóż to ład! Otóż to posłuszeństwo. Wołać Maćka. Maciek był na folwarku.—Posłano po fornala, ten pojechał do kowala. Ekonom od rana w miasteczku ze skórkami zdechłych baranów—jeden stary stróż się znalazł pod ręką, i ten pijany.

Sądny dzień. Podstoli obiecywał kuć w kajdany, głowy golić i sieć a ducha słuchać. Wtem nadbiegł Jacek, spadła na niego burza, ale nie myśląc się bronić, pobiegł zaprzęgać. Podstoli na pończochę zawiązał ręcznik, a na ręcznik chustkę żony bagdadzką. Czapkę wpakował głęboko na nszy, i chodził po pokoju suwając nogami, jejność weszła powoli.

— Moje ty życie, rzekła—irytujesz bo się niepotrzebnie. Do czego to będzie podobne, gdy ty zaraz w pogoń za nim popędzisz.—Przecież nie nasze zabrał, ale swoje, śniechu narobisz z siebie.—Należałoby choć dzień przeczekać.

— Co to czekać! To despekt! toć przecie obelga! Co to u mnie w domu już mu bezpieczeństwa nie ma. Za honor się ujmuję. Mnie o jego parszywe pieniądze nie idzie—ale o uczciwość, o honor.

— Lubeczko moja—zawołała żona, ty bo jesteś nadto prędkii! rozmyśl się, pomiarkuj.

Podstoli czapkę zdjął i na stoliku postawił nic nie mówiąc. Przeszedł się i chustkę bagdadzką, rozwiązawszy ją, na kanapę cisnął—jeszcze raz pokój zmierzył i ręcznik odkręciwszy na stół rzucił, aż siadł.

Jacek stał z bryczką przed gankiem, a Maciek w kozuszkę przyszedł oznajmić, że konie gotowe.

— Idź, ośle, trutniu jakiś — precz! precz do stajni z końmi! Niepotrzebne konie. Jacek i ty, jutro do dnia, gdy ekonom powróci, po dwadzieścia pięć.

Na tem się skończyło, ale burza wrzała dzień cały. Tyle było korzyści z tego gniewu, jak opowiadała Podstolina, że humory poburzone, które były podeszły do gardła, rozpięchły się znowu, i wieczorem już pończochę zdjąć było można. Kryzys rozwiązała się w inny sposób, bardzo szczęśliwy. Nad wieczorem pił już tylko rumianek gospodarz, i wyglądał czy Chełmowski nie wróci—zamiast niego przyszły tylko konie i list dziękujący w najczulszych wyrazach za gościnność Podstolemu, któremu nie chcąc być ciężarem Tomko, oznajmował, że na folwarku swej narzeczonej w Pereplotach tymczasowo uporządkowaniem gospodarstwa zajmować się będzie. Dodał razem, iż interesa żony niespodzianie wymagać będą kapitału i dla tego, z wielkim serca bólem, służyć nim panu Podstolemu nie może. Naostatek w dowód wdzięczności upraszał Podstolinę, aby przyjęła mały podarek od niego.

W istocie do listu dołączone było pudełeczko, związane tasienką białą i opieczętowane, a po rozerwaniu pieczęci, okazał się mały pierścionek z topazem i kilku brylancikami.

Podstolina włożywszy go na brudny palec i migając nim około świecy znajdowała, że — niczego, ale mąż jej oburzonym był na zdradę i niegodziwość tego człowieka, którego—powtarzał to ciągle—z błota wyciągnął.

— Teraz, mości dobrodzieju—odezwał się głosem ponurym—teraz między nami wszystko skończone. W sumie-
niu jestem wolny. Pojadę do Podkomorzego i postaram się mu stołka przystawić. Ludzie się i od ołtarza rozchodzą, zobaczymy! jam związał, ja i rozwiązać potrafię. Kiedy tak, to tak. Zobaczymy!

Dzień następny, ponieważ plucha była okrutna, Podstoli rad nie rad w domu pozostał.

— Pierścioneczkiem chce mnie ukontentować, mruczał chodząc — przez kilka miesięcy u mnie żarł co brzuch strzymał, czekał, pił, jeden Bóg wie co kosztowało, a gdy

przyszło się wywzajemnić, pierścionczek mi przysłał. A jechał cię kat z twoim pierścionkiem. Patrzcie go!

Naostatek, gdy i gardło zupełnie odeszło i pogoda wróciła, wybrał się Podstoli, zły bardzo, lecz przez całą drogę Zdrowański mówiąc na tę intencję, żeby mu Pan Bóg dał pomiarkowanie. — W ganku powitał go Podkomorzy, wypatrując co się święci.

Chełmowski był w Pereplotach, gdzie dom reperowano. Z początku mówiono o pogodzie, — poszli do kancelarii Podkomorzego i tam dopiero Podstoli się otworzył.

— Już to, kochany sąsiedzie — rzekł, stała się wola twoja. — Chciałeś mieć tego gagatka zięciem, masz go. Powtarzam, wola twoja. Ja, jeśli w to palca umaczał, to tylko dogadzając jego życzeniu.

— Wy też byliście za tem.

— Byłem i nie byłem. Teraz — szepnął Podstoli, gdy jegomości u mnie nie stało, dopiero się zęby porozwijały i pięknych podowiadawałem się rzeczy. Wszystkie dziewczęta we dworze i na folwarku skarżą się dziś na jego napaści! Prowadzenie się jak najgorsze.

Nie zaręczam żeby w karteczki nie lubił się puszczać — a kłamie aż się kurzy.

— Ale, cóż znowu! wykrzyknął Podkomorzy, z kądże nagle ta niełaska. — Sameś mi go chwalił, sameś go zalecał. Cóż to nowego?

— Ja tylko ostrzegam, jak sobie pościelecie, tak się wyśpicie.

— Na miłość Bożą!

— Nie — z sumieniem — przerwał Podstoli, z sumieniem ja w żadne kompromisa nie wchodzę, u mnie co prawda, to prawda. Tak! tak! Niech zginę, niech do domu nie dojadę, niech marnie zczeznę, jeśli tu na włos, na odr obinę jest fałszu.

Podkomorzy popatrzał, tabaki zażył i głowę pokręcił.

— Rozbierzmyż no te wszystkie zaskarżenia, mój Podstoli. — Primo, dziewczęta puszczam *per non sunt*, gdybyśmy

poszli do rachunku sumienia z naszych sprawek, mój Podstoli, żony tu nie ma, ani twojej, ani mojej, hm! nie wyszedł by nikt czysto. — Więc to na bok. Gdzież on w karty grywał?

— W Warszawie! zgrywał się sły-szę.

Podkomorzy znów głową kręcił.

— A dalej co?

— Kłamca jest, furfant, przewrotny.

— Ale—ale—wtrącił Podkomorzy, przychodzi mi na myśl właśnie—a cóż? z tym kapitałem, pożyczyles u niego czy nie?

— Otóż to jest! rozstawiając ręce szeroko — zawołał Podstoli—otóż trafiłeś w sedno—jak postąpił ze inną? — Jak siedział u mnie miesiąc kilka, jadł, pił, wylegiwał się, chodziliśmy koło niego oboje, jak koło oberwanego palca.— Obiecywał, łudził, zwodził; jednego wieczora szkatułkę odebrał, powiedział, że się rozpatrzy i tyleśmy go widzieli. Po ludzkuż to? po obywatelsku? pocziwież to? powiedz.

— Hm! rzekł Podkomorzy—okoliczności. Posłuchaj tylko. Gospodarowałem na majątku córki jak na własnym, ale z naszeni ofycyalistami, wiesz! zrujnowali Perepłoty, potrzebują nakładu—ja gotówki nie mam. Bliższa ciała koszula niż kaftan.—Cóż ty chcesz? żeby on ci kapitał pożyczał a sam go szukał u drugich, a toćby sfiksował!

— Taki łajdak! rzekł Podstoli — już ja co wiem to wiem. Mnie na wesele nie proście. Ja z nim nie chcę mieć do czynienia.

Podkomorzy usiłując połatać tę sprawę, do obiadu kazał dać wina starego i podpoił Podstolego, ale wino ma to do siebie, że z duszy wydobywa to co w niej jest, Podstoli więc gorszym tylko gniewem wrzał i przycinał gorzko, choć Podkomorzyna i panna Dorota były przytomne. Trącał go nogą i łokciem gospodarz,—nadaremnie; z przekąsem takim o Chełmowskim się odezwał, iż panna Dorota od stołu wstała. Po obiedzie wyjechał zaraz zarzekając się: — Noga tu moja nie postanie.

Pomimo to zaproszono go na wesele.

Ponieważ kawałek czasu upłynęło —nieważ się ta „eholera“ uśmierzyła, Podstoli znalazł szlacheica u którego pieniędzy potrafił pożyczyć — pozostał jednak żal zawsze. Gdy przyszło decydować, czy jechać na wesele czy nie, pomiędzy małżonkami spór był długi. Niewiadomo jakby się był zakończył, gdyby *insperate* nie nadjechał Wyrzykowski z wiadomością, że proces w Trybunale Podstoli wygrał. To humor poprawiło, a sama potrzeba pochwalenia się z dekretem, zniewoliła do jazdy. Sędzia zabrał się także.

U Podkomorzego występ był nadzwyczajny. Samej pani, jako macosze, szło o to niezmiernie, żeby ludzie mówić nie mogli, iż posikała. Sprowadzono więc Sapieżyńskiego kucharza, goście sproszono huk, dobyto odwieczne zapasy bielizny i sreber, które dawno światła dziennego nie oglądały, Podkomorzy wdział najdroższy pas, najkosztowniejszą spinkę i karabelę pradziadowską, całą turkusami sadzoną.

Po odbytym ślubie, siedli do stołu z południa wszyscy, i uczta przedłużyła się do białego dnia, a raczej pijatyka sroga. W jednej sali tańczono tak, że sama Podkomorzyna ani na chwilę spocząć nie mogła, cóż dopiero młodsze. W drugiej na stole mieniały się półniski, bo ciągle ktoś coś jadł; w ostatniej na zabój pito.

Nazajutrz, przespawszy się po lamusach, szopach, na folwarku, we dworze, gdy goście powstawali, koła były po zdejmowane i na nowo biesiada się rozpoczęła. Dostyc, że trzy dni i trzy noce z rzędu nie ustawało przyjęcie i wszyscy oddawali obojgu Podkomorstwu tę sprawiedliwość, że umięją przyjąć i eo się zowie są gościnni. Jeden tylko stary Paramiński z Olchowa zachorował potem, kawęczał dni kilka i umarł, ale był już człowiek wiekowy i przestrzegano go, że sobie z kulawką nadto pozwalał. Mowy o tem nie było.

W tydzień nastąpiły przenosiny do Pereplotów także

huczne, ale już gości mniej zjechało—i tu tylko jeden dzień i jedną noc bawiono.

Wyrzykowski wyjeżdżając z Podstolim z tej uczty—rozsiał się do niego i rzekł:

— Mój panie Podstoli, no, ktoby to był powiedział, kiedyśmy tego jegomości na gościńcu spotkali, że to się tak potrafi w życiu misternie wykręcać i dochrapie tego wszystkiego? Ktoby to był powiedział?

— Kto? ja, mocibdzieju! ja! jakem żyw, daj mi tak Panie wszystko dobre. Spojrzawszy mu w oczy zaraz pomyślałem sobie: Ho! ho! furfant mosanie! sprytna bestya! ten sobie rady da. A cóż? nie mówiłem? Mnie się osie i koła łamały, a ten zawsze wychodził cało!—I to jeszcze dodam, że nie rozumem do tego się doskrobał, bo to tam w głowie tak osobliwego nie ma nic, choć wiersze pisze—ale chytrością i przewrotnością. — Czyś asindziej słyszał o szkatułce? Kiedy, powiadam ci, mnie na nią wziął, starego wróbla na plewy, wziął na nią bodaj Podkomorzego, a ja teraz wiem i ręczę, że w niej nie było nic, chyba papieru trochę i jakiego smarowidła do wąsów.

Zobaczy Podkomorzy jak mu ten zięć dojedzie!!

Raz z hrabiowskim tytułem, drugi raz bez niego, JW-ny Tomasz Albin (dwóch imion, bo drugie mu później przyrosło) z Chelma Chelmowski, orderu Ś. Stanisława kawaler, komissarz cywilno-wojskowy i t. d., zjednał sobie zaszczytne stanowisko w obywatelstwie. Powszechnie było o nim mniemanie, iż darami niepospolitemi wyposażyla go natura, że był uczony bardzo i wielce utalentowany. Wprawdzie w tych przedmiotach mówił mało, dozwalał się domyślać, nie wypierał prac literackich, ale nie popisywał z niemi. Dwie czy trzy pieśni z poematu *Janina*, chodziły po rękach, i znawcy bardzo je chwalili; nieszczęściem Chelmowski nie miał czasu nigdy dzieła tego dokończyć.

Proroctwo Podstolego, co się tyczy stosunków z teściem, o tyle się ziściło, iż później w istocie rozwinął się proces między nimi, który kompromisem został skończony, przyczem Podkomorzy sto tysięcy złotych dopłacić był zmuszony. Do Pereplotów dokupili Chelnowscy wioskę po nieboszczyku Podstolim, który na Jacka się rozgniewawszy i z tem poszedłszy spać, w nocy apopleksyą został tknięty. W kilka lat potem nabyli jeszcze jeden folwark — i jesteśmy pewni, że znaczną fortunę potomstwu swemu przekazać musieli.

Są ludzie którym się wiedzie, choć całkowitym literatom rzadko, chyba takim kawałkom.

K O N I E C



KSIEGARNIA
ANTYKWARIAT



.....

E * 174367

.....

KS
I
S
T

...

...

Biblioteka Raczyńskich

JIK **515**



JIK0515